

WYDAWNICTWO DIECEZJALNE - Sandomierz 2002

**Zespół redakcyjny:**

Paszkowska Danuta

Lisowska-Paterek Barbara

Paszkowski Aleksander

**ISBN 83-7300-204-9**

„W N A S Z E J P A M I Ę C I ...” - tom II

**SPIS TREŚCI**

Zdzisław Trębski - **Słowo Wstępne**

**Ten czas nie wróci**

Józef Pastuszka - Sandomierskie wspomnienia szkolne z lat 1908-1912

Michał Krakowiak - Wspomnienie z lat szkolnych

Jan Skórski - Szkoła i nauczyciele

Alfred Szmuszkiewicz - Sandomierz lat 20. i 30.

Tadeusz Gaj - Wycieczka do Gdyni

**Wojenko, wojenko!**

Piotr Sierant - Sny o szpadzie

Piotr Sierant- Czas do szkoły, czas!

Wacław Czosnek - Moje refleksje

Lucjan Czajkowski - Szlak bojowy

**Tajne nauczanie**

Tadeusz Gaj, Izabela Mielecka-Aschenbrenner - Szkoła okupacyjna

**To już było**

Józef Stajniak - Summa vitae!

Wiesław Adam Fijałkowski - Ukłon moim kochanym belfrom

Wiesław Kamys, Wojciech Pawłowski - Historyczne ujęcie przebiegu nauki absolwentów rocznika maturalnego 1953

Antoni Bilski - Sylwetki moich nauczycieli

**Nieco później**

Krystyna Maciurzyńska - Oni kształtowali mój charakter

Elżbieta Żak z d. Kwasek - Zawieszona na skraju wysokiej skarpy...

Wojciech Szaraniec - Hymn o zachodzie słońca

**Szkolne wierszowanie**

Arkadiusz Misiaczyński - Liryki

## SŁOWO WSTĘPNE

Zdzisław Trębski

Kanclerz Kapituły Stowarzyszenia

Wychowanków Gimnazjum i I LO

Matura 1954

W wysłanej do Koleżanek i Kolegów informacji zwróciliśmy się z prośbą o nadsyłanie swoich wspomnień z lat szkolnych. Rozesłanie I tomu „W naszej pamięci...” do osób korzystających z subskrypcji spowodowało napływ listów na adres naszego stowarzyszenia, listów od różnych osób w różnym wieku, zarówno zdających maturę w latach trzydziestych, jak i siedemdziesiątych. Odżyły wspomnienia odległych wydarzeń, z pamięci odgrzebywane imiona i nazwiska koleżanek i kolegów ze szkolnej ławy. Opisano zdarzenia ważne i mniej ważne, a dziś już tak odległe w czasie, że nie zawsze zrozumiane przez dzisiejszą młodzież. Niektórzy mówili, że nie mają głowy do pisania, więc opowiadali, a ja zapisywałem. Tak pewnego dnia powstały wspomnienia Czesława Burka o Jurku Pruszyńskim, o którym niewiele osób w ogóle cokolwiek wie.

*Ojciec Jurka - chwila zastanowienia - czy on na pewno miał na imię Jurek? Na pewno nazywał się Pruszyński. Ojciec jego był inżynierem. Do Sandomierza przyjechali ze Lwowa, mieszkali na Ostrówku, dziś ulica Flisaków. Było to na początku października 1944 roku. Od pierwszego października połowę budynku szkoły „za parkiem” zwanej później Kolasówką, wojska Armii Czerwonej zajęły na szpital, a w drugiej części w dalszym ciągu funkcjonowała szkoła. Powracający do zdrowia ranni dość obcesowo zaczepiali koleżanki ze starszych klas i nauczycielki. Tego pamiętnego dnia przemocą wciągnięto kilka z nich do części szpitalnej. Pruszyński mający 15–16 lat zwołał kolegów i razem wpadli do drugiej części budynku, nie zważając na żołnierzy i uwolnili je. Prawdopodobnie jeden z żołnierzy śledził wracającego do domu Pruszyńskiego i w tym miejscu, gdzie dziś jest brama do portu przy ul. Mostowej, padł strzał z kępy. Śmiertelnie ranny umierał w otoczeniu tych, z którymi wracając ze szkoły, przeprowiał się przed chwilą łódką przez kanał portowy. Jego pogrzeb był wielką manifestacją. Z kościoła św. Józefa na Cmentarz Krukowski szła młodzież wszystkich sandomierskich szkół, mieszkańcy miasta i okolicy. Kierownik szkoły, pan prof. Kolasa, żegnając powiedział: Przeżył 1939 rok, okupację niemiecką, front 1944 roku, a zginął z ręki współczesnego Huna.*

W podobny sposób opracowany jest materiał o stancjach i warunkach bytowania uczniów naszego Gimnazjum w latach trzydziestych. Gdzie i jak mieszkali, jak odrabiali lekcje, jak odpoczywali i jak bawili się.

Otrzymaliśmy sandomierskie wspomnienia szkolne z lat 1908-1912 pióra ks. Rektora Józefa Pastuszki z odręcznym zapisem „ Autor prosi o przyjęcie 17.V.1987 rok”. Jest to kompendium wiedzy o mieście, szkole, profesorach i uczniach tamtych lat. Fascynujące materiały dla historyka.

Kontynuujemy zbieranie biografii profesorów naszego Gimnazjum. Od ks. Jana Skórskiego otrzymaliśmy wspomnienie o ks. Franciszku Malarczyku, wspaniałym wychowawcy młodzieży, który uczył ją miłości do Ojczyzny.

Napływają listy, wspomnienia pisane prostymi słowami, ciepłe i serdeczne. Przeniosą one czytających w te odległe lata, gdy to słońce świeciło jaśniej, a ludzie byli dla siebie bardziej ludzcy...

Nie zawsze otrzymaliśmy przyzwolenie autora na podanie imienia i nazwiska, w tych przypadkach niestety tekst będzie anonimowy. Nie zawsze przysłany tekst kwalifikował się w całości do publikacji.

W zakończeniu dziękujemy wszystkim tym, którzy odpowiedzieli na nasze hasło. Szkoła nasza, Collegium Gostomianum i jej czterowiekowa tradycja wymaga ciągłej pielęgnacji. Kolejny drugi tom „W naszej pamięci...” niech zachowa to, co przemija.

# TEN CZAS NIE WRÓCI

JÓZEF PASTUSZKA

(przedruk ze *Studiów Historycznych* XXIX/4)

## SANDOMIERSKIE WSPOMNIENIA SZKOLNE Z LAT 1908-1912<sup>1</sup>

### Uwagi wstępne

Przeszłość Sandomierza od dawna budziła zainteresowanie historyków i nie tylko historyków. Dotyczyło to jednak przede wszystkim średniowiecza i początku ery nowożytnej – okresu świetności miasta. Ciekawiła też rola, jaką miało ono odegrać pod koniec II Rzeczypospolitej jako zamierzona „stolica” Centralnego Okręgu Przemysłowego. Najmniej wiemy o Sandomierzu wieku XIX, a ściślej w okresie jego przynależności do Rosji w latach 1815-1914, kiedy to nadgraniczne wówczas miasto wegetowało na krańcach imperiów carów. Pozbawione przemysłu, nie włączone do sieci kolejowej, skrzepowane granicą państwową w kontaktach z ziemiami po drugiej stronie Wisły zostało zdominowane przez gubernialny Radom czy przez nowy ośrodek przemysłowy Ostrowiec, a nawet przez pobliski Opatów. Świadczy o tym wymownie rozwój demograficzny Sandomierza i miast sąsiednich. Wystarczy porównać liczbę ludności według danych urzędowych (co prawda nie w pełni wiarygodnych) z r.1925 i sprzed I wojny światowej<sup>2</sup>.

	1825	1910
Sandomierz	3086	7757
Radom	3628	43581
Ostrowiec	1768	13934
Opatów	2406	8167

W tym okresie upadku pozostał jednak Sandomierz ośrodkiem życia kulturalnego i oświatowego – może nie na wielką skalę, ale wyraźnie wierny świetnym tradycjom minionych wieków. Zyskał zaś w XIX wieku jedno: stał się (1818) stolicą diecezji, a zarazem siedzibą biskupa i seminarium duchownego (od 1820).

Publikowane poniżej wspomnienia dają niejaki wgląd w życie tego miasta, niezwykle ze względu na wielką tradycję i skupienie zabytków przeszłości, a równocześnie podobnego do wielu prowincjonalnych miasteczek Królestwa Polskiego doby

<sup>1</sup> przedruk ze: „*Studiów Historycznych*” XXIX/4. Do druku przygotował Jan M. Małecki

<sup>2</sup> A. Jelonek, *Ludność miast i osiedli typu miejskiego na ziemiach Polski od 1819 do 1960 r.*, Warszawa 1967.

popowstaniowej. Są to jednak przede wszystkim wspomnienia szkolne, przedstawiające sandomierskie progimnazjum państwowe w latach 1908-1912.

W Królestwie Polskim na przełomie XIX i XX w. Obowiązywał rosyjski system szkolny, ustanowiony w odniesieniu do szkół średnich na mocy ustawy z r. 1871, później nowelizowanej. System ten przewidywał podział państwowych szkół średnich na 8-letnie gimnazja klasyczne oraz progimnazja klasyczne i realne. Progimnazja 4-letnie, później także 6-letnie, odpowiadały niższym klasom gimnazjalnym i pozwalały na kontynuowanie nauki w klasach wyższych gimnazjum, a także na przygotowanie do zawodów nie wymagających pełnego wykształcenia średniego (np. w seminariach duchownych). We wszystkich szkołach rządowych językiem wykładowym był rosyjski. Język polski dopuszczano jedynie jako nadobowiązkowy.

Rewolucja 1905 r. i strajk szkolny z tego okresu nie miały wielkiego wpływu na zmianę systemu szkolnego. Doprowadziły jedynie do zgody władz na zakładanie prywatnych szkół polskich. Podniosły również wśród nauczycieli Polaków świadomość obowiązków patriotycznych.

Metody oświatowe szkoły rosyjskiej w Królestwie okresu popowstaniowego, zespolone z akcją rusyfikacyjną i policyjnym nadzorem nad uczniami dobrze są znane z literatury naukowej i ze wspomnień uczniów. W świadomości społecznej utrwaliły się zaś przede wszystkim poprzez *Szyfowe prace* Stefana Żeromskiego. Czy progimnazjum sandomierskie podobne było do progimnazjum pyrzogłowskiego czy też gimnazjum klerykowskiego, tak sugestywnie odmalowanego przez wielkiego pisarza? Pod wieloma względami tak. Należy jednak pamiętać, że tutaj chodzi już o okres po rewolucji 1905 r. i po strajku szkolnym, które to wydarzenia wpłynęły na ogólną atmosferę w szkołach Królestwa Polskiego – co prawda bardziej w Warszawie i większych miastach niż na prowincji<sup>3</sup>

Badacze dziejów oświaty w Królestwie interesowali się w pierwszym rzędzie szkołami polskimi (prywatnymi), polską myślą oświatową oraz działalnością na tym polu pozytywistów warszawskich i działaczy socjalistycznych. Przedmiotem studiów były głównie szkoły warszawskie. Szkoły rosyjskie (rządowe) na prowincji wzbudzały mniejszą ciekawość. A przecież w nich właśnie kształciło się wielu młodych Polaków, którzy z czasem mieli tworzyć kadry inteligencji w niepodległej Polsce.

Wartość publikowanych w niniejszym tomie „Studiów” *Wspomnień szkolnych* polega na tym, iż ukazują życie małego miasta i jego małej szkoły średniej w ostatnim dziesięcioleciu przed pierwszą wojną światową. Są przy tym napisane w sposób rzeczowy,

---

<sup>3</sup> Strajk szkolny 1905 r. początkowo nie objął Sandomierza. Dopiero wiosną nastąpiło krótkotrwałe przerwanie nauki, co spowodowało wydalenie z progimnazjum dwudziestu kilku uczniów. K. Pękosiński, *Progimnazjum w Sandomierzu (w) Nasza walka o szkołę polską 1901-1917*, t.1. Warszawa 1932.

ze zminimalizowanym wątkiem anegdotycznym. Straciły może przez to na barwności, tak charakterystycznej dla wszelkich wspomnień szkolnych, ale zyskały na ścisłości informacji, pozwalającej np. zorientować się w składzie społecznym i przyszłych losach uczniów jednej klasy. Obserwujemy przy tym wyraźną dbałość o bezstronność ocen. Wystarczy zwrócić uwagę na sposób przedstawienia nauczycieli Rosjan – bez niechęci i powziętego z góry uprzedzenia. Wynika to z pewnością z temperamentu badawczego Autora.

Ksiądz Józef Pastuszka, senior psychologów polskich, urodził się 28 lutego 1897 r. w Rzecznówku niedaleko Ilży, gdzie jego rodzice posiadali niewielkie gospodarstwo rolne. Do szkoły ludowej uczęszczał w sąsiednim Rzecznowie. Opisane we wspomnieniach lata szkolne 1908/1909 – 1911/1912 spędził w progimnazjum sandomierskim. Obrął następnie karierę duchowną i kształcił się nadal w seminariach duchownych w Sandomierzu i Piotrogradzie (po ewakuacji do Rosji w r. 1905), wreszcie w Akademii Duchownej tamże. Studia kontynuował w Innsbrucku, uwieńczone doktoratem z teologii w r. 1920, a następnie doktoratem z filozofii w r. 1925. Jeszcze wcześniej (w r. 1919) uzyskał święcenia kapłańskie. W latach 1921-1930 był profesorem filozofii w Seminarium Duchownym w Sandomierzu. Po habilitacji z filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim objął w 1930 r. funkcję zastępcy profesora na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego. W 1934 r. związał się z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim jako profesor nadzwyczajny psychologii na Wydziale Nauk Humanistycznych, dziekan tegoż Wydziału (1938-1947), od 1946 r. profesor zwyczajny filozofii i psychologii i organizator, a następnie pierwszy dziekan Wydziału Teologii Chrześcijańskiej oraz pełniący przez kilka miesięcy r.1951 obowiązki rektora. Po przerwie w latach 1952-1956, kiedy przebywał w Sandomierzu i wykładał w tamtejszym seminarium duchownym, wrócił na KUL. Zorganizował tu studium psychologii i aż do przejścia na emeryturę w r. 1969 kierował specjalizacją psychologiczno-filozoficzną. Następnie powrócił znów do Sandomierza, z którym związały go lata młodości i gdzie jest obecnie prałatem kapituły katedralnej. Bibliografia prac naukowych ks. Prof. Pastuszki obejmuje ok. 300 pozycji, głównie z zakresu psychologii filozoficznej i psychologii religii<sup>4</sup>

\*

Maszynopis wspomnień został opracowany na przełomie 1983 i 1984 r. na podstawie materiału pamięciowego. Nie mogły być one skonfrontowane z dokumentami szkolnymi, gdyż te zaginęły w związku z ewakuacją gimnazjum sandomierskiego w r.1914 do Rostowa nad Donem. Podpisany dokonał w tekście pewnych skrótów, usuwając przede wszystkim

---

<sup>4</sup> E. Leszczuk, Z. Płużek *Psychologia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w latach 1918-1968*, Roczniki Filozoficzne, t.16.1968,z.4, s.5-30,35,43-44; *Ks. profesor doktor Józef Pastuszka, Kronika życia i działalności naukowej* Filozoficzne, t.17, 1996, z.4, s.5-14; H.I. Szumił, *Nota biograficzna i bibliografia prac ks. prof. dra Józefa Pastuszki*, Studia Sandomierskie, t.1, 1980, s.403-416.

uwagi ogólne, np. na temat dawniejszej historii Sandomierza, powtórzenia oraz informacje drugorzędne. Nie starał się natomiast sprawdzać wszystkich informacji i prostować ewentualnych nieścisłości, aby nie ingerować zbyt daleko w tekst, a równocześnie nie zamazywać obrazu, jaki utrwalił się po latach w świadomości Autora. Z tego powodu przypisy, pochodzące od wydawcy, zostały ograniczone do najniezbędniejszych.

Tekst wspomnień w tej formie przeznaczonej do druku został zaakceptowany przez Autora.

Jan M. Małecki

*Pamięci profesorów i kolegów uczniów sprzed 70 lat poświęcam*

## **1. Sandomierz na początku XX stulecia**

Według statystyki urzędowej z r. 1908 (w tym roku przybyłem do Sandomierza) ludność miasta liczyła 6981 osób (prócz wojska), w tym katolików 2364, żydów 3433, prawosławnych 46, protestantów 16<sup>5</sup>. Miasto nie miało elektryczności ani kanalizacji. Słabe światło dawały nieliczne lampy gazowe. Rynek i niektóre ulice były wybrukowane "kocielbami", czyli kamieniami nieociosanymi, przysypanymi żwirem, co czyniło przejazd trudnym i powolnym. Boczne ulice były nieoświetlone i niebrukowane. Do gimnazjum prowadził bruk od ul. Panny Maryi, ale już ta od ul. Długosza była niebrukowana, a tylko trochę żwirowana. Nieliczne trotuary, wyłożone jedną albo dwoma płytami, znajdowały się tylko na Rynku, ul. Zamkowej, Zawichojskiej<sup>6</sup>, a częściowo na ul. Panny Maryi. Bruk i trotuar miała ulica, gdzie było Seminarium Duchowne<sup>7</sup> i szkoła maryjska<sup>8</sup>. Główne drogi prowadzące do Opatowa i Zawichostu były tylko żwirowane, brukowana natomiast droga prowadząca do portu wiślanego. Jarmarki (w poniedziałek) i targi (w czwartek) odbywały się na Rynku i sąsiadujących z nim ulicach, które wtedy były zastawione wszelkiego rodzaju furkami i powózkami. Przy nich stały konie. Mocno to utrudniało przejście przez ulicę. Następnego dnia po jarmarku odbywało się sprzątanie. Polewanie ulic było nieznanne. Pozostawał więc brud i kurze, dopóki najbliższy deszcz nie oczyścił ulic. Właściciele

---

<sup>5</sup> Dane te zostały zaczerpnięte przez Autora z przewodnika po Sandomierzu wydanego prawdopodobnie w r. 1909: J. Rok o s z n y, Przewodnik po Sandomierzu z dokładnym planem miasta, Warszawa [b.r.w.], s.5. Zacytowane są tu w sposób niepełny (liczba osób według wyznania odnosi się do ludności stałej, liczba ogólna - łącznie do tzw. ludności stałej i niestałej) i dlatego nie zgadzają się w podsumowaniu. Według danych oficjalnych 1 I 1908 r. Sandomierz miał 6489 mieszkańców (stałych i niestałych), w tym 2735 katolików, 253 prawosławnych, 52 protestantów i 3449 żydów (Trudy Warszawskiego Statistyezkiego o Komitecie, Wyp. 38, 1909, s.60).

<sup>6</sup> Obecnie "ul. Sokolnickiego"

<sup>7</sup> Po ostatecznej likwidacji 'klasztoru Benedyktynek w r. 1903 Seminarium Duchowne umieszczono (w roku następnym) w budynku poklasztornym

<sup>8</sup> Szkoła maryjska (żeńskie progimnazjum) mieściła się w nowym budynku, w sąsiedztwie zespołu pobenedyktynskiego, przy ówczesnej ul. Gołębickej (dziś ul. Żeromskiego).

domów, przeważnie Żydzi, nie troszczyli się o czystość miasta. Nieliczne trotuary miały często połamane płyty i były pełne dziur. Ogród miejski, zwany szumnie Saskim, nie miał alejek żwirowanych i po deszczu był błotnisty, trudny do przejścia. Nad porządkiem miasta czuwała policja rosyjska, tzw. strażnicy, a ci, słabo uposażeni, żyli z łapówek i różnych "danin". Z reguły byli Rosjanami niemówiącymi po polsku, co im nie przeszkadzało w przeprowadzaniu różnych kombinacji z ludnością.

Rynek był spadzisty, zabudowany od wschodu nędznymi domkami, a wśród nich znajdowały się stare czcigodne kamienice, najczęściej zaniedbane, brudne, obudowane drewnianymi domkami. Tylko apteka, skład apteczny oraz trzy kamienice będące własnością tzw. Bratniej Pomocy<sup>9</sup> pozostawały w polskich rękach. Niektóre z tych kamienic miały wartość historyczną. Kanalizacji nie było. Na Rynku po zachodniej stronie stał pomnik w stylu gotyckim, o charakterze religijnym (krzyż) jako wyraz wdzięczności chłopów polskich za uwolnienie z pańszczyzny (postawiony przez władze rosyjskie). Na środku Rynku wznosił się czcigodny starożytny ratusz, gdzie mieścił się urząd miasta. Figura Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia z końca XVIII wieku pozostała nienaruszona.

Gorszy widok przedstawiały uliczki leżące poniżej miasta, jak Podole, Rybitwy<sup>10</sup>, zabudowane zwykle małymi drewnianymi domkami, gdzie się mieściła biedota miejska. Tam też była siedziba "wodziarek"- typowego zjawiska Sandomierza. Miasto położone na wysokiej szarpie odczuwało brak wody. Studni było mało i były głębokie. Trzeba było wodę dostarczać ze studzien znajdujących się "na dole". Czyniły to "wodziarki" - starsze kobiety, które w wiaderkach, na specjalnych nosiłkach tzw. jarzmach, windowały wodę do domów leżących w górnych częściach miasta. Droga do spichrza koło Wiselki<sup>11</sup> i do Rynku, a zwłaszcza na ul. Żydowską<sup>12</sup>, przedstawiała widok korowodu wodziarek, które nosiły przez cały dzień wodę. To było źródłem ich utrzymania.

Boczna odnoga Wisły, tzw. Wiselka, w zimie zamarzała i stawała się swego rodzaju "salonem zimowym" Sandomierza. Tam przygrywała orkiestra, a czasami tylko jedne skrzypce, tam urządzano tańce i zabawy, zimowe. Rozstawione latarki oświetlały lodowisko.

Sandomierz, podobnie jak inne miasteczka polskie, miał większość ludności żydowskiej. Rynek i główne ulice były zamieszkałe prawie wyłącznie przez Żydów. W ich rękę znalazły się stare historyczne kamienice, oni zmonopolizowali handel i w dużej mierze przemysł. Sklepy w mieście były żydowskie.

---

<sup>9</sup> "Pomoc Bratnia" - spółdzielnia spożywców założona w r. 1907.

<sup>10</sup> Rejon dzisiejszej ul. Browarnej

<sup>11</sup> Odnoga Wisły w sąsiedztwie ulic Krakowskiej i Podzamcza.

<sup>12</sup> Dziś ul. Basztowa



W XIX w. z dawnej świetności miasta pozostały kościoły, ratusz i parę domów historycznych. Dawny rynek i sąsiednie ulice zostały zabudowane jednopiętrowymi i parterowymi domami i zajmowane były przez sklepy żydowskie. Domy te, podobnie jak i dawne domki i ulice, nie miały urządzeń sanitarnych, były zaśmiecone, często niechlujne. Żydzi mieszkali ubogo, stłoczeni w niewielkich izbach - pokojach zależnie od zamożności. Z zamiłowaniem uprawiali handel wszelkiego rodzaju towarami i starzyzną. Ich prawdziwą pasją było targowanie się. W większości Żydzi małomiasteczkowi byli biedni, odżywiali się ubogo i mieszkali w złych warunkach higienicznych. Mimo to odznaczyli się wielką odpornością życiową. Rzadko się wynaradawiali, chyba przez małżeństwa z Polakami. Wzajemne stosunki pomiędzy ludnością polską a żydowską, nie odznaczały się serdecznością, ale były pokojowe. Nie spotykało się zatargów ani walk narodowych, ani nawet walki ekonomicznej. Sytuacja uległa zmianie dopiero po 1918 roku.

## **2. Progimnazjum sześcioklasowe**

W zaborze rosyjskim szkolnictwo było słabo rozbudowane. Na terenie guberni radomskiej, w której leżał powiat sandomierski, było tylko jedno gimnazjum męskie w Radomiu i trzy czteroklasowe progimnazja w miastach powiatowych, z których jedno mieściło się w Sandomierzu (od r. 1908 przekształcane, stopniowo w pełne ośmioklasowe gimnazjum). Analfabetyzm był rozpowszechniony, gdyż tylko niewielka część dzieci mogła uczęszczać do szkoły, a przymusu szkolnego nie było. Nauka w szkołach średnich była droga, a utrzymanie i dojazdy kosztowne. Sandomierz nie miał linii kolejowej.

Progimnazjum mieściło się w starym, czcigodnym, o bogatej tradycji budynku, położonym na wysokiej szarpie na brzegu Wisły. Budynek ówczesny stanowił tylko jedną ocalałą część z dawnego gmachu kolegium jezuickiego, zbudowanego na początku XVII wieku przez wojewodę Gostomskiego (dlatego zwanego "Gostomianum").

W r. 1915 w Sandomierzu powstało nowe gimnazjum, już polskie. Moje wspomnienia dotyczą przedwojennego gimnazjum rosyjskiego.

E g z a m i n w s t ę p n y odbył się na początku czerwca 1908 r.. Komisji egzaminacyjnej przewodniczył inspektor Norbekow, a w jej skład wchodził ksiądz prefekt Kalinowski (religia), profesor języka rosyjskiego Zagorowskij i prof. Jan Khaun, który egzaminował z matematyki (arytmetyki). Kandydatów zgłoszonych do egzaminu było 60, a wolnych miejsc - 20. Wprawdzie klasa miała liczyć 40 uczniów, ale 20 było przyjętych po tzw. klasie wstępnej, która była czynna przy szkole. Egzamin zdałem z wynikiem bardzo dobrym i dlatego zostałem przyjęty, choć nie miałem żadnej protekcji ani nie działało przekupstwo (wziętka), uprawiane tam na szeroką skalę. Był to w tamtych warunkach mój

duży sukces. O pomyślnym wyniku egzaminu zawiadomiłem rodziców i zaraz przyjechał ojciec, by mnie zabrać do domu.

### **3. Nowy rok szkolny. Środowisko szkolne**

W całym imperium rosyjskim, łącznie z Królestwem Polskim, nowy rok szkolny zaczynał się 15 sierpnia starego stylu, czyli 28 sierpnia nowego stylu. Pełen ciekawości, a zarazem lęku rozpoczynałem pierwszy rok szkolny. Następnego dnia po przyjeździe z wakacji zebrali się uczniowie na dziedzińcu szkolnym, skąd parami poszliśmy do pobliskiej Katedry, gdzie ksiądz prefekt o godzinie 9 wygłosił kazanie i odprawił mszę świętą cichą. Towarzyszyli nam profesorowie Polacy katolicy: Jan Khaun, lekarz Felicjan Samborski i Sylwester Wiąckowski, nauczyciel języka polskiego. Ministrantami byli czterej uczniowie. Po zakończeniu wróciliśmy parami do szkoły. Tu skierowano nas do salki na parterze, która przez cały rok miała być naszą pierwszą klasą. Przedstawił się nam wtedy jeden z profesorów, Rosjanin. Odczytał listę obecności i rozdał dzienniki klasowe, w których były zaznaczone pozycje do wpisywania przedmiotów lekcyjnych na cały rok i "kratki" na stopnie. Ogłosił, że mamy do szkoły przychodzić tylko w mundurkach przepisowych, że mamy się pilnie uczyć i nie marnować czasu, że przekroczenia będą karane, i temu podobne pouczenia. Oczywiście przemawiał po rosyjsku.

Do wnętrza szkoły prowadziły dwa wejścia: od frontu i z boku. Po drugiej stronie było wejście "prywatne" do mieszkania inspektora. Na frontonie budynku widniał napis dużymi literami złotymi na kwadratowej niebieskiej tablicy: Mużskaja progimnazja. Z korytarza prowadziły drzwi do poszczególnych sal klasowych, które były wprawdzie niskie, ale obszerne i widne, bo miały po trzy okna wychodzące na wschód, na Wisłę. Sklepienia miały żebrowe (gotyckie). Na pierwszym piętrze mieściła się sala cerkiewna, sala gimnastyczna i mieszkanie inspektora (później dyrektora). W salach klasowych stały ławki (dwa lub trzy rzędy) pomalowane na żółto, ale blat był czarny z otworem na kałamarz. W poszczególnych klasach były poustawiane katederki dla profesorów pomalowane na ciemnożółty kolor, których blat czarny był częściowo obniżony, aby na nich mógł być ułożony duży żurnał - dziennik, gdzie były wpisywane nazwiska i stopnie uczniów oraz wy pisane tematy lekcyjne. Katederka stała na nieco wzniesionym podium, aby profesor mógł wzrokiem objąć całą klasę. Uczniowie odpowiadali wzywani do katedry i zawsze w postawie stojącej. Czasem profesor schodził w szeregi ławek i tam pytał.

L e k c j e rozpoczynały się o godzinie 9 i trwały do 12 w południe. Potem następowała dwugodzinna przerwa na obiad, a po południu rozpoczynały się o godzinie 14 i ciągnęły się do 16, a nieraz do 17. Co dzień przed rozpoczęciem lekcji odbywała się wspólna modlitwa, początkowo w każdej klasie osobno, a później wszystkie klasy zbierały się razem w sali i

modlitwom przewodniczył ksiądz prefekt. Uczniowie prawosławni modlili się oddzielnie pod kierunkiem ich swiaszczennika (popa). Obecność na modlitwie była obowiązkowa. W niedziele i święta uczniowie całej szkoły zbierali się na dziedzińcu, a w zimie i w deszcz w sali i następnie parami szli do kościoła (Katedry), a prawosławni - do cerkwi.

Oddzielną grupę nabożeństw stanowiły tzw. g a l ó w k i w dni wolne od nauki - na cześć cesarza, cesarzowej i wysokich osób domu panującego. Było ich parę w roku. Księża prefekci odprawiali wtedy mszę świętą, ale bez kazania. Uczniowie i profesorowie byli obecni.

Lekcja trwała 50 minut. Początek i koniec lekcji zwiastował dzwonek woźnego zwanego też stróżem. Woźny nosił mundur granatowy do kolan, ale bez oznak.

R o k s z k o l n y trwał do połowy czerwca. Dzielił się na cztery kwartały, po których każdy uczeń otrzymywał stopnie wpisane do dziennika tygodniowego, gdzie były już uwidocznione stopnie uzyskane w ciągu tygodnia. Dziennik tygodniowy był wystawiany i wypełniany przez gospodarza klasy i przez niego podpisywany. Musiał być przedstawiony rodzicom lub opiekunom (właścicielce stancji), przez nich podpisany i w poniedziałek zwrócony, by można było do niego wpisać stopnie na następny tydzień, i tak przez cały rok.

F e r i e ś w i a t e c z n e trwały przeciętnie trzy tygodnie, przy czym ferie wielkanocne były nieraz dzielone, jeżeli święta prawosławne wypadały w innym terminie. Były wypadki, że obchodziliśmy je w marcu, a wtedy ferie wielkanocne trwały tydzień (katolickie), a prawosławne - dwa tygodnie, wkraczając nawet w maj<sup>13</sup>. Ferie letnie trwały dwa i pół miesiąca - od połowy czerwca.

E g z a m i n y r o c z n e obowiązywały w szkołach rosyjskich - od trzeciej klasy do ósmej. Promocja dokonywała się na podstawie egzaminów rocznych. Uczniowie z dwiema dwójkami nie byli dopuszczani do egzaminów. Roczne egzaminy były składane zazwyczaj z 2-4 przedmiotów, przy czym zawsze z języka rosyjskiego (egzamin ustny i pisemny). Zwykle około trzech, czterech uczniów odpadało i repetowało klasę, a jeśli już byli repetentami, to musieli ze szkoły odejść. "Odsiew" był duży w następstwie stawianych przez szkołę surowych wymagań. Poziom naukowy średniej szkoły rosyjskiej był wysoki. Uczono dobrze, tylko zbyt oficjalnie, że pomiędzy nauczycielami-Rosjanami, a uczniami-Polakami istniał mur nie do przebycia: nie tylko narodowy, ale i urzędowy, narzucony przez władze szkolne.

P o d r ę c z n i k i s z k o l n e można było nabyć w jedynej polskiej księgarni pp. Chodakowskich<sup>14</sup>. Zdaje się, że była jakaś ukryta prywatna księgarnia żydowska, która

---

<sup>13</sup> Tak było w r. 1910 (w drugim roku pobytu Autora w progimnazjum), kiedy Wielkanoc katolicka wypadała 27 III, a prawosławna dopiero 1 V (nowego stylu)

<sup>14</sup> *13 Mieściła się w kamienicy na rogu Rynku i ul. Zawichojskiej (Sokolnickiego)*

obsługiwała tylko uczniów Żydów, uczniowie Polacy z niej nie korzystali. W r. 1910 powstała oficjalnie księgarnia żydowska "Progres", ale przez Polaków była bojkotowana. Już wtedy głośzono hasła ekonomiczne: "Swoj do swego po swoje", ale nie miały one jeszcze zasięgu powszechnego, ogólnopolskiego, co nastąpiło dopiero po r. 1918.

Ferie świąteczne i wakacje spędzaliśmy w domu rodzinnym. Jeżeli uczeń został w Sandomierzu, to musiał płacić dodatkowo za pobyt. Te wyjazdy i przyjazdy stanowiły nie lada trudność. Większość uczniów pochodziła z sandomierskiego i opatowskiego i ci dojeżdżali do dom koźmi rodziców, którzy byli najczęściej rolnikami. Gorzej, jeżeli dom rodzinny był gdzieś dalej położony albo rodzice nie mieli koni pociągowych. Najbliższa stacja kolejowa znajdowała się w Ostrowcu i trzeba było wynajętymi koźmi dojeżdżać do Ostrowca przez Opatów, a stamtąd dalej koleją. Dorożka parokonna ogumiona kosztowała 3 rb, a jeżeli zabierała parę osób, to płaciło się po 1,50 rubla. Tańsza była lokomocja furkami żydowskimi - za dojazd płaciło się pół rubla, a nawet mniej, jeżeli jechało parę osób. Pasażerowie siedzieli na deskach pokrytych workami wypełnionymi słomą. Taka podróż trwała dłużej, bo furman zbierał zwykle 10-12 osób, a konie nie mogły pospieszyć. W podobny sposób jeździłem z Ostrowca do Sandomierza, w zimie odwoził mnie ojciec. Dopiero wojna 1914 r. wprowadziła zmiany komunikacyjne. Rosjanie zorientowali się, jak szkodliwa była ich przestarzała strategia, która zakazywała budowy kolei w pobliżu granicy. Zaczęli na gwałt budować linię kolejową z Ostrowca do Sandomierza, by móc dowozić zaopatrzenie wojska operującego w głębi kraju. Budowę rozpoczęli w jesieni, a na wiosnę musieli ustąpić przed armią austriacką.

Na wiosnę i w lecie był jeszcze inny sposób komunikacji, statkiem parowym Wisłą. Ten odbywał codziennie kurs z Sandomierza do Puław w ciągu 7 godzin. Po drodze zatrzymywał się na kilku stacjach, między innymi w Solcu, skąd do Rzeczniowa było 30 km. Parę razy jeździłem na święta i wakacje do domu statkiem, ale droga była nieco ryzykowna, bo koryto Wisły nieraz się zmieniało, tworzyły się mielizny, a statek mocno się opóźniał, nieraz parę godzin. Z Sandomierza do Solca statek "szedł" 5 godzin, a czasem i dłużej.

Dom rodzinny był najbliższy sercu, gdzie się zawsze dobrze czułem. Tam byli kochani, ofiarni rodzice, tam było najbliższe rodzeństwo: trzech bracia - Antoni, Władysław i Henryk oraz dwie siostry - Stanisława i Zofia. Różne losy życiowe były ich udziałem

#### **4. Młodzież gimnazjalna**

Progimnazjum sandomierskie miało do r. 1908 tylko 4 klasy i klasę wstępną (przygotowitielnyj klas). Każda klasa miała 40 uczniów albo mniej, a nigdy ponad 40. Klasa wstępna miała tylko 30 uczniów. Razem 180 osób. Gdy szkoła rozbudowała się do 6 klas, to

liczba uczniów wzrosła do 230-250. Stary budynek niełatwo mieścił taką liczbę, zwłaszcza że sporo miejsca zajmowała sala cerkiewna na I piętrze oraz mieszkanie inspektora. Uczniowie pochodzili głównie z Sandomierza i okolic: ze wsi i miasteczek. Byli synami chłopów i drobnych mieszczan, rzemieślników. W mojej klasie nie było uczniów ze sfery inteligenckiej poza trzema Rosjanami, którzy byli synami profesorów gimnazjalnych i oficerów. Obywatele ziemscy, jakich było sporo w Sandomierskiem, posyłali swe dzieci do szkół polskich w Galicji albo do większych miast w kraju.

Szkoła średnia była droga. O p ł a t a wynosiła 80 rb rocznie, co było dużą sumą, gdy się zważy, że zboże, które było głównym źródłem dochodów ludności wiejskiej, było tanie. Uczniowie Rosjanie byli wolni od opłat. W klasie były trzy stypendia w formie zwolnień od opłat.

Przez cztery lata pobytu w gimnazjum tylko dwa razy płaciłem połówkę (40 rb) a poza tym byłem zwalniany. Innych stypendiów, społecznych, nie było. Szkolnictwo nie obciążało skarbu rosyjskiego, ale go zasilalo.

W Rosji świat urzędniczy był umundurowany - od ministra począwszy, na zamiataczach ulic skończywszy. Uczniowie szkół średnich byli także umundurowani, podobnie jak i profesorowie. U b r a n i e u c z n i a składało się z czarnego sukiennego mundurka ze stojącym kołnierzem. Mundur był wcięty, bez kieszonek bocznych, a tylko jedna kieszeń na lewym boku na piersiach (na zegarek czy chusteczkę) była dozwolona. W lecie dozwolony był mundurek z białego płótna. Guziki w środku, na jakie się mundurek zapinał, musiały być zakryte. Również spodnie przepisowe były z czarnego sukna lub czarnego trykotu, dopasowane do mundurka. Do całości należał również pas rzemienny, sztywny, czarny, błyszczący, spinany na przodzie białą, metalową kłamrą, z wytłoczonymi na niej dużymi literami świadczącymi o przynależności do szkoły (np. SP - Sandomirskaja Progimnazja). Na jesień i zimę przepisany był płaszcz ("szynel") wzorowany na płaszczu wojskowym, z materiału granatowego, zapinany z przodu na dwa rzędy guzików metalowych koloru srebrnego, długi do kolan i niżej, z tyłu z patką na dwa guziki. Przepisowa była także czapka, wzorowana na rosyjskich czapkach wojskowych, która jednak miała niższe denka od czapek wojskowych, ciemnogramatowa z wierzchu, a górne i dolne kanty były obszyte jasnoszarymi paseczkami. Na przodzie czapki widniała biała metalowa palma z małymi srebrnymi literkami w środku, wskazującymi na przynależność do szkoły. Do całości munduru należał kołnierzyk lniany lub papierowy, który schowany był za stojącym kołnierzem. Uczniowie Rosjanie nosili często zamiast mundurka "rubaszki". Profesorowie Rosjanie w Sandomierzu nie używali "rubaszek". Uczniowie Rosjanie podkreślali swą narodowość jeszcze w ten sposób, że nosili czapki z wysokimi denkami (jak oficerowie), w przeciwieństwie do "czapek polskich" o niskich denkach (rondach). Do stroju

uczniowskiego należała także teczka na książki, skórzana lub z ceraty. Niedozwolone było noszenie książek w "gołej ręce".

Językiem urzędowym, w którym prowadzono wszystkie wykłady, był język rosyjski. Po polsku wykładano język polski (2 godz. tygodniowo) i religię (2 godz. tygodniowo). Tylko po rosyjsku wolno było zwracać się do profesorów Rosjan i po rosyjsku wolno było informować się w kancelarii szkoły, choć pracownikiem był Polak. Uczniowie Polacy z kolegami Rosjanami rozmawiali po rosyjsku, ale wzajemne stosunki koleżeńskie były pokojowe. Do profesorów uczniowie zwracali się przez imię i otczestwo, a nigdy przez "profesor", to był tytuł zastrzeżony dla profesorów uniwersytetu. Uczniowie z czasem dość dobrze opanowali język rosyjski i swobodnie się nim posługiwali, choć go nie lubili i unikali wszystkiego, co rosyjskie. W stosunkach koleżeńskich nigdy się językiem rosyjskim nie posługiwali. Nie śpiewano piosenek rosyjskich, nie używano przysłów czy powiedzonek rosyjskich. Gdyby uczeń Polak chciał śpiewać piosenki rosyjskie, to byłby przez kolegów obity.

Profesorowie zwracali się do uczniów per "wy", nigdy przez "ty" ani po imieniu. Nie wyśmiewali się i nie poruszali spraw polskich ani nie okazywali lekceważenia. Sprawy narodowościowe jakby nie istniały. Poza szkołą profesorom kłanialiśmy się zdjęciem czapki, a w szkole na korytarzu - szurgnięcie nóg i pochyleniem głowy.

Kłótnie i spory narodowe wśród uczniów nie istniały. Tych spraw nie omawialiśmy, unikaliśmy ich. Z kolegami Rosjanami czy Żydami utrzymywaliśmy na ogół poprawne stosunki koleżeńskie, a z niektórymi zawiązywały się przyjaźnie. Byliśmy co prawda w wieku chłopięcym, o niedojrzałej jeszcze świadomości narodowej. Nie było też propagandy czy agitacji w tym kierunku. Zajęta postawa czystego koleżeństwa była najbardziej odpowiednia.

## **5. Nauka**

Wykłady odbywały się po rosyjsku, rosyjska też była cała atmosfera szkolna. Proces swoistej rusyfikacji myślenia dokonywał się podświadomie. Niektóre terminy językowe tak opanowały psychikę, że nie dały się stamtąd łatwo usunąć. Zwłaszcza terminy techniczne. Na przykład długo potem nie mogłem się przyzwyczaić do polskich nazw pojęć geometrycznych. Pewne słowa i związane z nimi pojęcia długo pokutowały w pamięci.

Przedmioty lekcyjne miały niejednakowe wymiary wykładowe. Język rosyjski był wykładany w wymiarze 5 godzin tygodniowo, historia i geografia miały przyznane po 3 godziny, ale język polski i religia - tylko po 2 godziny. Podczas przerw lekcyjnych rozmawialiśmy po polsku, z kolegami Rosjanami po rosyjsku (a czasem po

polsku, gdyż oni nasz język z czasem opanowali), z kolegami Żydami - po polsku. Języki obce nowożytnie rozpoczynały się od klasy drugiej (francuski i niemiecki), a łacina od klasy trzeciej.

P o z i o m szkoły był dobry. Profesorowie Rosjanie mieli fachowe wyższe wykształcenie i uczyli dobrze. Panował jednak formalizm, zamknięcie się w podręczniku, unikanie dyskusji, wyjścia poza ujęcie podręcznikowe. Nie istniały żadne kółka naukowe, nie spotykaliśmy się z profesorami poza lekcjami. Lektura rosyjska była uprawiana, ale nie wychodziła poza tematykę szkolną. Pomiedzy profesorem i uczniem panowała obcość, a nawet "wrogość szkolna". Dystans urzędowy był nakazany, a formalizm szkolny – „metoda”. Nie było wspólnych wycieczek z profesorami, a wycieczki samych uczniów budziły lęk, że może powstać antyrządowy spisek. Nie pozwalano nawet na wspólne zabawy z młodzieżą sąsiedniej szkoły żeńskiej. Biblioteki szkolne były dobrze zaopatrzone i stały dla uczniów otworem, ale wybór książek był ograniczony do literatury pomocniczej szkolnej.

## **6. Uroczystości.**

Małe miasteczko, jakim był ówczesny Sandomierz, nie miało większego *ż y c i a k u l t u r a l n e g o*. Środowisko polskie nie obfitowało w siły na wysokim poziomie kulturalnym. Inteligencja polska była nieliczna. Szkoła rosyjska, jeżeli występowała na zewnątrz, nie mogła liczyć na poparcie, a nawet na udział społeczeństwa polskiego. Zresztą ówczesna Rosja nie szukała kontaktów ze społeczeństwem polskim. Dlatego nie urządzano żadnych wspólnych imprez kulturalnych. Były uroczystości szkolne, państwowe, ale także polskie obchody religijne i ogólnokulturalne.

Jubileusz Nikołaja Gogoła w r. 1909, w stulecie jego urodzin, był obchodzony przez ówczesne progimnazjum i żeńską szkołę maryjską. Urządzono wówczas wspólnie przez obie szkoły akademię w sali szkoły maryjskiej (żeńskie progimnazjum państwowe). Audytorium stanowili profesorowie obu szkół średnich, oficerowie miejscowego garnizonu, nauczyciele Polacy, urzędnicy Polacy i młodzież obu szkół. Niezależna inteligencja polska, tj. niepracująca w instytucjach państwowych, akademię zbojkotowała. W świecie urzędniczym Polacy zajmowali miejsce podrzędne jako pracownicy poczty, magistratu, urzędu skarbowego. Wyższe stanowiska były w ręku Rosjan. Liczna była sfera polskich obywateli ziemskich, ale ci się na akademii nie pokazali. Odczyt o Gogolu wygłosił prof. Andriej Dubrowskij. Były deklamacje o Gogolu, śpiewano jakieś pieśni narodowe rosyjskie i oczywiście narodowy hymn rosyjski. Śpiewałem go jako członek chóru szkolnego. Na udziale w chórze szkolnym zakończyłem swą karierę artystyczną. Chciałem się zapisać do

orkiestry szkolnej, ale nie udało mi się wydobyć dźwięku na wybranym instrumencie i musiałem zrezygnować.

W chronologicznej kolejności należy wspomnieć o pogrzebie Jana Khauna, wieloletniego profesora matematyki progimnazjum sandomierskiego. Był wychowankiem jeszcze Szkoły Głównej w Warszawie, a po jej ukończeniu związał się z Sandomierzem. Zachował oblicze Polaka patrioty dawnego typu. Zmarł w r. 1910, a na jego pogrzebie przemawiał z płaczem dawny prefekt i współpracownik w szkole - ks. kanonik Kukliński.

W r. 1910 zmarła Maria Konopnicka, poetka dobrze nam znana z lektur. Uczczono ją nabożeństwem w Katedrze podczas zwykłej mszy uczniowskiej, ale raczej skrycie, gdyż nie ogłaszano nawet klepsydr żałobnych ani nie wygłoszono mowy żałobnej w kościele. Jej postawa religijna budziła wątpliwości, nad którymi starano się przejść do porządku, podkreślając raczej jej uczucie miłości bliźniego, współczucie dla biednych, miłość do człowieka w ogóle. Ksiądz prefekt wspominał jedynie w kazaniu, że zmarła znana poetka polska i wezwał do modlitwy za jej duszę.

Inny uroczysty, a zarazem religijny i patriotyczny charakter miało nabożeństwo z okazji śmierci Bolesława Prusa w r. 1912. Publiczność tłumnie zjawiała się w Katedrze, była straż pożarna, cechy rzemieślnicze zjawily się ze sztandarami. Kazanie patriotyczno-religijne wygłosił ks. prałat Puławski z Koprzywnicy, dawny profesor seminarium duchownego, prześladowany przez władze rosyjskie. Hymnu narodowego ani pieśni patriotycznych nie śpiewano w obawie represji. Była to jednak uroczystość bardziej patriotyczna niż religijna.

Swoisty charakter miała wizyta arcybiskupa prawosławnego Eulogiusza w naszej szkole. Jakie mu przy tym przyświecały cele? Może to była zwykła wizytacja pasterska placówek prawosławnych w jego diecezji, a może liczył, że znajdzie prozelitów. Zebrano wszystkich uczniów prawosławnych i katolików i utworzono koło, w którego środek wszedł arcybiskup i przemówił o potrzebie nauki, o pracy nad sobą, o opiece Bożej nad człowiekiem. Nie poruszał punktów spornych z katolikami, nie agitował, nie zachęcał do prawosławia. Przemówienie 20-minutowe było łagodne i przyjazne.

Z nabożeństwem prawosławnym spotykaliśmy się zazwyczaj na tzw.

u r o c z y s t o ś c i J o r d a n u, pamiętce chrztu Chrystusa, w prawosławne święto Trzech Króli. Były wtedy śpiewy cerkiewne, krótkie przemówienia religijne popa, salwa wojska w powietrze, defilada. Dokonywało się wtedy uroczyste poświęcenie wody na placu koło kościoła św. Józefa blisko ogrodu spacerowego<sup>15</sup> - widowisko barwne, raczej świeckie niż religijne, na które przychodziła również ludność polska. Poza tym nie mieliśmy kontaktów z

---

<sup>15</sup> *Po kasacie w r. 1869 r. klasztoru Reformatów przy kościele św. Józefa w budynku poklasztornym urządzono cerkiew prawosławną*



prawosławiem. Była wprawdzie w moim gmachu szkolnym na I piętrze cerkiew, ale której - raz obejrzawszy - nie nawiedzaliśmy. Prawosławnych było niewiele poza wojskiem i pracownikami szkoły. Wojskowych unikaliśmy. Żołnierzy rosyjskich spotykaliśmy w ogrodzie miejskim - najczęściej pijanych.

Wydarzeniem kościelnym był w r. 1909 przyjazd do Sandomierza ks. Kazimierza Ruszkiewicza, sufragana warszawskiego, który oprócz święceń kleryków na subdiakonów i diakonów dokonał bierzmowania uczniów gimnazjalnych, jeżeli ci nie byli jeszcze bierzmowani. Wśród nich znalazłem się również ja. Przystąpiłem do bierzmowania obierając sobie imię Stanisław. Uroczystość odbyła się w Katedrze szczelnie wypełnionej przez uczniów i ludność z miasta, która licznie przybyła z ciekawości więcej niż z pobożności.

## **7. Spacerzy. Zabawy**

Dzień był wypełniony pracą i odpoczynkiem, który oznaczał nie tylko przerwę w pracy, ale również innego rodzaju zajęcia, jak gry, spacerzy, zabawy ruchowe, lekturę itp. Uczeń przebywał w szkole 5, czasem 6 godzin dziennie. Poza tym znajdował się poza szkołą: na stacji, na spacerze, odrabiał korepetycje, robił wycieczki, nie oddalając się jednak zbyt od miasta. Uczniowie tworzyli, obok Żydów, codzienne oblicze miasta i można ich było wszędzie zobaczyć spacerujących na Rynku, na ulicach, na drogach podmiejskich. Byli zawsze widoczni na d z i e d z i ń c u s z k o l n y m, gdzie uprawiali gry, powtarzali lekcje, odbywali krótkie spacerzy. Stanowił on tylko część dawnego terenu szkolnego. Rosły na nim lipy i brzozy, ale były też puste miejsca nadające się na gry i zabawy. Za moich czasów powodzeniem cieszył się krokieta i gra w palanta.

O g r ó d m i e j s k i był drugim ulubionym i uczęszczanym miejscem spacerów i zabaw. Stanowił on wówczas zakończenie miasta na stronie zachodniej. Dalej rozciągały się pola. W niedziele i święta w ogrodzie miejskim grała orkiestra strażacka. W ogrodzie był oddzielony teren na zabawy ruchowe. I tam panował modny wówczas krokieta. Czasem urządzano filantropijne loterie oraz tańce na podium. Ujemną stroną ogrodu było błoto, jakie pojawiała się po każdym deszczu.

B ł o n i a m i e j s k i e dawały większe możliwości spacerów. Rozciągały się one na wschód od miasta na przestrzeni paru kilometrów wzdłuż Wisły. Przy Wiśle błonia były pokryte gęstą wikliną. Od odnogi Wiselki prawie do szosy zawichojskiej były właściwie dużą piaszczystą łąką. Tam odbywały się gry zbiorowe, różnego rodzaju biegi, wyścigi, gry w palanta. Tam nie docierał "pomocnik klasowego gospodarza ", pełniący właściwie funkcje

policyjne w ówczesnych szkołach rosyjskich, ani uczennice szkoły maryjskiej nie obawiały się "klasowej damy", która czuwała na wszystkich lekcjach.

Błonia były dostępne tylko w miesiącach letnich i ciepłych, od maja do października. Na wiosnę były z reguły zalewane przez wody wiślane, które utrzymywały się dość długo. Szerokie połacie wikliny umożliwiały ukrywanie się w ich gąszczach i podejmowanie kąpieli w miejscach zakazanych. Corocznie Wisła pochłaniała ofiary takich kąpieli.

Oprócz zabaw ruchowych uprawiane były po stancjach z a b a w y u m y s ł o w e: gra w warcaby, w szachy, a przede wszystkim w karty. Grano głównie w preferansa, starsi uczniowie uprawiali grę w winta. "Dureń" uważany była za grę prostacką. Władze szkolne pozwalały, a nawet zachęcały do gry w warcaby i szachy, natomiast gra w karty była zakazana. Jeżeli uczniów schwytano na gorącym uczynku, mieli zmniejszane stopnie ze sprawowania.

Ż y c i e t o w a r z y s k i e rozwijało się w dość ciasnych ramach małego miasteczka i miało dość specyficzne cechy. Było to raczej tylko życie koleżeńskie na stancjach. Wiek uczniów nakładał granice romantyczności. Młodzież męska była w latach 11 do 17, a wiek młodzieży żeńskiej, której studia zamykały się w 15-16 roku życia sprawiały, że wzajemne stosunki koleżeńskie pomiędzy nimi utrzymane były w ramach szczuplejszych niż w dużych miastach. Ale już wtedy zawiązywały się znajomości, które w późniejszych latach kończyły się nieraz małżeństwem. Znam wypadek, że 13-letni uczeń II klasy uciekł z uczennicą, 12-letnią Żydówką. Policja ich w drodze ujęła, oboje zostali z klasy usunięci. Na ogół jednak nie słyszało się o wykroczeniach w tej dziedzinie.

## **8. Stancje.**

Zjawiskiem wyjątkowym, rzadko spotykanym w innych krajach, były tzw. stancje. Mianem tym oznaczane są niewielkie wspólnoty uczniów (najwyżej 20), którzy grupowo zamieszkiwali dom będący własnością lub stanowiący dzierżawę pewnych osób, które prowadziły gospodarstwo na własny rachunek. Uczniowie poddani byli wspólnemu regulaminowi, często tylko nominalnemu. Stancje stanowiły pewną społeczną jednostkę pod kontrolą szkoły, ale w życiu wewnętrznym całkiem autonomiczną. Strona gospodarcza należała wyłącznie do pań właściolek czy kierowniczek, ale siłą rzeczy one czuwały również nad moralnym zachowaniem się uczniów, nad ich sprawowaniem się. One ustalały porządek obowiązujący w domu i w pewnym stopniu wychowywały uczniów. Właścicielki otrzymywały od władz szkolnych koncesję na prowadzenie stancji, a kontrola szkoły odbywała się w ten sposób, że jeden z wyznaczonych profesorów co pewien czas wizytował stancję, ustalał nieobecność uczniów, pytał o ich sprawowanie i swe uwagi wpisywał do

książki kontrolnej stancji. Stancje były gorsze i lepsze, tańsze i droższe. Opłaty wahały się od 120 do 150 rubli rocznie, a właściwie za 9 miesięcy, gdy się odliczy wakacje i ferie świąteczne.

Umeblowanie stancji było skromne. Zazwyczaj w środku pokoju stał długi stół, nad którym zwisała lampa naftowa oświetlająca pokój; wokół drewniane krzeselka, a częściej drewniane taborety do siedzenia przy posiłkach i przy nauce.

Stancje dawały tylko mieszkanie i stołowanie. Wszystko inne (łóżko, pranie i reperacja bielizny, zakup książek) uczeń załatwiał w swoim zakresie i sam opłacał. Stołowanie składało się ze śniadania, obiadu i kolacji. Na śniadanie podawano dwie bułeczki białe bez omasty, obiad składał się z zupy (zazwyczaj rosół) i mięsa, a na kolację dawano herbatę z mlekiem i bułką, czasem serdelek czy jakieś ciasto. Jakość i ilość dań były zależne od tego, jaka była opłata za stancję. Rolę kucharki pełniła służąca, a czasem sama pani domu. "Trzymanie stancji" było jednocześnie imprezą handlową dla zaokrąglenia budżetu, a często jedynym środkiem utrzymania.. Nawet niżsi urzędnicy rosyjscy zatrudnieni w szkole utrzymywali stancję, a rodzice spodziewali się, że w ten sposób swym dzieciom zapewnią protekcję.

Uboyczny cel stancji miał charakter polityczny. Władze państwowe nie pozwalały na powstanie większych internatów, burs czy konwiktów w obawie, że w większych zespołach może być prowadzona akcja polityczna czy narodowa, a także iż kierownictwo takich internatów może stać się organem kształtującym ideologię uczniów i zdobędzie autorytet osłabiający kierowniczą pozycję szkoły państwowej. Dlatego nawet towarzyskie zebrania koleżeńskie uczniów różnych stancji były zakazane, a tym bardziej wiece, dyskusje. Nie wolno było również gromadzić się uczniom w większe zespoły poza nabożeństwami w kościele, bo groziło to potencjalną konspiracją, buntem.

W ciągu czterech lat przeszedłem cztery stancje. Niefortunna była pierwsza stancja pani J., gdy byłem uczniem I klasy. Położona przy ulicy graniczącej z dzielnicą żydowską stancja ta była ciasna, bez żadnej opieki ze strony właścicielki poza stołowaniem, miała uczniów różnego wieku. Czułem się tam źle. Pilnie się uczyłem i choć pozbawiony należytej opieki, przeszedłem do wyższej klasy z dobrym wynikiem. Przez następne dwa lata byłem na stancji u pp. Mireckich, gdzie miałem dobrą, życzliwą opiekę, a tylko niedobrego kolegę, który mi zazdrościł dobrych postępów w nauce i dokuczał. Było to mieszkanie w starożytnym Domu Długosza. Na parterze mieściła się biblioteka Macierzy Szkolnej, z której dużo korzystałem. W pokoju-kuchni, gdzie mieszkałem, stał fortepian pana organisty, który mnie wprowadził w znajomość muzyki, co mi się później, gdy byłem w seminarium duchownym, przydało. Pobyt na stancji u pp. Mireckich odegrał w moim życiu jeszcze inną ważną rolę: pogłębił we mnie życie religijne i przyspieszył wstąpienie do seminarium

duchownego. Sam byłem z natury religijny. Nasza mama, podobnie jak jej rodzice, a moi dziadkowie, była głęboko religijna. Rano, gdy wcześnie wstała, długo się modliła, a często wspólnie z dziećmi śpiewała godzinki. Ja od wczesnych lat chodziłem służyć do mszy świętej w kościele parafialnym. Pamiętam, że gdy miałem 9 czy 10 lat, chodziłem z mamą do Sienna, gdzie odbywały się misje. Po obiedzie wędrowałem z mamą 5 km. Tam przebywaliśmy na konferencjach i na nabożeństwie wieczornym. Późnym wieczorem wracałem do domu pieszo. Nie opuszczałem też żadnych nabożeństw w naszym parafialnym kościele, blisko położonym. Religijność ojca była bardziej urzędowa. Pamiętam, że na klęczkach modlił się wieczorem przed spaniem, ale nie razem z dziećmi, które pobożności uczyły się od matki.

Gdy mieszkałem na stacji u Państwa Mireckich, często towarzyszyłem panu Mireckiemu, organizując i przypatrywałem się jego grze na organach. Często bywałem na nabożeństwach, a codziennie, gdy szedłem do szkoły, wstępowałem do Katedry na modlitwę, co zresztą praktykowało sporo uczniów. Jeszcze jeden czynnik wpływał dodatnio na moje życie religijne, a mianowicie uczęszczanie na pogadanki religijne, jakie się odbywały w sali parafialnej Domu Długosza, a które miewał ks. Julian Młynarczyk i wyświetlał przeźrocza. Byłbym dłużej pozostał u Państwa Mireckich, ale Pan Mirecki przeszedł na emeryturę i wyjeżdżał poza Sandomierz. Musiałem szukać nowej stacji i znalazłem ją u p. Brzozowskiej na ul. Zawichojskiej. Był to domek drewniany, w którym oprócz właścicielki i jej córki mieszkało 6 uczniów w moim wieku i trochę starszych. Towarzystwo było zgodne, dobrane, ale dom był położony nieco dalej od szkoły i Katedry. Ta stacja istniała tylko do Bożego Narodzenia, ponieważ pani właścicielka wydawała córkę za męża za najstarszego ucznia naszej szkoły z VI klasy i potrzebowała pokoju. Narzeczoney miał lat 21 i nosił wąsiki, a panna zaledwie ukończyła 16 lat.

Po Bożym Narodzeniu przenieśliśmy się na stację do Pani Brodnickiej na ul. Długosza, blisko naszego gimnazjum. Dom był nieco niżej położony. Dziś ani ulica, ani ten dom nie istnieją, gdyż okazało się, że tam właśnie teren zapadał się i przy regulacji miasta dom ten wysadzono w powietrze, a teren dziś pokrywa murawa. Dla mnie dom ten należy do historii rodzinnej, gdyż później w latach 1922-1925 mieszkał tam na stacji u Pani Wolakowej mój brat Władysław, a w latach 1927-1930 mój najmłodszy brat Bolesław. Na stacji u Pani Brodnickiej zetknąłem się z k o n s p i r a c y j n ą p r a c ą s a m o k s z t a ł c e n i o w ą o zabarwieniu politycznym. Skład zespołu był elitarny. Zbieraliśmy się raz na miesiąc (a może co dwa tygodnie). Z trzech najstarszych klas było nas razem może 20. Zwykle omawiano jakieś dzieło z literatury i na tle tych rozważań snuto różne refleksje natury ogólnej: etyczne, narodowe, polityczne. Pamiętam, że byłem referentem powieści Orzeszkowej *Nad Niemnem*, ale z tym niełatwo dawała sobie radę moja młoda 15-letnia

głowa. Ustawialiśmy straż w pewnej odległości od domu, żeby nas alarmowała, gdyby się pokazał ktoś z władzy szkolnej. Ale obyło się bez wypadku. Zresztą zebrania te były politycznie niewinne.

Rok 1911/1912 był ostatnim rokiem mojego pobytu w gimnazjum sandomierskim. Postanowiłem się przenieść do seminarium duchownego i rozpocząć nowe życie.

## 9. Profesorowie

Język polski był w gimnazjum tylko tolerowany, i to w szczupłym zakresie. Ponadto profesor języka polskiego był umyślnie dobierany bez pełnych kwalifikacji, a często tylko miał wykształcenie nauczyciela szkoły podstawowej bez ukończenia szkoły wyższej, by nie miał należytej pozycji naukowej w szkole. Język polski nie był też przedmiotem egzaminu rocznego warunkującego przejście do klasy wyższej.

Nauczyciele Rosjanie zazwyczaj wywodzili się z głębi Rosji albo z terenów azjatyckich, reprezentowali często typy mongolskie, tatarskie.

Profesorowie byli urzędnikami zaliczanymi do określonej kategorii zależnie od urodzenia, wysługi lat itp. Jako urzędnicy (czynownicy) nosili w szkolne mundury. Te były dwojakiemu rodzaju. Pierwszym był uroczysty mundur niebieskogrnatowy do kolan (rodzaj surduta) z wyłożonym kołnierzem, na którym widniały insygnia urzędnicze w formie gwiazdek i pałeczek haftowanych złotem, zapinany na dwa rzędy metalowych guzików z orłem rosyjskim koloru złotego. W takich mundurach prowadzili profesorowie wykłady i występowali urzędowo. Drugi typ munduru miał charakter roboczy, był rodzajem marynarki do pasa w czarnym lub niebiesko-grnatowym kolorze z metalowymi guzikami z naszywkami na kołnierzu.

Tytułatura była uproszczona: tylko imię i otczestwo bez dodatków "profesor" itp. Tytuł gospodin (pan) używany był tylko w pismach a nie w mowie.

Profesorowie Polacy byli nieliczni. J a n K h a u n, profesor matematyki, uczył mnie tylko w I klasie, później przeszedł emeryturę i zmarł w r. 1910. Był niskim, szczupłym, drobnym staruszkim. Twarz miał pociągłą, drobną, pożółkłą, starczą. Z trudem poruszał się naprzód, pilotowany zazwyczaj przez uczniów, którzy od rana czuwali przy jego domu (koło Katedry), nosili za niego poprawione zeszyty z ćwiczeniami, a w szkole nieśli przed nim wielki dziennik klasowy. Mówił po rosyjsku powoli z dziwnym akcentem. Podobno ten mankament językowy utrudniał mu karierę profesorską i dlatego nie mógł przejść do większego miasta ani do pełnego gimnazjum. A może na przeszkodzie stanęły jego przekonania religijne.

Na lekcje przychodził w krótkim granatowym mundurze, równie starym, jak jego właściciel. W klasie przybierał minę urzędową, groźną, ale nie mógł opanować klasy. Mówił głosem powolnym, starczym. Jego wyjaśnienia lekcji były słabe, brak mu było sił do jej prowadzenia. Jego duże oczy były smutne, jakby bezradne. Mieszkała przy nim siostra starszka. Byłem na jego pogrzebie. Kondukt pogrzebowy prowadził ks. kanonik Kukliński, kolega, który płacząc nie mógł dokończyć przemówienia.

Sylwester Wiąckowski był nauczycielem języka polskiego. Był wtedy człowiekiem młodym po trzydziestce, wzrostu słusznego, elegancki, zaliczany do elity inteligencji polskiej. Nazwaliśmy go "Poziomką" ze względu na rumianą twarz i pogodne usposobienie. Do klasy przychodził w krótkim mundurze (nigdy w surducie), w lecie nosił mundur biały. Nie nawiązywał bliższych kontaktów z uczniami, ani naukowych, ani w stosunkach towarzyskich. Miał własny ładny, parterowy dom w posagu po żonie ze znanej sandomierskiej rodziny Wajrochów. Nie miał wyższego wykształcenia polonistycznego, lecz tylko szkołę średnią uzupełnioną jakimiś kursami dla nauczycieli szkół średnich. To mu szkodziło w opinii społecznej i u uczniów. Wykładowcą był przeciętnym. Zachowywał zawsze postawę polską, uczniom pomagał. Gdy po odejściu Rosjan powstały polskie szkoły średnie, prof. Wiąckowski jeszcze wykładał przez parę lat, ale później, gdy przybyło parę fachowych sił polonistycznych, przeszedł do administracji miejskiej. Przez kilka lat był burmistrzem miasta, a później należał do Rady Miejskiej i pracował w banku. Zdaje się, że zmarł przed drugą wojną światową, a rodzina opuściła Sandomierz.

Felician Samborski był lekarzem szkolnym, a jednocześnie profesorem przyrody. Postać charakterystyczna Sandomierza - był wzrostu średniego, otyły, łysy. Praktyki lekarskiej prawie nie miał. Wartości lecznicze przypisywał tylko jodynie, chininie i aspirynie czy rycynie. Przed pierwszą wojną był również lekarzem seminaryjnym. Gdy przychodził do seminarium do chorych, a spotykał na korytarzu kleryków, to od razu podejmował dyskusję filozoficzną. Klerycy nazywali go Sokratesem. Gdy zabrakło profesora przyrody, sięgnięto po Samborskiego. Uczniowie lubili go za jowialność, za życzliwą postawę życiową, za łagodne pytania i dobre stopnie, a także za jego dziwną polsko-rosyjską wymowę, która uczniów bawiła i śmieszyła. Zmarł w r. 1925. Byłem na jego pogrzebie. Był człowiekiem religijnym, choć była to religijność swoista..

Podobno Polakiem był także nauczyciel łaciny Michał Krauz człowiekiem, dystyngowany starszy pan po pięćdziesiątce. Do klasy przychodził zawsze w uroczystym długim mundurze. Wchodził na katederkę energicznym, krokiem i lustrował klasę przez binokle, o których mówiono, że dawały podwójne widzenie, bo dostrzegały uczniów nie przygotowanych. Łacina obowiązywała od klasy III, ale poprzedni profesor Norup niczego

nas nie nauczył. Prof. Krauze musiał w ciągu roku przerobić dwie klasy. Na jego lekcjach panowała cisza i trzeba było mieć napiętą uwagę. Trzeba było dobrze opanować gramatykę i biegle tłumaczyć tekst. Na katederze ze swą dużą głową, czerwonymi pełnymi policzkami, długim nosem i krótko strzyżonymi włosami prof. Krauze wyglądał groźnie i budził lęk. Chyba chorował na astmę, bo stale kaszłał i pluł. Lekcję prowadził po rosyjsku, ale gdy mu zabrakło słowa rosyjskiego, posiłkował się językiem polskim. Po polsku mówił poprawnie, ale z uczniami rzadko, tylko z konieczności. Zasadniczo nie zaznaczał swej polskości. Podobno był protestantem i dlatego nie chodził z uczniami do Katedry. Przypuszczam, że pochodził z Niemców kolonistów, jakich było dużo na Lubelszczyźnie. Poprzednio był profesorem w gimnazjum zamojskim.. Był doskonałym pedagogiem, może najlepszym ze wszystkich tamtejszych nauczycieli.

Profesorowie Rosjanie zajmowali stanowiska kierownicze. M i c h a i ł N o r b e k o w był inspektorem w latach 1908-1911. Miał wtedy około 40 lat. Miał typowo tatarskie rysy twarzy, które klóciły się z jasną, białą cerą wskazującą na słowiańskie pochodzenie. Uczył nas historii Rosji. Wykładał dobrze, u uczniów miał posłuch. Mówiono, że był człowiekiem sprawiedliwym. Był chłodny, urzędowy, ale grzeczny i delikatny.

W roku 1911 na dyrektora przyszedł M. M o d i n, starszy siwawy pan. Jego niebieskie, niewielkie oczy pod krzaczastymi brwiami przenikały ucznia i budziły lęk. Uczył nas historii starożytnej, ale nie z katederki, lecz wchodził między ławki i pytanemu patrzył w oczy, co wykluczało podpowiadanie i ściąganie. Nosił się dostojnie, zawsze ubrany w długi urzędowy mundur. Wykładał dobrze i podobno uczniom szedł na rękę.

W a s l i j N o r u p był najstarszym profesorem, z pochodzenia Duńczykiem, który dla posady zmienił wyznanie i zrusyfikował się. Wtedy był starym, zniedołężniałym człowiekiem. Uczył łaciny. Była to parodia lekcji. Gdy staruszek wchodził do sali, nie ustawała wrzawa, jaka panowała od przerwy. Profesor wydobywał wtedy notes i wywoływał ucznia do lekcji. Ale nie pozwalano mu usiąść. Pozostawał między ławkami otoczony stojącymi uczniami. Nie poznawał ich i nieraz do odpowiedzi podstawiano mu innego ucznia. Podpowiadanie i ściąganie z książki było nagminne. Odbywały się spory i targi na temat ocen odpowiedzi. Pan Norup się usprawiedliwiał, że postawił niższy stopień i na tym się kończyło. Dwójek nie było, ale uczniowie niczego się nie nauczyli.

G e n n a d i j R o s s o p ł o w s k i j objął przedmioty matematyczne po odejściu prof. Khauna. Niski, krępy, o prawie kwadratowej twarzy miał wygląd Mongoła. Był gospodarzem naszej klasy. Uczył dobrze, miał poprawny stosunek do uczniów, rzadko stawiał czwórki, ale też nie szafował dwójkami. Nie miał zatargów z uczniami. W stosunkach były sztywne, ale poprawne. Pozostał nam człowiekiem obcym, jak inni "poprawni" Rosjanie.

A n d r i e j D u b r o w s k i j uczył mnie przez trzy lata języka rosyjskiego. Był wysokim, tęgim mężczyzną koło 40 lat. Był zawsze nienagannie ubrany, zazwyczaj w długi granatowy mundur. W stosunku do uczniów zachowywał dystans. Głosił wielkość Rosji, podkreślał jej potęgę i wielkie możliwości rozwojowe. W starszych klasach wymagał nadprogramowych lektur rosyjskich. Zwalczał zaś czytanie książek polskich, gdyż one utrudniają opanowanie języka rosyjskiego. Nazywaliśmy go Bojarem, a jego żonę - Bojarynią. Oboje pasowali do obrazu bojarów znanych nam z literatury rosyjskiej. Był, a raczej chciał być, rusyfikatorem. Uczył do r 1911, potem został przeniesiony w drodze awansu do Łodzi, gdzie zastała go wojna.

N i k o ł a j Ł a k i d a był następcą Dubrowskiego na katedrze języka rosyjskiego, człowiek jeszcze młody, po trzydziestce. Lekcje prowadził na wesoło, choć stawiał duże wymagania. Nie prowadził jednak propagandy rosyjskiej, nie atakował Polski. Jego lekcje były okraszone dowcipami i żartami. Podobno ciążył ku Polsce i lubił polskie towarzystwo. Spotkałem go niespodziewanie w Sandomierzu w r. 1921, dokąd przyjechał, aby uzyskać referencje o swojej postawie wobec Polaków przed wojną. Przypuszczam, że pozostał w Polsce, ale nie wiem, jakie były jego dalsze losy.

Języka niemieckiego uczyła w latach 1909-1911 pani S c h m i d t, czy Szwarz, dziobata szatynka w średnim wieku. Język niemiecki zaczynał się w drugiej klasie. Niewiele nas nauczyła. Od r. 1910 uczył starszy pan Reiter, Niemiec z Łotwy, były wojskowy. Starał się być poprawny w stosunkach z uczniami, ale nie mógł znaleźć z klasą wspólnego języka. Miał swoje sympatie i antypatie. Na tym tle doszło raz do dramatycznego wydarzenia. Jeden z kolegów dostał stopień niedostateczny i groziło mu wydalenie, ponieważ był repetentem. Decydowała dwójka z niemieckiego. Poprosił p. Reitera o przepytanie w nadziei, że stopień poprawi. Wezwany do odpowiedzi nie odpowiedział na postawione pytania i profesor postawił mu dwójkę. Wtedy uczeń półpłaczem zaczął błagać profesora *postawcie mnie trojku*, a za nim cała klasa powtórzyła tę prośbę. Ale profesor odmówił. Wtedy uczeń nie panując nad sobą posunął się naprzód i pchnął profesora. Ten zawołał: *Czto wy?* Następnie wziął dziennik i wyszedł z klasy. Zastygliśmy z przerażenia. Wkrótce potem wszedł do klasy dyrektor i kazał nam iść do domu. Po kilku dniach przyjechał sędzia śledczy z okręgowego sądu w Radomiu i każdego z nas badał, zapisując zeznania. Obawiano się, że był to spisek antyrządowy. Kiedy się przekonano, jakie było właściwie tło wydarzeń, przerwano badania, ale ucznia usunięto ze szkoły.

Od klasy II obowiązywał również język francuski. Prowadził go p. R e y m o n d. Był trochę komiczną figurą i niezaradnym nauczycielem. Odpowiedzi uczniów opierały się na podpowiadaniu i ściąganiu z książki. Po rosyjsku mówił słabo, z akcentem francuskim. Aby ułatwić sobie życie, uczniowie wpadli na pomysł pytania profesora o znaczenie pewnych



słówek francuskich. Profesor brał to za dobrą monetę i odpowiadał na pytania. Kiedyś sam padłem ofiarą tej dyskusji. Któryś z kolegów namówił mnie, by zapytać, co znaczy słowo "bergere", na co od profesora otrzymałem odpowiedź: *Eto maleńkaja pastuszka*. Wywołało to głośny śmiech klasy i profesora. Odtąd w klasie nazywano mnie "Berzer".

N i k o ł a j K r a s n o w był nauczycielem geografii. Na lekcji był poważny, trochę ponury. Łatwo wpadał w gniew, a wtedy stawał się niebezpieczny: stawiał jedynki i dwójki, podnosił głos i krzyczał. Podkreślał na lekcjach swe nacjonalistyczne przekonania. Krasnow był człowiekiem trudnym, ale dobrym profesorem. Jego syn był moim kolegą w klasie. Nauczył się po polsku i po polsku z nami rozmawiał, jeżeli nikt się temu nie przysłuchiwał.

Nauczycielem drugiej kategorii był K r i u k o w (imienia nie pamiętam), który uczył rysunków i kaligrafii. Mówiono, że stale znajdował się w stanie oszołomienia alkoholowego. Mówiono też, że jest nieszkodliwy i pobłażliwie traktuje objawy patriotyzmu u uczniów.

Osobną kategorię w gimnazjach rosyjskich stanowili tzw. p o m o c n i c y k ł a s o w i (k ł a s s n y j e n a s t a w n i k i). Byli czymś pośrednim pomiędzy nauczycielami a woźnymi. Ich obowiązkiem było czuwanie na korytarzu, by uczniowie nie opuszczali ukradkiem lekcji. Wychodzący z klas musieli się przed nim wytłumaczyć. Chodzili umundurowani, nosili urzędowe czapki z orzełkiem rosyjskim i należeli do kategorii urzędników (czynownicy). Byli jakby szkolnymi policjantami. Takimi za moich lat byli Pluchowski, Gotłow, Fieodorow.

Osobną pozycję zajmowali w szkole średniej nauczyciele religii. Rosja uważała się za państwo, gdzie religia była uprzywilejowana, ale tylko prawosławna. Uczniowie katolicy uczęszczali na lekcje religii, a w niedziele i święta szli ze szkoły do kościoła na msze święte i kazania. W roku trzy dni były wyznaczone na rekolekcje uczniowskie. Uczniowie byli zwalniani na święta, nawet gdy wypadały one w innym terminie niż święta prawosławne.

W latach mojego pobytu było dwóch księży prefektów po sobie następujących i jeden prawosławny. Ks. F r a n c i s z e k K a l i n o w s k j uczył tylko przez jeden rok, gdy byłem w I klasie. Był powszechnie lubiany i ceniony. Poza lekcjami (2 godziny tygodniowo) prowadził w sposób prywatny nabożeństwo różańca „w tajemnicach”, które rozdzielał w Katedrze. Jego lekcje były jakby rodzinne. Najbardziej oddziaływał swą osobowością, pobożnością. Był chory na gruźlicę i po roku ustąpił. Zamiast leczyć się w górach, przeszedł na kapelana do Świętej Katarzyny, gdzie ostry klimat zniszczył jego zdrowie. Zmarł w r. 1915.

Od roku 1909 prefektem został ks. J a n K l i m k i e w i c z. Wymowny, pogodnego usposobienia umiał nawiązywać kontakt z młodzieżą. Nie miał dyplomu uniwersyteckiego i jak mówili uczniowie, nie odznaczał się uczonością, ale był człowiekiem dobrym, uczynnym i zręcznym. Pomagał uczniom w szkole, zwłaszcza zagrożonym. Choć był lubiany, nie wywierał takiego wpływu, jak ks. Kalinowski. Gdy wybuchła pierwsza wojna światowa i gimnazjum sandomierskie zostało ewakuowane do Rostowa nad Donem, ks. Klimkiewicz również tam wyjechał. Po powrocie z Rosji już nie wrócił do szkolnictwa, ale objął parafię najpierw w Potworowie koło Radomia, a następnie w Kozienicach.

Profesorowie na ogół uczyli dobrze. Uczyli, ale nie wychowywali. Pomiędzy nimi a uczniami był mur nie do przebycia. Różnili się religią, mową, obyczajami, ideałami życiowymi.

## **10. Uczniowie koledzy.**

Było nas w IV klasie 33 uczniów, w tym trzech Rosjan i dwóch Żydów. Większość kolegów Polaków była pochodzenia chłopskiego, kilku pochodziło z małych miasteczek. Wszyscy tworzyli jakieś grupy koleżeńskie oparte na podświadomych sympatiach, na potrzebie wzajemnej pomocy. Zwykle te przyjaźnie nie były trwałe i zmieniały się w miarę zmienionych sytuacji życiowych. Jakiegokolwiek organizacje - nie tylko polityczne, ale kulturalne, naukowe - zakazane. Nie wolno było nawet tworzyć kółek religijnych, aby pod ich płaszczykiem nie powstała jakaś organizacja polityczna! Co charakteryzuje ten okres, to swoista potencjalność życiowa, szerokie otwarcie się na przyszłość, dochodzenie do głosu coraz to nowych sił biologiczno-zmysłowych i duchowych. Dominantą tej wczesnomłodzieńczej świadomości jest swoisty lęk przed przyszłością, a zarazem jej oczekiwanie.

Jak we mgłę rysują mi się sylwetki kolegów sprzed 70 lat. Wydają mi się jakieś dalekie, a przecież bliskie, stanowiące część mojego dzisiejszego „ja”. W moich notatkach znalazłem listę kolegów z tamtego czasu. Są to: 1) Stanisław Adamczyk z Łoniowa, później nauczyciel szkół powszechnych; 2) Jan Bańkowski, który został wydalony z IV klasy; 3) Bolesław. Bojarczak, który ukończył później seminarium duchowne we Lwowie i podczas wojny został zamordowany przez Ukraińców; 4) Aleksander Bukała, syn niższego urzędnika z Sandomierza, zginął w obozie koncentracyjnym; 5) Kazimierz Burasiewicz, syn sekretarza gimnazjum w Sandomierzu, później wojskowy; 6) Stanisław Czerwonka, później inżynier; 7) Marian Domagała; 8) Stanisław Dumania, który pochodził ze wsi spod Opatowa i został później lekarzem; 9) Modestij Iwanczenko, Rosjanin; 10) Edward Jasiuk z Sandomierza, usunięty z gimnazjum; 11) Stanisław Kos, który zginął podczas wojny jako oficer WP; 12)

Feliks Kotowski, sandomierzanin; 13) Wołodia Krasnow, syn profesora gimnazjum; 14) Henryk Krzakowski; później prowizor apteki w Opatowie, został przez Niemców pobity w areszcie śledczym, w następstwie czego zmarł na serce; 15) Jan Kwarciański, później proboszcz w Bukownie koło Radomia; 16) Wincenty Kwiatkowski, syn gospodarza z Brzezia pod Opatowem, później ksiądz; 17) Bronisław Michno z Sandomierza, później adwokat w Warszawie; 18) Konstantin Modin, syn dyrektora gimnazjum sandomierskiego; 19) Julian Myśliwski z Ćmielowa, który repetował IV klasę; 20) Franciszek Piechota, który wrócił do rodzinnej wsi i objął gospodarstwo rolne; 21) Czesław Sadowisk, 22) Stanisław Sałata, który został księdzem, objął duszpasterstwo w szpitalu św. Ducha jako kapelan, a potem wrócił do wsi rodzinnej i tam pracował jako rolnik, a w niedziele odprawiał mszę świętą, nie zrywając z kapłaństwem; 23) Tadeusz Skowroński; 24) Symeon Spiro, Żyd z Rosji, noszący się po rosyjsku (w rubaszce); 25) Michał Stawiarski, który zginął podczas I wojny światowej; 26) Gabriel Sternik, repetent; 27) Izydor Stępień, który wstąpił do seminarium duchownego, ale po paru miesiącach je opuścił; 28) Jan Śmigielski z Opatowa, obecnie proboszcz w Niekrasowie; 29) Antoni Tworek z Łoniowa, który ukończył później KUL ze stopniem doktora prawa kanonicznego, został oficjałem sądu i rektorem kościoła św. Jakuba, aresztowany przez Niemców w marcu 1942 r. za czytanie tajnych gazetek został zamordowany w Oświęcimiu; 30) Jan Walencik, wydany z IV klasy; 31) Władysław Wojciechowski, mój dobry kolega, później pracownik Banku Rolnego w Warszawie (zmarł w r. 1955); 32) Żabner, Żyd, po ukończeniu medycyny założył lecznicę w Radomiu.

Michał Krakowiak

Ksiądz Kanonik

Kapituły Sandomierskiej

Matura 1922 rok

(zdjęcie)

## WSPOMNIENIA Z LAT SZKOLNYCH

Urodziłem się 15 września 1902 roku we wsi Gorzyczany, gmina Samborzec, powiat Sandomierz guberni radomskiej. Tak w tym czasie wyglądał podział administracyjny Polski pod zaborem rosyjskim. Drugim podziałem był podział kościoła rzymskokatolickiego; Gorzyczany należały do parafii Chobrzany, dekanatu koprzywnickiego w Diecezji Sandomierskiej.

Gorzyczany były wioską raczej dużą, miały 100 numerów, był w nim młyn pana Dziadowicza i kuźnie stanowiące własność mojego ojca Andrzeja Krakowiaka. W

warsztacie kowalskim ojciec zatrudniał 2 czeladników, którzy podkuwali konie, wykonywali naprawy sprzętu gospodarskiego i różne narzędzia rolnicze, od bron i pługów poczynając, a na sierpach i motykach kończąc. Byłem jeszcze małym chłopcem, gdy ojciec polecił mi wykonywanie na ostrzu sierpa ząbków, przy użyciu specjalnie zaostzonego przecinaka i małego młotka, zwracając uwagę, by uderzenia młotkiem były lekkie...

Najbliższą szkołą była gminna szkoła podstawowa w Samborcu. Trzyklasowa szkoła, do której zapisał i zaprowadził mnie mój ojciec, miała jedną izbę z trzema rzędami sosnowych ławek i jednego nauczyciela, mieszkającego w szkole. Nauczycielem był pan Głodo, posiadał liczną rodzinę składającą się z 3 synów i 6 córek. Nauczycielem był bardzo rygorystycznym i wymagającym, a dzieci swe wychowywał bardzo surowo.

W mojej wiosce prenumerowane były dwie gazety przez kowala i młynarza o tytule „Gazeta Świąteczna”, którą w niedzielę po powrocie z kościoła czytał na głos mój ojciec. Zawsze w tym czasie, my dzieci, musiałyśmy zachowywać się cicho.

Gdy byłem w drugiej klasie, pożar zniszczył szkołę, ojciec przeniósł mnie do szkoły w Janowicach, gdzie mieszkał mój stryj, u którego też zamieszkałem. Szkołę w Samborcu szybko odbudowano tak, że do trzeciej klasy w roku szkolnym 1913/1914 już tam uczęszczałem. Razem ze mną z mojej wioski do szkoły uczęszczała grupka 7 chłopców. Pamiętam, że religii uczył mnie staruszek proboszcz z Samborca ks. Kajetan Kwitek. Na parafii był od powstania styczniowego.

W czerwcu ukończyłem szkołę podstawową, a 1 sierpnia 1914 roku wybuchła wojna, zwana później I wojną światową. Już w pierwszych dniach sierpnia wojska austriackie bez walki zajęły Sandomierz i okoliczne wioski położone wzdłuż Wisły. Później przyszły wojska rosyjskie. Pamiętam, jak pasłem krowy na pastwisku, gdy moją uwagę zwrócił dziwny dźwięk. Zauważyłem, że moje krowy z podniesionymi ogonami zaczynają uciekać do domu, do zagrody. Podniosłem oczy na niebo w kierunku, skąd dobiegał ten coraz głośniejszy dźwięk i ku mojemu przerażeniu zobaczyłem na błękitnym niebie obok siebie przesuwające się trzy szare krzyże. Nie wiedziałem, co to jest i skojarzyłem to zjawisko z końcem świata, i za moimi krówkami szybko uciekłem do domu. W domu ojciec wyjaśnił mi, że to są aeroplany – takie maszyny latające do zrzucania granatów i obserwacji wojsk nieprzyjaciela. Widziałem, jak żołnierze rosyjscy okopywali ustawianą baterię armat, chciałem podejść i zobaczyć z bliska, ale ich dowódca nie pozwolił. Żołnierze rosyjscy zyczliwie odnosili się do ludności polskiej i dzieci, częstowali swymi posiłkami z kuchni polowej. Austriacy byli inni, nieprzychylnie odnosili się do miejscowych rolników i często zabierali im inwentarz i produkty żywnościowe. Zbieraliśmy pociski i po umieszczeniu ich w ognisku z ukrycia obserwowaliśmy jak wybuchają a rozlatujące się odłamki obcinały dość grube gałęzie z rosnących obok drzew. Zbieraliśmy też niewybuchy, z których, po

odkręceniu części stożkowej i wysypaniu prochu, otrzymane czerepy wykorzystywano do różnych celów. Z jednego takiego, o dużej średnicy, mój ojciec wykonał prasę do tłoczenia oleju z rzepaku.

W Sandomierskiem nie było biedy. Rolnicy żyli dostatnio i wszyscy mieli co jeść przez cały rok. Nie było przednówka w miesiącach wiosennych, kiedy to czekano na pierwsze dojrzewające kłosy i dorastające ziemniaki. Ojciec w komodzie miał jedną szufladkę zamykaną na kluczyk, w której przechowywał ważne dokumenty dotyczące gospodarstwa i pieniądze. Często jeździłem końmi i wozem z ojcem po towar. Kiedy ojciec załatwiał sprawunki, ja pilnowałem wozu. Pewnego razu mieliśmy już wracać do domu, kiedy ojciec przypomniał sobie, że ma kupić machorkowe papierosy. Wstąpił do trafli mieszczącej się w wąskiej i ciemnej piwnicy, w której przy małej świeczce interes prowadził stary brodaty Żyd w jarmulce. Dał dwie monety po dwie kopiejki, otrzymał papierosy i kopiejkę reszty. Nie przyglądał się wydanej monecie, wrzucił ją do pugilaresu. Po przyjeździe do domu patrzy do pugilaresu, a tam zamiast kopiejki złota dziesięciorublówka, która była wielkości kopiejki. Zastanawiał się, skąd się ona wzięła, po chwili przypomniał sobie, że otrzymał ją jako resztę. Będąc następnym razem w Klimontowie, wstąpił do znanego mu już wcześniej sklepiku, wyjaśnił pomyłkę sprzedawcy i zwrócił mu złotą monetę, otrzymując w zamian kopiejkę. Stary Żyd, cmokając i dziwiąc się, powiedział:

*- Między naszymi to się nie zdarza.*

Wojna trwała nadal. Od Konar, Płaczkowa, Kozinka dobiegały odgłosy wystrzałów armatnich, przez moją wioskę przechodziły to rosyjskie wojska, to austriackie. Widziałem też mundury polskich kawalerzystów z Legionów, mimo barw polskich mundury mieli austriackie. Mówili o Piłsudskim i werbowali do Wojska Polskiego. Potem znowu przyszli Rosjanie, zabrali ojcu parę koni. Minęło kilka tygodni. Przez wioskę przejeżdżały ambulanse sanitarne. Nagle jeden z nich nagle skręcił z drogi i z rozpędem wjechał na podwórze. Konie osadziły w miejscu, rżąc i parskając. Woźnica oniemiał. Nie umiał wyjaśnić, co się stało. Z ambulansu wysiadły siostry. Z kuźni wyszedł ojciec. Poznał swoje konie, a konie poznały swojego gospodarza. Klepał je po spoconych karkach, a matka nakarmiła je kromkami chleba. Obsługa ambulansu dopiero po chwili zorientowała się, że to konie, jadąc dobrze sobie znaną drogą, same skręciły do swej zagrody, stajni. Po krótkim odpoczynku nakarmione i napojone, pożegnane przez domowników, odjechały z ambulansem i nie powróciły już nigdy.

Gospodarstwo ojca miało 12 morgów ornej ziemi i 12 morgów łąki. Na kwaterze stali u nas rosyjscy oficerowie, byli bardzo grzeczni, dzieci częstowali cukierkami. Nocami, ze wzgórza widać było łuny palących się wsi. Widziałem nawet pożar odległej Koprzywnicy.

Po ukończeniu szkoły podstawowej w 1916 roku 1 września (piątek) wczesnym rankiem razem z moim kolegą Michałem Dziadowiczem udaliśmy się pieszo do Sandomierza. W tym dniu odbywały się egzaminy. Po zdaniu i uzyskaniu pozytywnej oceny zostałem przyjęty do I klasy gimnazjum o kierunku filologicznym.

Sandomierz w 1916 roku wyglądał inaczej niż dzisiaj. Ulica, na której mieściło się gimnazjum, nazywała się ulicą Gołębicą. Tu, gdzie dzisiaj jest poczta, był targ trzody chlewnej, a ulica Mickiewicza nosiła nazwę Opatowskiej. Całe miasto skupiało się wokół Rynku. Na ulicy Żydowskiej i ulicy Zamkowej mieszkali Żydzi. Od strony zachodniej miasto kończyło się na ogrodzie spacerowym (park), koszarach położonych przed Cmentarzem Katedralnym, od północy na Przedmieściu Zawichojskim, a na południu na browarze u wylotu wąwozu Królowej Jadwigi.

Całe życie miejskie koncentrowało się w Rynku i przyległych uliczkach. W każdej sieni i przyległych do niej pomieszczeniach były sklepy stanowiące własność wyznawców religii mojżeszowej, nawet sutanny duchownym i alumnom szył krawiec o nazwisku Lubelski, którego warsztat mieścił się nad apteką Popławskich, później wszyscy klerycy bojkotowali go i zamawiali u katolickiego krawca. Katolickich sklepów było niewiele. Spółdzielnia „Pomoc Bratnia”, Wolaków, Rybczyńskiego. Dziwny to był handel, bo już po południu w piątek wszyscy Żydzi zamykali swoje sklepy, by otworzyć w poniedziałek rano.

Dyrektorem gimnazjum był Pan dyr. Łopuszański. Miałem z nim następujące zdarzenie. Podczas przerwy w klasie wystrzeliłem z korkowca. Incydent nabrał rozgłosu, bo wiedzieliśmy wszyscy, że dyrektor jest bardzo nerwowy. Koledzy doradzali mi, bym się nie przyznawał, bo za ten uczynek mogę być usunięty ze szkoły. Mimo tych rad poszedłem do dyrektora i przyznałem się. Zapytano mnie, dlaczego strzeliłem, ale nie mogłem znaleźć rozsądnego wyjaśnienia. Dostałem karę zostania po lekcjach w tzw. "Kozie".

Zarówno egzamin wstępny jak i maturę zdawałem w budynku gimnazjum przy ul. Żeromskiego. Razem ze mną chodzili: Wincenty Granat – cały czas wolny po odrobieniu lekcji czytał książki i rozmyślał (później doktor filozofii i rektor KUL, autor wielu książek i publikacji o tematyce filozoficznej), Seweryn Krzysztofie (ksiądz, w latach okupacji zajmował się działalnością charytatywną, prowadził „Caritas”, niosąc pomoc wysiedleńcom z zachodnich terenów, cierpiącym biedę i głód), Stanisław Araszkiwicz, Wincenty Burek.

Mimo incydentu z wystrzałem zostałem wezwany do gabinetu przez dyrektora Łopuszańskiego i wyznaczony do zasadzenia „Dębu Wolności” 11 listopada 1918 roku na skwerze przy zbiegu ulic Gołębiczej (dziś Żeromskiego) i Opatowskiej (dziś Mickiewicza). Wówczas był to skwerek porośnięty trawą, na którym stała figura świętego na dość wysokim cokole i rosły kasztanowce. Po uroczystej mszy dziękczynnej z okazji odzyskania niepodległości przez Polskę na tym skwerku zgromadziła się Rada Miejska z Burmistrzem

panem Więckowskim, duchowieństwo, mieszkańcy, młodzież szkolna, straż pożarna i ja, który miałem zasadzić to drzewko. Po patriotycznych przemówieniach, między innymi ks. prof. Andrzeja Wyrzykowskiego, do doniosłego momentu w dziejach naszego Narodu po latach niewoli odzyskującego niepodległość dołączyłem i ja trwały symbol – zasadzony dąb.

Po ukończeniu 6 klasy gimnazjum w 1922 roku wstąpiłem do Seminarium Duchownego w Sandomierzu. Do seminaryjnej biblioteki często przychodził Roman Koseła poszukujący zapisków i wzmianek o odległych w czasie wydarzeniach z historii Sandomierza. Przez pewien czas był klerykiem i miał być księdzem, ale przed niższymi święczeniami wystąpił.

Dzisiaj nie ma skwerku, pozostały trzy kasztany obłożone płytami chodnikowymi i jak przed 75 laty stojący pod cynowym daszkiem pątnik z zsuniętym na plecy kapeluszem, niemy świadek dziś tak odległych wydarzeń.

Ps. ks. Michał Krakowiak odszedł w czerwcu 1999 roku w Domu Księży Emerytów w Sandomierzu w wieku 97 lat.

ks. Prałat Jan Skórski

Kustosz Kapituły Katedralnej

Matura 1933

(zdjęcie)

## SZKOŁA i NAUCZYCIELE

### Mój ojciec

Urodziłem się dnia 10 lutego 1914 roku w Wojnowicach, gmina Ćmielów. Rodzicami byli Franciszek i Marianna z Gajewskich Skórscy. Ojciec Franciszek ukończył szkołę podoficerską na Kaukazie. W okresie służby wojskowej w armii carskiej był prostym, ale doskonałym mierniczym pól. Po moim urodzeniu w 1914 roku powołany został do służby w armii rosyjskiej. W bitwie pod Zaklikowem został ranny w rękę i nogę, następnie dostał się do niewoli austriackiej i wywieziony został do Bośni. W niewoli przebywał przez 4 lata i był świadkiem wielkiej śmiertelności jeńców – kolegów na zaraźliwe choroby, zwłaszcza tyfus plamisty i w wyniku wyniszczającej ciężkiej pracy przy wyrębie lasów i w tartakach oraz z braku wyżywienia. Przetrwał dzięki otrzymywanym od rodziny paczkom z sucharami chleba. Kiedy wrócił w czerwcu 1918 roku i ze stacji w Ćmielowie zauważył wyładowywane z wagonów ziemniaki, to pomyślał sobie, że tu mają jeszcze ludzie dobrze.

Gospodarstwo, które otrzymał od swego ojca było zrujnowane i trzeba było ciężko pracować, aby utrzymać rodzinę i podnieść gospodarkę. W tym okresie rodzina zachorowała na tyfus plamisty i pamiętam, jak razem umarli rodzice ojca – mój Dziadek i Babcia, gdy wyjeżdżały wozy równocześnie z trumnami.... Po tygodniu umarł najmłodszy brat ojca, Bolesław, który lubił hodować gołębie, przetrzymała chorobę tylko najmłodsza siostra, Józefa.

Po tych przeżyciach ojciec pracował gospodarując na 10 morgach ziemi ornej, mając do tego 1 ha łąki i 2 ha lasu. W gospodarstwie pomagała rodzicom ciocia Józefa – siostra ojca. Matka prowadziła dom i urodziła ojcu 12 dzieci, troje zmarło w niemowlęctwie, a 9 żyje jeszcze obecnie. Ojciec był bardzo pracowity i zaradny. W owych latach (1919-1925) właściciele ziemscy w okolicach Wojnowic sprzedawali pola-niwy w Wólce Wojnowskiej, Małachowie i Mierzanowicach. Ojciec, z pomocą rodziny matki, zakupił kolejno w wymienionych niwach 10 mórg ziemi, a później jeszcze 5 mórg w Buszkowicach, kiedy te pola były sprzedawane przez właścicieli. Nie było inżynierów mierników, a wymienione pola mierzył ludziom mój ojciec. Pamiętam jak z miarą – prętem przemierzał pola, wbijał paliki wyznaczając granice. Gdy przyszli fachowcy miernicy i sprawdzali przy użyciu przyrządów, nie stwierdzili żadnych błędów w wykonanych pomiarach. Pytali, kto mierzył i podziwiali pracę mojego ojca. Ojciec też był radnym gminy Ćmielów i w Radzie zajmował się opieką nad biednymi. Kiedy przed wybuchem wojny przeprowadzano komasację



gruntów w gospodarstwach, to wszyscy gospodarze na zebraniu oświadczyli, że zgodzą się na scalenie, jeżeli Franciszek Skórski będzie pilnował geometrę i sołtysa, bo on jeden znał klasę każdego kawałka gruntu i nie da ludzi oszukać. Ojciec miał dużo pracy w swoim gospodarstwie i początkowo nie chciał się zgodzić na podjęcie tej pracy, ale sąsiedzi prosili tak bardzo, że w końcu się zgodził. Komasację gruntów, w oparciu o pomiary ojca, zrobiono bardzo szybko z jedną tylko poprawką i wszyscy weszli na pola. W sąsiednich wioskach komasacja ciągnęła się latami, bo ludzie nie zawsze chcieli się zgodzić z podziałami wykonanymi przez geodetów. Tyle wspomnień o moim ojcu.

## **Dzieciństwo**

Miałem pięć lat, gdy do moich obowiązków należało pasanie krów, które musiałem pędzić na pole odległe od domu o pół kilometra. W 1920 roku powstała w mojej wsi szkoła, w wynajętym budynku była salka szkolna i mieszkanie dla nauczyciela Pana Wacława Laskowskiego, który przybył po ukończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Solcu nad Wisłą. W szkole, która była szkołą czteroklasową, od godziny ósmej uczyły się klasy III i IV, a po nich około godziny 11 klasy I i II. Na prośbę mojego ojca przyjęty zostałem do szkoły po ukończeniu 6 lat. Uczyłem się możliwie. W trzeciej klasie nauczyciel po porozumieniu się z moim ojcem pozostawił mnie na drugi rok i przez klasę III i IV przygotowywał mnie i mojego kolegę, o rok starszego Janka Jankowskiego, do egzaminu do gimnazjum. Religii uczył nas nauczyciel, on też w klasie trzeciej przygotowywał nas do komunii św. i spowiedzi. Proboszcz w Wojciechowicach, ks. Konstanty Czapiński, przeegzaminował nas i przystąpiliśmy do uroczystej I Komunii Św. Po nabożeństwie ks. proboszcz wprowadził nas do ogrodu, gdzie rodzice dziękowali mu za pracę, a ksiądz wygłosił przemówienie, w którym wymienił Jankowskiego i mnie, że egzamin zdaliśmy najlepiej. Na pierwszym miejscu wymienił mojego kolegę jako najzdolniejszego ucznia. Powiedział, że jak będzie się pilnie uczył, to może zostać profesorem, a nawet prezydentem. Wtedy przyszła mi dziwna myśl do głowy: „Ja przecież umiałem lepiej od Janka, to kim będę?”

## **Do gimnazjum**

Po IV klasie szkoły podstawowej zdawałem do gimnazjum w Sandomierzu, ponieważ tam już uczęszczał do VII klasy mój cioteczny brat Stanisław Gumiński. Po zdaniu egzaminu zostałem przyjęty.

Kolega Jan zdawał do gimnazjum w Tarnobrzegu, gdzie egzamin był później i tam

został przyjęty, a po półroczu w I klasie przeniósł się do Ostrowca, gdzie zdał maturę. Potem ukończył Wyższą Szkołę Ekonomiczną i pracował w Warszawie.

## **Powołanie**

Pamiętam takie wydarzenie. Z bratem ciotecznym, wspomnianym już Stanisławem Gumińskim (byłem wtedy w drugiej klasie), po śniadaniu w Boże Narodzenie poszliśmy do kościoła w mojej parafii w Wojciechowicach na sumę. Było dużo ludzi w kościele. Dopchaliśmy się do wielkich drzwi i tam modliliśmy się. Przy ołtarzu ujrzałem siwiuteńkiego starca, ks. Czapińskiego

Wtedy doznałem natchnienia. Usłyszałem głos: „Jasiu, ty musisz zastąpić tego staruszka przy ołtarzu!”. Ten Głos wiódł mnie przez późniejsze moje życie.

## **Życie na stacji**

W ówczesnych latach uczniowie spoza Sandomierza mieszkali na stacjach. Internatu ani bursy przy Gimnazjum nie było. Pierwszą stancję miałem z ciotecznym bratem Gumińskim i dwoma jego kolegami z Koprzywnicy - Józefem i Stanisławem Nowakowskimi, na ulicy Browarnej. W ciepły dzień wrześniowy koledzy z klasy zabrali mnie nad Wisłę. Przez rodzinną wioskę Wojnowice przepływała rzeka, w której często się kąpałem, umiałem pływać i kilkadziesiąt metrów przepływałem. Przed wiślanym wałem było starorzecze Wisły o szerokości około 30 m, które przepływałem swobodnie, bez wysiłku. Na wale widziałem starszego chłopca wygrzewającego się w słońcu. Zaczęliśmy do niego płynąć. Moi koledzy przepłynęli, a ja zostałem porwany przez wir, nie mogłem z niego wypłynąć i zacząłem tonąć. Leżący na wale chłopiec zauważył, był dobrym pływakiem, wskoczył do wody i dopłynął do mnie w momencie, kiedy drugi raz wynurzałem się z głębi, a mój żołądek i płuca wypełnione były wodą. Chwycił mnie mocno i dociągnął do brzegu. Przewiesił mnie przez swoje kolano i wygniół za mnie wodę, a potem kazał mi odpocząć. Z tym chłopcem nigdy później nie spotkałem się, ale codziennie modlę się w jego intencji.

Na stacji u Pani Stajniakowej, w domu pana Bazanta wybuchła wśród dzieci niebezpieczna choroba. Opiekun stacji, profesor, nakazał się nam przenieść na inną stancję. Znalezione dla nas wszystkich miejsce na ul. Opatowskiej na poddaszu dwupiętrowego domu Pani Krakowiakowej, wdowy po nauczycielu. Jej syn Adaś razem ze mną był w jednej klasie, razem zdawaliśmy maturę, razem poszliśmy do Seminarium Duchownego i razem byliśmy wyświęceni. Zginął w obozie w 1940 roku zamęczony przez Niemców. Ta

sama pani miała drugą stancję na ulicy Zamkowej nad biblioteką.

W klasie V mieszkałem przez jeden rok za parkiem. W dwu ostatnich miesiącach przed końcem roku udzielałem korepetycji, a za zarobione pieniądze pojechałem do Poznania na I Powszechną Wystawę Krajową. Było to w 1929 roku. W klasie VI, VII i VIII z trzema kolegami mieszkałem na stacji u Pani Trautmanowej, też wdowy po nauczycielu, siostry Pana Pietrzyka wicedyrektora dyrektora „Pomocy Bratniej”.

### **Akademia św. Stanisława Kostki**

W VIII klasie byłem prymusem i jedynym uczniem w historii Gimnazjum Męskiego w Sandomierzu, który za dobrą naukę, zwłaszcza z łaciny, otrzymał kuratorską nagrodę, jaką wręczał uroczyście wobec całego gremium profesorów i uczniów Pan dyrektor Edmund Żuława 3 maja i 11 listopada. Cieszyli się z tego wszyscy koledzy i profesorowie, a przede wszystkim moi koledzy ze stacji. W klasie VIII profesor wyznaczył mnie, jako prefekta Solidacji Mariańskiej, do opracowania referatu na akademię św. Stanisława Kostki. Opracowany referat sprawdził ks. prefekt Malarczyk, a wychowawca naszej klasy Pan prof. Cyprian Kamecki, po przeczytaniu go życzliwie powiedział: „Referat dobry, ale Ty musisz go artystycznie wygłosić”. Odczytałem go ze sceny dwa razy. Profesor, siedząc na sali, uważnie wysłuchał, następnie podał mi wskazówki, jak gospodarować głosem, aby być usłyszonym dobrze przez wszystkich. Zwracał uwagę na właściwy akcent i oddech przy wymawianiu poszczególnych zdań i trudniejszych wyrazów. Na tej akademii byli profesorowie, wychowawcy, uczniowie i uczennice wszystkich ówczesnych szkół średnich i zawodowych Sandomierza. Akademia udała się, a po referacie były długie oklaski, z których cieszyli się moi profesorowie i naturalnie ja.

### **Coś o profesorach i wydarzeniach szkolnych**

Z I klasy przypominam sobie nieprzyjemne wydarzenie. Na lekcji przyrody u Pana Kwiecińskiego na zadane pytanie, jakie są części kwiatu odpowiedziałem, że nie wymienię ani jednej części i na pierwszy okres otrzymałem stopień niedostateczny. Uważałem, że ocena jest niesprawiedliwa, ale dopiero na drugi okres poprawiłem się i nawet potem byłem uczniem lubianym przez Pana profesora. Oprócz biologii w klasach od IV do VIII uczył mnie gimnastyki i był opiekunem hufca szkolnego po śmierci prof. Langer.

Lubiłem matematykę. W I, II i III klasie uważałem, że ten przedmiot znam lepiej od wielu kolegów, chociaż wielu z nich miało oceny dobre, a ja tylko dostateczny. Matematyki uczył profesor Konieczny, który pewnego razu zadał do rozwiązania w domu zawile

zadanie. Jako jeden w klasie rozwiązałem je i na lekcji zostałem wezwany przez profesora do tablicy, żeby je objaśnić i rozwiązać. Wtedy na koniec klasy III otrzymałem stopień dobry.

Od drugiej klasy nauczyliśmy się języka francuskiego lub niemieckiego. Wybrałem francuski, ponieważ ktoś mi wyjaśnił, że jak opanuję dobrze gramatykę francuskiego języka, to łatwiej będzie mi opanować od klasy IV łacinę.

W wyższych klasach, od klasy IV, matematyki uczył Pan prof. Pill. Poznał się na moich zdolnościach i z wszystkich klasówek miałem ocenę bardzo dobrą bez żadnych uwag. W klasie VII przybył wizytator z Krakowa. Przyszedł na lekcję, na której zgodnie z wyznaczonym wcześniej tematem była powtórka bardzo trudnego materiału z klasy VI. Była to bardzo dziwna lekcja. Wizytator obserwował klasę, jak do tablicy podchodzili kolejno uczniowie i nie dawali rady z rozwiązywaniem zadań. Profesor, widząc moją spokojną minę, wezwał mnie do tablicy. Śmiało i z dokładnym objaśnieniem rozwiązałem wszystkie zadania. Podziękował mi na koniec lekcji przy wizytatorze i całej klasie.

Opiekunem od IV klasy był prof. Cyprian Kamocki. Prowadził stale dwa przedmioty: polski (historię literatury) i historię. Tematy z historii czy też polskiego podawał na dwie godziny, co ułatwiało mu odpytywanie i sprawdzanie wiadomości uczniów z obu przedmiotów. Na zakończenie klasy VI zadał wypracowanie pt. „Jaką ostatnio przeczytałeś książkę i dlaczego ci się podobała?” Czytałem wtedy „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej. Skończyłem czytanie przy obiedzie, byłem sam w mieszkaniu i pod wrażeniem tej książki od razu napisałem wypracowanie. Pisałem o rzece, jakie było życie w czasie burzy i pogody, pisałem, jak potrafiłem najlepiej. Kiedy po sprawdzeniu profesor rozdał zeszyty, zauważyłem, że w moim zeszycie brak stopnia. Profesor spoglądał na mnie i w końcu spytał: „Dziwisz się, że nie masz stopnia?”. Ja spokojnie odpowiadam: „Naturalnie. Wszyscy mają, a mnie Pan profesor nic nie postawił”. Profesor podekscytowany odpowiada: „Przeczytałem wszystkie wypracowania o Orzeszkowej, czy ty z czegoś nie przepisałeś? Nie mogę uwierzyć, że sam napisałeś tak piękne wypracowanie”. Odpowiedziałem: „Nie wiem, czy moje wypracowanie jest piękne, ale napisałem je sam”. „Wierzę ci. Podaj zeszyt. Postawię ci dobry stopień”. Rozwiązał sobie dobry profesor zagadkę, a mnie zrobił przyjemność. Tak wyrabiałem sobie opinię dobrego ucznia.

Byłem wtedy w V klasie. Grałem w palanta na placu za starym cmentarzem (dziś wybudowany jest tu Bank i Sąd), niedaleko od mojej stacji. Przechodził tamtędy ks. Franciszek Malarczyk. Odwołał mnie od gry i powiedział. „ Tu niedaleko od twojej stacji, na ulicy Listopadowej, mieszka twój młodszy kolega z klasy III. Ma dużo niedostatecznych stopni i minusów. Jego matka, żona inżyniera, od dłuższego czasu prosi mnie o wskazanie korepetytora do pomocy synowi. Dość długo zastanawiałem się i wybrałem ciebie”. Księdzu

prefektowi odpowiedziałem, jak bardzo lubię grać w palanta, a korepetycje zajmą mi dużo czasu i pozbawią przyjemności zabawy. Odpowiedział mi poważnie, że jest pewien, iż mimo tego posłucham go. Następnego dnia poszedłem pod wskazany adres. Otworzyłem furtkę i pod młodą lipką na podwórzu zauważyłem starszego pana. Dał mi znak ręką, abym zbliżył się do niego. Kiedy podszedłem spytał: „To pan będzie korepetytorem mojego syna? Żona jest ode mnie dużo młodsza. Ma jedynaka. Dba o jego zdrowie, wygląda dobrze, ale nie umie go przypilnować w nauce. Będziesz pan miał z nim trudną sprawę”.

Pożegnałem starszego Pana i pewnym krokiem wchodzę na schody do domu, gdy usłyszałem głos: „Niech pan wróci do mnie”. Kiedy zbliżyłem się, powiedział: „Widzę, że pan pewnym krokiem wstępuje do mojego mieszkania. Miałem zamiar za okres półtora miesiąca korepetycji dać 30 zł, ale jak zauważyłem pewność pana kroku, to jestem przekonany, że spełni pan gorliwie i dokładnie swoje obowiązki. Nie będę żałował i dam 50 zł.”

Chłopiec był zaniedbany, ale możliwie zdolny. Powtarzałem z nim wszystkie przedmioty, a kiedy spodziewał się, że będzie pytany, pomagałem mu w przygotowaniu odpowiedzi. Chłopiec stał się posłuszny. Stopniowo się poprawiał. W połowie czerwca, idąc ścieżką przez żyto, zauważyłem przechodzącą matkę mojego ucznia, która ze łzami w oczach pyta się mnie, co zrobiłem z jej dzieckiem, że on się tak uczy i jeszcze rano przed pójściem do szkoły powtarza materiał, z którego może być pytany. Czy aby on się nie zamęcza? Ja spokojnie odpowiedziałem zapłakanej matce: "Niech się pani nie martwi, on wytrzyma w tej pracy, a my oboje będziemy się cieszyć". Nadszedł dzień rozdawania świadectw. Mój wychowawca długo napominał swoich wychowanków i dawał wskazówki jak mają się zachowywać w czasie wakacji. Chłopcy z III klasy dostali świadectwa wcześniej i mój uczeń rozradowany zapukał do mojej klasy. Profesor pozwolił mi wyjść do niego, a on ucieszony rzucił świadectwem w górę i powiedział: „Rodzice się martwili, a ja nie mam żadnego niedostatecznego stopnia. Zdałem do IV klasy. Proszę przyjść dzisiaj do rodziców”. Ojciec chłopca honorowo, zgodnie z obietnicą zapłacił mi, a ja za te pieniądze opłaciłem wycieczkę nad morze do Gdańska, kupiłem dobry zegarek marki „Cyma” i płaszcz letni. Nie musiałem o te pieniądze prosić mojego ojca.

Ta opinia, że jestem dobrym korepetytorem sprawiła, że po rozpoczęciu w Katedrze nowego roku szkolnego, wróciliśmy na wstępne spotkanie z wychowawcą w klasie VI. Po zakończeniu, kiedy wychodziłem z klasy, chwycił mnie za rękę starszy pan, przewodniczący rady rodzicielskiej, znany mi profesor zza Wisły i emeryt nazwiskiem P. Powiedział mi, że jego syn jest o rok starszy ode mnie, a jest w klasie o rok niższej, czyli w piątej. Oświadczył mi, że jest pilny, ale mało zdolny z matematyki. Profesor Pill powiedział mi, że nie ma mowy o maturze bez stałej pomocy i tę pomoc może dać tylko kolega Skórski, ponieważ

jest nie tylko dobrym matematykiem, ale potrafi wyjaśnić i nauczyć. Oświadczył mi też, że zapłaci mi za 12 godzin korepetycji w miesiącu 25 zł. Po każdej lekcji przychodził do mnie. Odrabiałem z nim zadania domowe. Uczyłem go przez trzy lata w klasie VI, VII i VIII. Wszystkie braki w przedmiocie, jakie u niego zauważyłem, starałem się dokładnie wyjaśnić. Ojciec jego przy każdym spotkaniu dziękował mi, ponieważ wyciągnąłem z niego co tylko było możliwe, a pan profesor, widząc jego wielki wysiłek i pracę, stawiał mu stopnie dostateczne. Zdał maturę i ukończył prawo na uniwersytecie.

W klasie ósmej miałem przed 11 listopada następujące wydarzenie. Kiedy na stacji spożywałem kolację, wpada mój dobry kolega Włodzimierz Wachowicz i podniecony woła od drzwi: „Kończ szybko jeść i spiesz się do pana dyrektora (Żuławy), ponieważ poszukuje cię w jakiejś sprawie.” W gimnazjum było wtedy przedstawienie, ale kiedy tylko dyrektor zauważył mnie, zbliżył się do mnie i zadowolony powiedział: „Mam dla Ciebie radosną nowinę. Otrzymałem dziś zawiadomienie z Kuratorium krakowskiego, że otrzymałeś wyjątkową nagrodę za naukę”. Do właściwego kuratorium typowano z państwowych gimnazjum do nagrody najlepszych uczniów z głównych przedmiotów. Mnie wytypowano jako najlepszego ucznia z historii, matematyki, francuskiego i łaciny. Otrzymałem nagrodę – 200 zł. To była duża suma. Nagrodę wręczono mi 11 listopada. Przed pójściem do Katedry na placu przed szkołą zebrało się całe gimnazjum. Pan Dyrektor wygłosił krótkie przemówienie i potem w kopercie wręczył mi nagrodę.

Pamiętam też inne zdarzenie. Pisałem klasówkę z języka łacińskiego. Puka i wchodzi do klasy woźny, podchodzi po profesora Świerzowicza i coś mu szepcze. Pan profesor mówi do mnie:

- Pan Dyrektor wzywa Cię do swego pokoju.

Ja zdenerwowany powiedziałem:

- Chciałbym dokończyć klasówkę. Tak dobrze mi się pisze.

Profesor odpowiada:

- Postaw kropkę i idź natychmiast.

Przerwałem pisanie. Wchodzę do pokoju i widzę za biurkiem Dyrektora. Przed biurkiem stoi wolne krzesło. Poproszono mnie, bym usiadł. Po lewej mojej stronie zauważyłem Panią Pracką, żonę dyrektora szpitala zakaźnego, a po prawej siedzącą profesorkę języka francuskiego, czcigodną panią Zoé Froté. Pan Dyrektor wskazuje mi ręką Panią Pracką i mówi do mnie:

- Może znasz tę Panią?

Odpowiadam:

- Znam Panią z widzenia, z kościoła.

- Czy domyślasz się o co chodzi?

Odpowiadam:

- Nie wiem.
- Ta pani przysłała w sprawie korepetycji na dwa miesiące dla swego syna z języka francuskiego i po porozumieniu się z panią Froté, prosi o ciebie.

Odpowiadam:

- Panie Dyrektorze! Nie jestem w stanie podjąć się tej pracy. Za dwa miesiące mam swoją maturę, spotkania w solidacji i mam już korepetycje z matematyki. Nie mogę przyjąć tych lekcji. To jest ponad moje siły.

Na to Dyrektor:

- Już nic się nie ucz i tak dobrze zdasz maturę.
- Jaka pretensje miałby Pan Dyrektor, jakby najlepszy uczeń wypadł słabo. Nie mogę.

Przy takiej mojej postawie słyszę płacz Pani Prackiej, która straciła nadzieję, że będę uczył jej syna. Wtedy usłyszałem cichy głos wstającej z krzesła Pani Froté:

- Dobrze, że słyszałam całą tę rozmowę. Ja spokojnie oświadczam, że mimo wszystko Pan Skórski będzie uczył Prackiego”.

Kłaniając się mojej profesorce oświadczyłem:

- Teraz proszę państwa nie mam wyjścia. Pani nauczyła mnie francuskiego i taką wydała decyzję. Muszę się podporządkować i proponuję taki porządek. Dwie godziny w ciągu tygodnia, trzecia po mszy świętej w niedzielę. Inaczej nie mogę.

Po miesiącu pracy z chłopcem, kiedy matka zapytała mnie, ile ma zapłacić odpowiedziałem, że tak jak za korepetycje z matematyki.

## **Matura**

Przygnieciony udzielanymi korepetycjami przystąpiłem do matury pisemnej. Wybrałem historię, matematykę i łacinę. Wspomniałem Pani Froté, że łatwiej byłoby mi zdawać maturę z języka francuskiego, ale odpowiedziała mi, że nie może robić przykrości profesorowi od łaciny, bo przecież z tego przedmiotu otrzymałem nagrodę.

Pierwszego dnia pisałem wypracowanie z historii pod tytułem „Walki władców Polski o dostęp do morza i znaczenie morza dla Polski”. Opisałem walki w okresie piastowskim o polskie Pomorze i znaczenie brzegu morza dla gospodarki kraju, wyliczyłem wszystkie okręty i statki handlowe roku 1933, podałem źródło swoich informacji (gazetę „Polska Zbrojna”, której artykuły znałem prawie na pamięć) i otrzymałem ocenę bardzo dobrą.

Następnego dnia były zadania z matematyki. Po ich przeczytaniu na tablicy pomyślałem, że są łatwe. Na półrocze miałem od profesora Pilla ocenę bardzo dobrą i byłem pewny, że na taką oceną napiszę pracę maturalną. Zadania I i II rozwiązałem bardzo szybko i dobrze, natomiast trzecie, choć wydawało się również proste, rozwiązywałem kilkakrotnie i ciągle miałem błędny wynik. Taką pracę oddałem i przeczuwałem, że bardzo dobrej oceny nie otrzymam. Po południu tego dnia spotkałem na ulicy ks. prefekta Malarczyka. Zapytał, jak mi idzie matura pisemna. Odpowiedziałem, że sprawiłem profesorowi Pillowi zawód. Pomyślał chwilę i powiedział:

- To prawda co mówisz. Pan Pill był pewien, że napiszesz na piątkę, ale dla ciebie to jest dobre, bo gdybyś miał wszystkie piątki, to może miałbyś za wysokie mniemanie o sobie, a ten wypadek sprowadza Cię na drogę normalności. Nie martw się. Jutro łącina.

Na maturę z łaciny przyjechał z Ostrowca prof. Gajewski, ponieważ nasz prof. Świerzowicz zachorował. Na dwu tablicach napisał po łacinie przemówienie Cycerona do młodzieży pt. „Młodzieży, ucz się pilnie!”, które należało przetłumaczyć. To przemówienie bardzo mi się spodobało. Czytałem zdanie po zdaniu i tłumaczyłem w pamięci zgodnie z regułami gramatyki. Moi koledzy zapisywali szybko kartki, słyszałem jak je nerwowo darli, by znów zaczynać od nowa. Ja spokojnie kończyłem tłumaczyć w pamięci. W pewnym momencie profesor Stanisław Sobolewski, zwany przez nas „Stachu”, który chodził między stolikami i pilnował porządku, szepnął mi do ucha: „Co Jasiu, jesteś niezdrów, że nic nie piszesz? Ucieszyła mnie życzliwość profesora. Według mnie napisałem to tłumaczenie wspaniale. A tu niespodzianka!

Prof. Gajewski powiedział dyrektorowi, że egzamin wypadł normalnie i stopnie są bardzo różne. Pan dyrektor wspomniał o tym jednemu z kolegów. Wieść rozeszła się szybko. Wpada do mnie kolega Wachowicz z książką „Życie Greków i Rzymian”. Do godziny jedenastej wieczór wertowałem kartkę za kartką sądząc, że będę zdawał egzamin ustny z łaciny. Następnego dnia popołudniu po konferencji wychodzi ks. Prefekt z ogłoszeniem z jakich przedmiotów uczniowie będą zdawać ustne egzaminy. Ci co pierwsi dopchali się do kartki krzyczą do mnie.” Zdajesz tylko język polski, z pozostałych przedmiotów jesteś zwolniony”.

Ustny egzamin z polskiego zdawał przede mną kol. Piotr Przybylski z Opatowa. Siedziałem za nim i bardzo mu współczułem. Dostał dziwne dla mnie pytanie „Sagi skandynawskie”. Męczył się niesamowicie. Było mi go serdecznie żal. Sam lepiej bym na taki temat nie odpowiadał. Ja wyciągnąłem temat: „Objaśnić wiersz Wierzyńskiego i młodzieńcze wiersze Mickiewicza”. Otrzymałem książkę, przeczytałem wiersze i opowiadałem o młodości Mickiewicza, jego pochodzeniu, stepach Ukrainy, formie sonetu. Przewodniczący komisji prof. Żuława polecił mi wyrecytować „Odeę do młodości”.



Mówiłem zwrotkę za zwrotką, ze zdziwieniem patrząc na uśmiechających się za stołem profesorów, gdy zorientowałem się, że wygłaszam je w innej kolejności, niż one są w utworze. Nie wpłynęło to jednak na moją ocenę.

Kiedy z rąk dyrektora Żuławy otrzymałem świadectwo maturalne przy liczonym zgromadzeniu powiedział:

„Nigdy w życiu, takiemu uczniowi jak ty, nie wręczałem świadectwa maturalnego. Ze wszystkiego coś nie umiał, masz stopnie bardzo dobre, a z tego co umiałeś najlepiej, masz stopień dobry. Wszystkiego dobrego z radością życzę ci na dalsze studia”.

### **O ks. Franciszku Malarczyku**

Urodził się 29 stycznia 1889 roku we wsi Budy Niemianowskie, powiat radomski, jako syn Kazimierza i Anieli z Kwaśników. Ochrzczony w parafii Skaryszew, do 9 roku życia mieszkał stale przy rodzicach. Elementarne wykształcenie (od 1895 do 1898 roku) otrzymał we wsi Słupica. W 1898 roku rozpoczął naukę w szkole Pana Lorenca w Radomiu. W 1899 roku został przyjęty do Gimnazjum w Radomiu, gdzie kształcił się do 1905 roku włącznie. Od 1905 do 1911 roku był w Seminarium Duchownym w Sandomierzu. W 1911 roku po święceniach kapłańskich został wysłany na wyższe studia do Rzymskokatolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu, którą ukończył w 1915 roku ze stopniem magistra teologii z odznaczeniem.

Od 1915 do 1919 r. pełnił obowiązki prefekta w Męskiej Szkole Filologicznej w Sandomierzu, która w 1919 r została przemianowana na Państwowe Gimnazjum Męskie. Ksiądz Franciszek Malarczyk pozostał na stanowisku prefekta w tymże gimnazjum. Od 29 września 1926 r. pracował także w Sądzie Biskupim Sandomierskim, jako obrońca wężła małżeńskiego. Od 3 listopada 1930 r. był także spowiednikiem zwyczajnym alumnów Seminarium Duchownego w Sandomierzu. Za wymienioną pracę profesorską i wychowawczą został mianowany kanonikiem honorowym Kapituły Katedralnej w Sandomierzu.

Ja, będąc w klasie VIII, jako prefekt Sodalicji Mariańskiej składałem księdzu profesorowi życzenia, po których skromnie, krótko odpowiedział: „Dla Was Kochani Chłopcy, przez cały okres pobytu w Gimnazjum byłem tylko prefektem i takim pozostanę w dalszych latach”.

Od 2 września 1940 r. był także prefektem Żeńskiej Szkoły Zawodowej w Sandomierzu. Dnia 7 stycznia 1947 roku został mianowany przez Ojca Św. Piusa XII Kanonikiem Generalnym Kapituły Katedralnej Sandomierskiej. Zmarł na zapalenie płuc dnia 5 stycznia 1948 roku. Pochowany na cmentarzu w rodzinnej parafii Kuczki.

Cóż wypada powiedzieć o księdzu Prefekcie, mnie, który byłem przez 8 lat jego uczniem?

Był człowiekiem bardzo pracowitym, wszystkie swoje trudne i odpowiedzialne obowiązki wykonywał dokładnie. Każdy wykład religii przeprowadzał jako jednostkę wzorowo: krótkie odpytanie uczniów, a później wspaniały wykład na nowy temat, który przejrzyście przeprowadzał i przez rzucane pytania pogłębiał, aby uczniowie mogli zrozumieć przedstawione kwestie. Odczuwało się, jak się cieszył, gdy słuchacze umieli wchłonąć nawet skomplikowane, rozwiązywane tematy. Były to lekcje wzorowo prowadzone. Trzeba dodać, że ks. prefekt Franciszek Malarczyk był doskonałym wychowawcą. Obserwował swoich uczniów dokładnie i kierował ich wysiłkami nad wypracowaniem szlachetnych, uczciwych i wzorowych charakterów. Odwiedzał uczniów, którzy byli na ówczesnych stacjach. W czasie odwiedzin najpierw rozmawiał z panią prowadzącą stację, a następnie z każdym uczniem. Poznawał z jakiej rodziny pochodzi, dawał wskazówki, a często starszym uczniom proponował korepetycje, aby im finansowo pomóc, gdy mieli różne w tych sprawach braki. O dobrych korepetytorów zwracali się zawsze rodzice do ks. Prefekta.

Ks. Kanonik Franciszek Malarczyk brał czynny udział w tajnym nauczaniu religii i historii polskiej. Lekcje prowadził nawet w swoim mieszkaniu na Wikariacie przy ul. Katedralnej 3, gdy w części domu stacjonował oddział policji granatowej w służbie niemieckiej. 24 marca 1944 roku powołano komisję PKOiK w Sandomierzu, której przewodniczącym został ks. Franciszek Malarczyk (w tajnych władzach oświatowych w powiecie sandomierskim). Przewodniczył więc w komisjach maturalnych tajnego nauczania w całym powiecie.

Wspomnieć należy, że ks. Kanonik był znakomitym znawcą ziół. Często w czasie wakacji przebywał w Baćkowicach u proboszcza ks. Kanonika Romualda Górskiego. Ludzie chorzy z całej okolicy przybywali do ks. Kan. Malarczyka i prosili o rady, jakie zioła należy stosować na ich choroby. On cierpliwie pouczał o sposobach ich używania.

## **Leon Cieśla**

W klasie VI, VII i VIII na stacji u pani Trautmanowej – siostry pana Pietrzyka wiceprezesa „Pomocy Bratniej”- było nas czterech uczniów. Wśród nich był przez te lata Leon Cieśla. Był uczniem dobrym i w tych latach obaj mieliśmy dobre korepetycje. Po maturze w 1933 roku odbył służbę wojskową, przez dwa lata pracował w charakterze kancelisty w Sandomierzu, a w 1937 r. rozpoczął studia prawnicze w Warszawie i równocześnie pracował w kancelarii posła Bolesława Babskiego. Jako podchorąży piechoty

wziął udział w kampanii wrześniowej, po bitwie pod Lwowem uciekł z niewoli niemieckiej i wrócił do Sandomierza. Oddał się całkowicie tworzeniu Batalionów Chłopskich w powiatach iłżeckim, miechowskim i sandomierskim. Aresztowany 7 marca 1944 r został wywieziony do obozu w Gross Rosen. Tam pomagał słabszym z narażeniem własnego życia. W lutym 1945 r wyszło z Gross Rosen kilka transportów więźniów w kilku kierunkach. W którymś z nich znalazł się Leon Cieśla i podzielił los milionów ofiar faszystowskich ludobójców. Od września 1985 r nasze Liceum mieści się w nowym budynku usytuowanym przy ul. Leona Cieśli, w październiku tegoż roku otrzymało imię ucznia i nauczyciela tej szkoły, Aleksandra Patkowskiego.

Kończąc te wspomnienia o ks. Malarczyku, prof. Cyprianie Kamockim-wicedyrektorze mojego gimnazjum i wychowawcy mojej klasy, koledze klasowym i ze stancji, Leonie Cieśli wypada mi wyrazić słowa czci i wdzięczności dla wszystkich wychowawców i profesorów z okresu mojego pobytu w sandomierskim gimnazjum od 1925 do 1933 roku.

Sandomierz 17 października 1991 roku

PS. Kapituła Stowarzyszenia Wychowanków Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego przyznała ks. Prałatowi Janowi Skórskiemu Dyplom Matury z okazji 60-lecia, który miał być wręczony 28 maja 1993 w czasie uroczystości wręczania świadectw maturalnych. Ks. Prałat J. Skórski wybierał się jak co roku do Nałęczowa. Termin wyjazdu planował na 1 czerwca. Miałem go poinformować o terminie uroczystości i umówić się, gdzie podjechać po Dostojnego Wychowanka Collegium Gostomianum. Kiedy 24 kwietnia o godzinie 14.30 zadzwoniłem na Wikariat – nikt mi nie odpowiedział. Zapytałem siostrę o ks. Prałata, odpowiedziała : *Odszedł półtorej godziny temu*

– Zdzisław Trębski

Alfred Szmuszkiewicz

## **SANDOMIERZ LAT 20-TYCH i 30-TYCH**

Urodziłem się w tym mieście w najkrótszą noc roku, noc Kupały i w metryce wpisano datę 24 czerwca 1923 r.

Moja egzystencja w tym mieście trwała do początku lat 40. Rodzinne miasto o wielowiekowej historii, swoistym położeniu i krajobrazie, przywołuje obecnie w pamięci przeżyte tam lata.

Pierwsze historyczne wzmianki o Sandomierzu pochodzą z VIII wieku określając go jako osadę, ale już w wieku XII jest grodem książęcym z przynależnymi mu przywilejami. (1,4) Wiek XIII przynosi miastu dalszy rozwój dzięki Kazimierzowi Wielkiemu. Ten król przyczynił się walcie do rozkwitu miasta. Jego korona nosi nazwę korony sandomierskiej.(4) Wiek XIV i XV podnoszą znaczenie miasta jako dogodnego szlaku handlowego aż do Gdańska oraz wymiany handlowej z pobliską Rusią. (3) Z Krakowa – stolicy państwa i ważniejszych miejscowości na szlaku wodnym Wisły płynęły barki ze zbożem i innymi dobrami ziemi w dół Wisły do Gdańska. W wieku XVII miasto szczyciło się imponującymi budowlami: Ratuszem, Collegium Gostomianum, Domem Długosza, Spichlerzem, Katedrą i czterema innymi kościołami, Zamkiem, Domem Oleśnickich i dwoma bramami obronnymi: Krakowską i Opatowską. W wieku XVIII zbudowano jeszcze jeden kościół św., Józefa dawny klasztor Reformatów. (4)

Brama Krakowska rozpadła się w latach 30, druga jest ozdobą miasta do dziś.

Prezbiterium okazałej Katedry w stylu gotyckim ozdabiają freski ufundowane przez Królową Jadwigę, odkryte i odrestaurowane w latach 30.

Nic więc dziwnego, że to miasto o swoistym uroku, z historycznymi zabytkami odwiedzają chętnie turyści i malarze.

Sandomierz budowano w średniowieczu według ówczesnych założeń architektury z uwzględnieniem konfiguracji terenowej. Centralnym punktem miasta był Rynek w kształcie czworoboku z Ratuszem pośrodku. Cztery boki rynku otaczały domy mieszkalne, przeznaczone w części parterowej na sklepy i usługi. Konfiguracja terenu stwarzała możliwość uzyskania szerszej części czworoboku w obszarze północnym i południowym, a nieco węższym w pozostałych partiach ze znacznym spadkiem z północy ku południu.

Zarejestrowany w pamięci obraz Rynku i ulic tamtych lat podobny jest do stanu obecnego. W górnej części rynku odchodziły ulice Zamkowa i Opatowska, w dolnej ul. Mariacka (dawniej NMP) i ul. Gen. Sokolnickiego. Górny odcinek rynku zajmował znaczną przestrzeń ku tyłowi z frontem domów, a w głębi dzielnicą żydowską dochodzącą do krawędzi wzniesienia, opadającego dalej na Podwale i jeszcze niżej aż do dróżki wąwozowej prawie równoległej do Podwala, między kościołem św. Jakuba i Górnym Podwalem w pobliżu kuźni pana Bryły. Dolny odcinek Rynku był nieco węższy w głąb z powodu znacznego nachylenia gruntu ku Rybitwom. Do niżej przebiegających ulic wiodły z Rynku strome schodki. Jedno zejście było przy początku ul. Mariackiej do Rybitw (ul. Krótka), drugie przy ul. Zamkowej przez Ucho Igielne na Podwale i niżej, a trzecie z

dzielnicy żydowskiej obok koszernej rzeźni na Podwale i do mykwy przy dróźnie wąwozowej.

W domach wokół Rynku mieściły się zajazdy, hotel i liczne sklepy różnorodnej branży, od artykułów spożywczych, odzieżowych, obuwniczych, metalowych po usługi zegarmistrzowskie, fryzjerskie, radiowe i inne. Ważnymi sklepami był skład apteczny Państwa Targowskich, apteka Państwa Popławskich, zakład fotograficzny Pana Kołeckiego, „Bratnia Pomoc”. Obok składu aptecznego Targowskich miał swą fryzjernię Pan Radecki, zaś niżej po tej stronie w domu dr. Krawczyńskiego sklep włókienniczy miał Pan Kobus.

Większość sklepów należała do Żydów, tylko niewielka liczba Polaków zasiedlała własne domy w dolnej części rynku, prowadząc swe sklepy, m.in. wędliniarskie, masarnie i piekarnie. W tej części znani byli Fijałkowscy, Gospodarczykowie, Wnuk i Żuber. W latach 30, naprzeciwko składu Targowskich, w Rynku urządzono postój taksówek z uwagi na zatrzymujące się tam autobusy dalekiej komunikacji. Miało to miejsce po zniesieniu jarmarków z terenu Rynku. Postój dorożek od lat był umiejscowiony na Małym Rynku.

Rynek jako centralne miejsce tętnił w latach 20 i na początku 30 aktywnym życiem. Codziennie handlowano tam poniżej Ratusza nabiałem, owocami i warzywami. Natomiast w dni jarmarczne pokrywały go stragany, stoiska z konfekcją, meblami, odzieżą, skórami, obuwem, wyrobami garncarskimi, kołodziejskimi, bednarskimi, wozami chłopskimi załadowanymi wszelkim dobrem rolnym i bydłem.

Pośród sprzedających i kupujących kręciły się panny na wydaniu i kawalerowie, a także kuglarze, żebracy i złodzieje. Był to barwny korowód ludzi porównywalny z piosenką Maryli Rodowicz o kolorowych jarmarkach.

W połowie lat 30 zlikwidowano jarmarki w Rynku przenosząc je poza miasto, w pobliże nowych koszar i ul. 11 Listopada. Dłużej utrzymał się handel tego typu w ograniczonej skali na Małym Rynku, gdzie rozsiadały się przekupki, przy straganach i jatkach mięsnych. Handlowano tam także zbożem, wyrobami powroźników, garncarzy, kotlarzy i bednarzy. Znajdująca się na Małym Rynku knajpa rozgrzewała chłopów i handlarzy dostarczając także klientom nadmiernie rozgrzanych pobliskiej „kozie” – aresztowi miejskiemu usytuowanemu przy wjeździe na Mały Rynek od strony Ratusza.

Wyroby kotlarskie cieszyły się wzięciem z uwagi na tradycję smażenia jesienią wspaniałych powideł z dorodnych śliwek, gruszek i jabłek. W późniejszych czasach doszły morele i brzoskwinie, ale produkcja domowych powideł zaczęła upadać, gdy powstały w Dwikozach Zakłady Przetwórstwa Owoców.

Odchodzące z Rynku cztery ulice charakteryzowały się swymi ciekawostkami. Można było po nich pospacerować, zajrzeć do ciekawych sklepów i poszaleć po licznych sieniach i przejściach. Najatrakcyjniejsza była ulica Opatowska, równa, dobrze zagospodarowana, z

ciekawymi sklepami. Ulicę otwierał nowo otwarty w 1939 roku duży sklep zegarmistrza Pana Wychowiaka, obywatela amerykańskiego, który krótko nacieszył się wolnym krajem i nie zdążył wrócić do USA z chwilą napaści hitlerowskiej. Całą okupację musiał pozostać na miejscu. W dalszym ciągu mieściły się sklepy z artykułami żelaznymi, rowerami, sprzętem wędkarskim, cukiernia Pana Chmielewskiego, sklep Borodajków, nieco dalej skład apteczny Sokołowskich, zakład fotograficzny Kossowskiego, hotel naprzeciwko kościoła św. Ducha cukiernia Milrada i drukarnia zamykająca ulicę przy bramie Opatowskiej. Przeciwna strona ulicy obejmowała budynki szpitalne wraz z kościołem aż do rogu ulicy Szpitalnej. Dalej była stolarnia, a potem sklep z meblami, duży sklep bławatny Pana Bulińskiego przybyłego z Poznania, Resursa – miejsce spotkań high-life z okolicznych dworów i notabli miasta. Za nią dołączała piwiarnia Skobla i sklepy bławatne rodziny Szapirów. Po tej ulicy spacerowała najchętniej młodzież, zwłaszcza w czasie niepogody i jesiennych dni, korzystając z nabożeństw w pobliskim kościele.

Drugą chętnie odwiedzaną ulicą była ul. Mariacka, mieszcząca ważne urzędy, jak Sąd Grodzki, jadalnię „Bratniej Pomocy”, jej składy i biura, Pałac Biskupi, Starostwo i Katedrę z dzwonnica. Naprzeciwko Starostwa wyrosło nowe kino z kolorowym ekranem i filmami najświeższej produkcji. Powstało ono dzięki Akcji Katolickiej i ściągало liczną młodzież. Tuż obok kina stał mały domek, gdzie rozpocząłem swą edukację. W latach wcześniejszych korzystano z małego kina, najpierw niemego, potem udźwiękowionego, mieszczącego się w budynkach OSP.

Dla młodzieży najmniej atrakcyjną była ul. Zamkowa zabudowana po jednej stronie domami rodzin katolickich i Urzędem Skarbowym, zaś po przeciwnej ciągiem domów żydowskich z nielicznymi sklepikami. Tę ulicę przemierzali nieliczni idąc nad Wisłę. Lepiej szło się z miasta ul. Mariacką.

Ulica Gen. Sokolnickiego mieściła księgarnię Pań Chodakowskich chętnie odwiedzaną przez młodzież, Bank Spółdzielczy i hurtownię tytoniową, przy jej zetknięciu z ul. Browarną. Można było także znaleźć w pobliżu murów szpitalnych warsztaty usługowe szklarzy, szewców i stolarzy. Od strony Rynku od tej ulicy odchodziła ulica Tkacka, łącząc się z ulicą Forteczną. Tam miała swą siedzibę księgarnia „Ognisko” zaopatrująca młodzież wszystkich szkół w podręczniki i pomoce szkolne.

Wracając wspomnieniami do ulicy Zamkowej należy wspomnieć o łaźni miejskiej posadowionej na małym skrawku ziemi, naprzeciwko zabudowy zamkowej, ówczesnego więzienia, zamkniętym uliczką wiodącą do dawnej bramy Krakowskiej i Spichlerza.

Z Bramą Opatowską kojarzy mi się zebrzący tam wiele lat Waluś z olbrzymim wołem u szyi.

W latach trzydziestych miasto przeżyło dwa groźne pożary. Jeden, kiedy spłonęły drewniane domy żydowskie w dolnej części Rynku oraz drugi na ulicy Mariackiej, gdzie spaliły się magazyny oraz część budynków „Bratniej Pomocy”, a także pomieszczenia Sądu Grodzkiego. Dość szybko odbudowano domy w Rynku, już ceglane.

Mieszkańcy Sandomierza zawsze chodzili z góry w dół lub odwrotnie, pokonując liczne wzniesienia lub schodki. Każdy musiał być dobrym piechurem. Może dlatego stacjonował w tym mieście 2 PP Leg. Najchętniej spacerowano do parku lub nad Wisłę w zależności od pory roku i pogody. Latem plażowano się w okolicach mostu kołowego, długie lata płatnego przy przejściu przez rzekę. Dłuższe wędrówki wiodły w Góry Pieprzowe, błonia lub na Salve Reginę.

Na przełomie lat 20 i 30 oddano bulwar nad Wisłą, rozdzielając wody portu koło Zamku i wody rzeki Koprzywianki, ciągnące się wzdłuż drogi krakowskiej. Droga na bulwar przegrodziła długi kanał wodny płynący od Krakówki do portu, a wykonane prace regulacyjne poprawiły przejezdność drogi na Krakówkę zalewanej wcześniej często przyborem wód. Przestrzeń między Wisłą, a kanałem zajął bulwar. Jego początkową część zajmowała przystań dla statków pasażerskich kursujących do Warszawy, zaś poniżej znalazły miejsce stacjonowania barki – galary spławiające węgiel ze Śląska i drobnicę z Krakowa. W latach poprzednich statki i barki wpływały do starego portu, ale po regulacji i zabudowaniu wejściowego odcinka na bulwar poziom wody w starym porcie obniżył się znacznie, gdyż jedynym dopływem wody z Wisły było ujście z okolicy mostu drogowego. Taka sytuacja często uniemożliwiała wpłynięcie do starego portu, dodatkowo zamulonego nieczystościami z terenu Piszczel i Zamku. Z tych względów pomyślano o budowie przystani na Wiśle, gdzie poziom wody był prawie zawsze dobry dla takiej żeglugi. Na końcu bulwaru powstała przystań Yacht Clubu z dużą kawiarnią i tarasem, na którym urządzano imprezy taneczne. Yacht Club posiadał na zapleczu sprzęt pływający będący częściowo własnością mojego gimnazjum. Resztę odzyskanego terenu za bulwarem zapełniała kępa wiklinowa oraz nieliczne już doły. Początek drogi bulwarowej znaczył dom nadzorca wodnego, w pobliżu którego z przeciwnej strony na kanale wodnym urządzano zimą lodowisko zabezpieczone drewnianą szatnią i bufetem, co zapewniało pewien komfort korzystającym ze ślizgawki. Z radia płynęła muzyka.

Tuż nad lodowiskiem, przy drodze krakowskiej stał dom Chrzastowskich z zasobną restauracją chętnie odwiedzaną przez woźniców z miasta i pobliskich wsi. Nieco dalej w pobliżu Wąwozu Królowej Jadwigi egzystowała rozlewnia piwa Pana Stanka i składowisko lodu pozyskiwanego zimą z rozlewisk wodnych i z Wisły dla celów gastronomicznych. Dalej ku Krakówce wiodły łąki i pola. Na wyższej partii pól stał prochownia i dwa murowane domki dla służby wartowniczej. Zbudowanie nowej prochowni ze strzelnicą na

Chwałkach zakończyło działalność tejże. Po likwidacji prochowni, kiedy wybudowano wodociągi miejskie, znikło również zainteresowanie krynicznym źródłem poniżej tych budynków. Stąd prowadziły ścieżki na „Salve Reginę” i do kościoła św. Pawła stojącego prawie na granicy administracyjnej miasta w latach 20. Obok kościoła od strony Piszczel był cmentarz. Nazwa Piszczele związana jest z legendą o Halinie Krępiance, córce wojewody z XII wieku i miasta napadanego trzy razy przez Tatarów (4). Chcąc uchronić miasto przed zagładą, Halina Krępianka poświęciła swe życie podstępnie wciągając wrogie wojska w lochy Piszczel, które zasypano grzebiąc żywcem Tatarów wraz z nią. Jej nazwisko nosi jedna z ulic. Niegdyś Piszczele przecinały wąwozy i rzeczka.

Bliżej miasta, przy końcu ulicy Reformackiej działała elektrownia miejska, wytwarzająca prąd o mocy 110 V i zasilająca jedynie ważne instytucje w mieście pomiędzy godziną 15 lub 16 a 23, w zależności od pory roku. Lata 30 zmieniły obraz Piszczel. Najpierw wybudowano boisko szkolne, potem skocznię narciarską na pobliskim stoku. Większą inwestycją była budowa bursy dla gimnazjalistów oraz kilku domów nauczycielskich. Pobudowali się także prywatni obywatele. Wreszcie powstał prawdziwy stadion w głębi Piszczel na osi Rokitek, a ulica 11 Listopada. Pobudowano także domy przy ulicy Reformackiej. Pobliski park, jako stałe miejsce spacerowe mieszkańców, ze stojącą pośrodku kawiarnią i muszlą koncertową ściągając zamożnych obywateli i młodzież. W muszli grywała orkiestra wojskowa i często te koncerty łączono z innymi imprezami, zwłaszcza charytatywnymi oraz loteriami fantowymi. Zbierano datki na ubogich i obozy letnie młodzieży harcerskiej.

Lata 30 wskazywały na korzystne przemiany w całym kraju. Ustabilizowana waluta pozwalała na rozbudowę Gdyni i realizację COP-u. Ta ostatnia inwestycja miała znaczny wpływ na rozwój miasta. Towarzyszące temu inwestycje, m.in. budowa gazociągu z Borysławia do Ostrowca Świętokrzyskiego, dały zatrudnienie znacznej grupie ludzi i spowodowały powstanie nowych instytucji. Stalowowolska elektrownia o dużej mocy zapewniała miasto w energię elektryczną bez ograniczeń. W Sandomierzu trwała budowa wodociągów i kanalizacji, ponieważ dotychczasowe prymitywne rynsztoki odprowadzały zbyt mało wód gospodarczych i opadowych, niszcząc jezdnie i bruki i powodując powstanie dziur i zapadlisk. Za parkiem obok nowej szkoły wyrosła wieża ciśnień. Wojsko zbudowało nowe domy oficerskie i magazyny wzdłuż ulicy Mickiewicza i nowe koszary za ulicą 11 Listopada. Przy ul. Żeromskiego otwarto nową pocztę, nowy dom PTTK z zapleczem hotelowym, a w pobliżu rozbudowywała się nowa dzielnica mieszkaniowa dla nowo przybyłych ludzi, zatrudnianych w nowych instytucjach i przedsiębiorstwach.

Na każdym kroku widać było rozkwit miasta, a ludziom wiodło się lepiej. Na ulicy 11 Listopada w nowych domach zasiedlanych przez kadrę podoficerską pobliskich koszar i



nauczycieli z nowo wybudowanego gimnazjum żeńskiego niedaleko końca tej ulicy, tętniła pełnia życia. Ulica Puławskiego stała się siedzibą nowego banku spółdzielczego, jak też nowych domów. Przybywało coraz więcej ludzi i miejsc pracy.

W latach 20 Sandomierz liczył około 12 tys. mieszkańców, by przed wybuchem wojny przekroczyć liczbę 15 tys. Według relacji z tamtych lat 1/3 ludności stanowili Żydzi, z których niewielu zachowało życie po likwidacji getta.

Na dalszy rozwój czekał Sandomierz do lat 60. kiedy to zapadła decyzja budowy huty szkła obok portu w Nadbrzeziu. Pewien wpływ na rozwój miasta miało także rozwijające się tarnobrzeskie zagłębie siarkowe, bowiem oba miasta wiązały silne więzy mimo rozdziału administracyjno-wojewódzkiego.

Pierwszą, najważniejszą powojenną inwestycją dla podupadłego miasta było zabezpieczenie osuwającej się skarpy w dalszej części Rynku na stoku ku Rybitwom, zagrażającej historycznym obiektom i Rynkowi. Zabezpieczenia podziemi, właściwego odprowadzenia wód gruntowych i pewnej stabilizacji gruntu dokonali górnicy ze Śląska. Po tych głównych zabiegach następowała rekonstrukcja otoczenia i samego Rynku. Wiele budowli ucierpiało w czasie walk o Przyczółek Baranowski. Huta szkła wspomagała finansowo odbudowę miasta, budując sama z własnych funduszy duże osiedle mieszkaniowe dla swych pracowników w okolicy stadionu. Główną ulicę tego osiedla nazwano imieniem Romana Koseły, mojego nauczyciela na tajnych kompletach do momentu jego aresztowania przez gestapo. Ten człowiek był z powołania nauczycielem, lecz z powodu zapatrywań politycznych ludowca miał poważne trudności w okresie przedwojennym i często bywał bez pracy. W trudnym okresie zajmował się gospodarstwem i pracą na roli.

W tym czasie nastąpiła zabudowa dawnego boiska szkolnego blokami mieszkalnymi przy ulicy Ogrodowej tuż za parkiem.

Dla ścisłości historycznej należy wspomnieć, że w latach 30 rozpoczęto budowę huty szkła w pobliżu mostu kolejowego w Dwikozach, jednak jej rozruch przerwała wojna. Same Dwikozy wzbogaciły się wtedy o nową fabrykę przetwórstwa owocowego działającą nadal. Czysty piasek Wisły i bogactwo sadów stwarzało asumpt do dalszego rozwoju miasta i regionu.

W drugiej połowie lat 30. znikła z powierzchni fabryka maszyn rolniczych mieszcząca się w klinie gruntu pomiędzy ulicą Zawichojską, a drogą z Chałupek do mostu kołowego. Dłużej istniały po przeciwnej stronie drogi magazyny i narzędziownia tej fabryki. Na terenie po fabryce przez długi czas urządzano wystawy rolnicze. Odcinek drogi między Chałupkami a mostem na Wiśle zajmowały podmokłe łąki i rozlewiska wodne, natomiast po przeciwnej stronie tej drogi ciągnęły się błonia, często trudno dostępne z uwagi na liczne łachy wodne.

Uregulowanie Wisły w latach trzydziestych stało się koniecznością, zwłaszcza po powodzi z 1934 r. Zapisy historyczne wspominają o najgroźniejszej powodzi w 1913 r. (1) Pierwsze prace regulacyjne rozpoczęli junacy z młodzieżowych hufców pracy w początkach lat 30. skoszarowani na barkach hotelowych na prawym brzegu rzeki obok nowego portu. Sypali wał ochronny od mostu kołowego do Pieprzówek i w drugiej połowie lat 30. wał oddzielił błonia od rzeki. Pozostały jeszcze nieliczne głębokie doły wody od strony błoi. W jednym z takich dołów wyłowiono olbrzymiego suma o wadze ponad 200 kg. Byłem świadkiem sprzedaży tego olbrzyma. Kupiła go kuchnia wojskowa, bowiem żadna restauracja nie miała chęci na kupno takiej ilości mięsa tej ryby.

Górny odcinek Wisły od Krakówki w stronę Złotej i Bogorii regulowali biedacy huculscy i ukraińscy, wożąc na swych małych wozach ziemię na wały w typowym zaprzęgu jednokonnym z poprzecznymi pałakami.

Regulacyjne prace obniżyły znacznie w końcu lat 30. poziom wody na Wiśle. Przyczyniła się także do tego zaporą wodną na Dunajcu w Czchowie. W końcu lat 30. można było często przechodzić przez rzekę powyżej przystani pasażerskiej, będąc zanurzonym w wodzie powyżej piersi. W związku z tym budowano tamy regulujące koryto rzeki dla spławności ruchu towarowego.

W dalszej części omawianego tematu pragnę poświęcić nieco miejsca okresowi szkolnemu, zwłaszcza pamięci ostatnich dwóch lat szkoły średniej, ponieważ w wydaniu „W naszej pamięci” istnieje pewna luka o uczniach 1939 r. Gimnazjum im. J. Piłsudskiego, które po wojnie zmieniło swe lokum i nazwę.(2) Moje dane odnoszą się jedynie do klasy II B, której byłem uczniem.

Szkołę podstawową rozpocząłem w 1930 roku w małym domku przylegającym do kina Polonia, gdzie uczyłem się jedynie kilka tygodni, by przejść do nowej szkoły za parkiem. Naszą wychowawczynią była Pani Tarnawska, córka powstańca z 1863 roku, mieszkająca w domu Państwa Wojciechowskich przy ul. Mickiewicza, tuż za ogrodzeniem szkoły podstawowej żeńskiej. Właśnie z jej ojcem spotykałem się często w starszych klasach, widując go zawsze w jego oryginalnym mundurze powstańczym i on opowiadał mej skromnej osobie o dziejach powstania, tamtych czasach i swych przeżyciach. Zmarł prawdopodobnie w latach 1935-1936, a jego prochy leżą na Powązkach w Warszawie.

Z I klasy szkoły podstawowej pozostała pamiątkowa fotografia z naszą wychowawczynią, wykonana w Wąwozie Królowej Jadwigi, przedstawiająca naszą grupę zuchową pierwszaków oraz trzech druhów i zastępcę harcymistrza. Z okresu szkoły podstawowej jest niewiele do przekazania. Chyba najważniejszym momentem była śmierć Marszałka Józefa Piłsudskiego w 1935 roku, którą odczuła bardzo młodzież i polskie społeczeństwo, ponieważ był On ideałem jednych i drugich.

W roku 1936 zakończyłem edukację w szkole podstawowej i zdałem egzamin wstępny do Gimnazjum im. Marszałka Piłsudskiego przy ul. Żeromskiego. Do tego gimnazjum uczęszczałem jedynie 2 lata, ponieważ dalszą naukę przerwała wojna. W gimnazjum uczyłem się według nowego programu, zmienionego w 1935 r. Nowy program przewidywał 4 lata nauki w gimnazjum i 2 lata w liceum. Matura mała po ukończeniu gimnazjum nie dawała uprawnień do studiów wyższych, jedynie duża matura po liceum. Można było uczęszczać do szkoły i liceum typu humanistycznego lub matematyczno-przyrodniczego. Wraz ze zmianą programu nauczania wprowadzono nowe umundurowanie uczniów. Dawniej noszono ciemne bluzy rodzaju mundurowego z kołnierzem kroju koszulowego, na którym były naszywki koloru srebrnego lub złotego, na specjalnej patce, wskazujące rok nauki. Cztery pierwsze lata noszono naszywki srebrne, w następnych trzech latach złote, bowiem nauka trwała siedem lat, po ukończeniu pięciu klas szkoły podstawowej. Nowy program przewidywał zdawanie do gimnazjum po szóstej klasie szkoły podstawowej.

Nasze mundurki miały krój marynarki dwurzędowej ze srebrnymi guzikami, koloru ciemnoniebieskiego, z jasnoniebieskimi wypustkami na mankietach rękawów. Na lewym rękawie była tarcza szkoły w otoku jasnoniebieskim z numerem szkoły. Spodnie długie miały taką samą barwę jak marynarka. Pozwalano w dni powszednie chodzić w innych spodniach. Noszono płaszcze typu szynel wojskowy w ciemnoniebieskim kolorze z dwoma rzędami guzików i odpowiednimi wypustkami na mankiecie rękawa. Licealiści mieli obszyte czerwone. Głowę nakrywała maciejówka z odpowiednim otokiem na rondzie czapki.

Zachowane zdjęcie z czasów gimnazjalnych dokumentuje grupę mojej klasy i pięciu nauczycieli oraz dyrektora. Według mnie brak na tym zdjęciu dwóch kolegów, a mianowicie Wojtka W., który rozpoczął naukę nieco później oraz jednego repetanta. Część moich kolegów klasowych zginęła w czasie wojny, część zmarła po wojnie, a tylko z niektórymi zetknąłem się po wojnie. Jednym ze spotkanych kolegów był Mieczysław T., aresztowany przez UB w 1946 roku podczas manifestacji studenckich na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kolega ten przebywał w więzieniu przez 15 lat. Nasze spotkanie miało miejsce w latach 60. Z tym kolegą wiązała się historia podpalenia przez kolumnę niemiecką Dworca Głównego w Warszawie w dniu 6 czerwca 1939 roku. Na tej wycieczce Miecio T. zgubił okulary podczas kąpieli w Kazimierzu nad Wisłą, więc musiał mieć opiekuna, bowiem niewiele widział.

Spotkałem także tuż po wojnie kolegę Targowskiego i Smułę. Z tym ostatnim utrzymuję kontakt do dziś.

W czasie okupacji był ze mną w „Baudienście” kolega Tużnik, który po dwóch miesiącach zbiegł z obozu i wkrótce zginął w walce partyzanckiej koło Brodów Iłżeckich. Wiem także, że zginął kolega Trepka.

Z humorystycznych wspomnień w tej klasie pragnę wspomnieć naszą polonistkę, z którą wojowałem cały rok. Przyczyną było przyłapanie mnie na jej lekcji na odrabianiu zadania z innego przedmiotu. Ten fakt miał spowodować moje repetowanie w tej klasie. Ponieważ często robiłem różne kawały, więc wówczas grzecznie odpowiedziałem pani profesor, że o mojej promocji decyduję ja, a ona może tylko klasyfikować moją znajomość przedmiotu. Walka między nami trwała cały rok z pozytywnym skutkiem dla mnie, chociaż już w tej szkole nie zobaczyliśmy się w trzeciej klasie. Przyczyną była napaść hitlerowców na nasz kraj i naukę musieliśmy kontynuować na tajnych kompletach.

W gimnazjum musieliśmy chodzić obowiązkowo w niedzielę i święta na nabożeństwa kościelne czwórkami z dyżurnym nauczycielem. Wcześniej maszerowały ulicą dziewczęta z żeńskiego gimnazjum. Kontakt z płcią odmienną był dopuszczalny jedynie pod nadzorem nauczycielskim i tylko podczas zabaw szkolnych.

Często braliśmy udział w uroczystościach państwowych, więc dobrze zapamiętałem obecność w naszym mieście prezydenta RP Ignacego Mościckiego na Rynku w 1938 roku, podczas jego wizytacji COP-u. W latach 1936-1938 na osuszonych błoniach miały miejsce dwa duże zloty challengowe samolotów wojskowych i sportowych. Mogłem wówczas zobaczyć po raz pierwszy w życiu samoloty stojące na ziemi. W tym okresie odbyły się także wspaniałe manewry ułanów, zakończone wielką paradą wojskową i zawodami hippicznymi, także na błoniach. Rozpatrując lata 20. i 30. nie można pominąć animozji pomiędzy mieszkańcami lewobrzeżnej i prawobrzeżnej strony Wisły, szczególnie w latach 20. Mieszkańcy miasta nazywali mieszkańców zza Wisły „galicjakami”, natomiast tamci stronę przeciwną określali „kongresowiakami” lub złośliwie „rusami”. Ta awersja wynikała z okresu zaborów, gdy lewa strona Wisły była pod zaborem rosyjskim, zaś prawa należała do monarchii austriackiej. W zaborze austriackim istniała większa swoboda polityczna i kulturalna, zwłaszcza w zakresie nauki. W związku z tym po stronie austriackiej zachowało się znacznie więcej ludzi wykształconych niż po stronie przeciwnej. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę większość wyższych i średnich stanowisk państwowych i samorządowych zajmowali ludzie z monarchii austriackiej, wywołując tym samym odruch traktowania „galicjaków” przez „kongresowiaków” jako ludzi dla nich dość obcych, obejmujących intratne posady w mieście. Niewielka liczba ludzi wykształconych z zaboru rosyjskiego nikła w masie urzędniczej, więc siłą rzeczy widziano głównie „galicjaków”.

Może właśnie z tych powodów lewobrzeżni mieszkańcy nie doceniali nauki i większość kończyła edukację na szkole średniej. Galicjacy, jako bardziej uświadomieni,

studiowali na wyższych uczelniach liczniej, mając nawet lepszy dostęp komunikacyjny do wyższych uczelni Krakowa i Lwowa. Sandomierzacy mieli długie lata komunikację jedynie z Warszawą. Tamci dysponowali stacją kolejową w Nadbrzeziu, natomiast sandomierzacy jechali do Dwikozów lub przez Opatów do Ostrowca Świętokrzyskiego.

Ten stan rzeczy zmieniał się dość wolno i pod koniec lat 30. zaczęły znikać animozje między Nadbrzeziem i miastem.

W szkole podstawowej uczyli mnie następujący nauczyciele: w I klasie jako wychowawczyni Pani Tarnawska, natomiast w starszych klasach Pan Krajkowski, małżeństwo Milkowskich, Szelestów, Domagała i Mroczek.

Zdjęcie zuchowe z 1930 roku przedstawia druhowa Adamczyka, Nogaja i Nowaka, Panią Tarnawską i zastępcę harcmistrza. Zuchami są uczniowie I klasy, a mianowicie: Chrzastowski, Dróżdź, Dudek, Grudzień, Gajdek, Gajos, Hadam, Hara, Kolasiński, Kołodziej, Konieczny, Kukielka, Kwitek, Libicki, Nowak, Orłowski, Przybylski, Smuła, Smuszkiewicz, Socha, Stec, Szpara, Szraga, Targowski, Ziarko, Ziolo, Żyła (pozostałych nazwisk nie pamiętam).

W szkole średniej nauczycielami byli: wychowawczynią prof. Głębowna, wychowawcami dalszymi: Tomasz Hadam, Cyprian Kamecki, Mieczysław Konieczny, Piotr Kwieciński, Gertruda Kluge (później Smoliński), ks. Malarczyk, Jan Mroczek, Jan Pił, Julia Olszewska, Michał Świerzowicz, Stanisław Walczyna, a dyrektorem Edward Żuława.

Uczniami klasy II B byli: Andruszkiewicz, Aschenbrener, Barcz, Biernat, Brydak, Cybulski, Dróżdź, Dryl, Gajos, Gospodarczyk, Kaliński, Kolasiński, Koszewski, Kotas, Kotowski, Kurasosadowicz, Kurowski, Kwiatkowski, Kukielka, Lenczewski, Lewandowski, Myszka, Nowak, Orłowski, Ostafijczuk, Pietrasik, Przybylski, Ryba, Samsonowicz, Sieroń, Smuła, Smuszkiewicz, Stec, Śpiewak, Targoń, Targowski, Trepka, Żyła, „Hefajstos”, którego nazwiska nie pamiętam, jak i pozostałych.

Przerwaną przez wojnę naukę kontynuowałem z przerwami na tajnych kompletach, najpierw u Romana Kosęły, potem w Trześni, by ponownie kontynuować moją edukację w mieście pod opieką prof. Głębowny. W 1943 roku musiałem opuścić Sandomierz, by już nie wrócić. Część kolegów zginęła w czasie okupacji.

Po wyzwoleniu odwiedzałem miasto rodzinne jedynie przelotnie, nie dysponując nigdy czasem na poszukiwanie znajomych i kolegów. Ci, którzy przeżyli wojnę na ogół wyjeżdżali do innych miast na studia lub za pracę. Wiem, że kilku kolegów studiowało w Łodzi, Gdańsku, Krakowie. Kilku uzyskało tytuły naukowe, zajmując wysokie stanowiska państwowe.

Po wojnie spotkałem z naszego grona szkolnego kilku kolegów w Łodzi i Gdańsku. Obecnie jedynym kolegą, z którym mam kontakt jest J. Smuga mieszkający w Radomiu.

Odwiedzając od czasu do czasu Sandomierz wracam myślami do przeżytych tam lat i porównuję dawny obraz miasta z dzisiejszym.

Najbardziej widoczne straty i zniszczenia dotyczą dzielnicy żydowskiej i niektórych obrzeży miasta. Odnowiony Rynek przypomina dawne czasy. Znikł z obrazu miasta stary kirkut obok domu Pana Bryły a błonia obsiadły różne przedsiębiorstwa. Rybitwy mają piękny deptak, bez rozlewisk, zmieniły się nie do poznania okolice Chałupek i Chwałek z licznymi sadami, domami i nową obwodnicą.

Migracja powojenna spowodowała znaczne przemieszczenia ludności, nic więc dziwnego, że wiele osób przybyło z innych okolic, a wielu mieszkańców miasta wyjechało i trudno dziś spotkać kogoś znajomego.

Na zakończenie nie można pominąć pewnej analogii historycznej i geograficznej z miastem powstałym również dzięki „budownicemu Polski murowanej” – Kazimierzowi Wielkiemu, a mianowicie Kazimierzem nad Wisłą. Oba miasta rozwinęły się pod patronatem tego króla i leżą na szlaku wiślanym, chociaż po przeciwnych stronach rzeki. Ale ukształtowanie terenu jest nieco odmienne mimo licznych wąwozów i glebie lessowej. W tych porównaniach Sandomierz góruje nad Kazimierzem dosłownie i w przenośni, ponieważ jest rozleglejszy i o większej liczbie mieszkańców, a także budowli historycznych.

Chciałbym, aby te skromne informacje i wspomnienia mogły przyczynić się do bogatego piśmiennictwa o rodzinnym mieście i historii Gimnazjum im. J. Piłsudskiego. (5)

Piśmiennictwo:

1. Dzieje Sandomierza Samsonowicza
2. W naszej pamięci Gimnazjum i Liceum w Sandomierzu, Wyd. Diecezjalne, 1991
3. Zeszyty Sandomierskie Nr 1
4. Encyklopedia Powszechna PWN 1973r
5. Sandomierz, Czasopismo Społeczne 1/10/1995 r.

Załączniki: 4 zdjęcia: 2 szkolne, ul. Mariacka i jarmark w Rynku

# WOJENKO, WOJENKO

Piotr Sierant

Matura 1948

## SNY O SZPADZIE

Po ukończeniu szkoły, zwanej wówczas powszechną, marzył mi się mundurek gimnazjalisty z niebieską tarczą na rękawie. Obojętnie z jakim numerem szkoły; chociaż moi koledzy wybierali głównie Tarnobrzeg. Niestety ja takiego wyboru nie miałem i musiałem zostać w domu. Mój ojciec nie był w stanie pokryć czesnego za naukę, bo pieniądze pochłaniała generalna modernizacja młyna, który był źródłem utrzymania rodziny. Ojciec mój zaciągał nawet pożyczki na ten cel. Miałem iść do gimnazjum, kiedy młyn ruszy i zacznie dawać dochód. A to nie było jeszcze takie oczywiste i określone w czasie.

Pomagałem bibliotekarzowi w Bibliotece Publicznej w Sulisławicach i uczyłem się księgowości w tzw. Kasie Stewczyka. Nie mogłem więc narzekać na brak zajęcia i literatury do poczytania. W wymienionych zajęciach miałem też kompana i przyjaciela szkolnego Mariana Mazgaja (matura w Sandomierzu w 1947 r.), którego ojciec przy licznej rodzinie nie był w stanie wysłać na dalszą naukę. A Marian też chciał być w życiu kimś i garnał się do nauki (ma 3 doktoraty). Obaj postanowiliśmy więc zrobić karierę wojskową, i to w lotnictwie. Marzyły się nam gwiazdki na stylowym mundurze, a nawet generalskie szlify. Właśnie niejaki Widanka z pobliskiej wsi robił taką karierę i był już kapitanem. (Zginął w bombowcu nad Niemcami.)

Po długich staraniach, wielu komisjach i selektywnych egzaminach zostaliśmy zakwalifikowani do Szkoły Lotniczej dla Młodocianych w Krośnie nad Wisłokiem. Mieliśmy się w niej zameldować bodaj 3 września 1939 roku. Stało się jednak inaczej. Agresja niemiecka nastąpiła 1 września 1939 r., a już 11 września rozgorzały walki pod Osiekiem i Łoniowem o przeprawę na Wiśle koło Baranowa Sandomierskiego. Wierzyliśmy, że Niemcy zostaną tu odparci i nastąpi ich odwrót. Ale tak się nie stało. Zostało tylko pobojowisko po zmaganiach, z którego Wehrmacht usunął wcześniej swoich poległych, aby później pozwolić ludności polskiej oglądać na nim zabitych polskich żołnierzy, padłe konie i porzucony sprzęt wojskowy. Ludzie wracali stamtąd ze złamanym sercem albo żądzą odwetu...

14 września wybrałem się też na zwiedzanie pobojowiska w rejonie Łoniowa i

Świniar. Udało mi się, tyłami oddziałów niemieckich, dotrzeć do wschodniego krańca Świniar, ale nad Wisłę Niemcy jeszcze nie pozwalali. Zawróciłem zatem, idąc brzegiem lasu koło tzw. Piotrówki. Leżał tam zabity kapral szwoleżerów polskich z koniem, w niewielkiej zaś odległości od nich stało polskie działo. Brzeg lasu był naszpikowany licznymi dołkami strzeleckimi. Poniewierala się tu porzucona amunicja. Niemcy włóczyli się wszędzie. Leżał tu też porzucony polski RKM syst. „Browing” wz. 28 i kilka magazynków amunicji do niego. Postanowiłem go ukryć przed Niemcami. Powoli, popychając go nogą, zepchnąłem do dołka strzeleckiego i zasypałem ziemią. Moje dziwne zachowanie zwróciło zapewne uwagę niemiecką, bo dwuosobowy patrol skierował się w moją stronę. Gdy dochodzili do mojego dołka, podpasywałem właśnie spodnie. Sprawdzili stan faktyczny i zawrócili zadowoleni z bojowego rozpoznania.

Ukrycie RKM-u zapoczątkowało u mnie zapał do gromadzenia amunicji do niego, bo broni już więcej nie znalazłem. Za to granatów zaczepnych i obronnych znaczne ilości. Gromadziłem te zapasy w spróchniałych wierzbach nad rzeką Koprzywianką. Zakopany w lesie RKM przenieśliśmy do spółki z moim bratem i ukryliśmy w nieczynnym kominie młyna. Z upływem czasu zorientowałem się, że i moi koledzy również znoszą granaty i amunicję. Wszystkim nam przyświecała myśl, że je następnie przekazemy powracającemu wojsku polskiemu, gdy rozbije w końcu gdzieś na wschodzie nacierające wojska niemieckie. Czas upływał – odwrotu niemieckiego nie było. Około 10 października 1939 r. ukazały się na tablicy urzędowych ogłoszeń złowieszcze napisy w języku niemieckim: „Erlass des Führers und Reichskanzlers über Gliederung und Verwaltung der Ostgebiete vom 8. Oktober 1939” oraz „Erlass des Führers und Reichskanzlers über die Verwaltung der besetzten polnischen Gebiete vom 12. Oktober 1939”, którymi Hitler decydował o losach okupowanej Polski. Wraz z Kazikiem Barą (w przyszłości pułkownik lotnictwa) i Januszem Staszewskim zerwaliśmy te ogłoszenia. Była w nas rozpacz i ból, i chęć odwetu – zew powstańczych przodków. Bezwiednie staliśmy się grupką konspiratorów. Zebraliśmy się w stodole kowala Bary, ojca Kazika. Było nas już pięciu. Doszli Marian Machniak i Zygmunt Matusak z Ruszczy. Wszyscy złożyliśmy przysięgę na dochowanie tajemnicy i nadaliśmy naszej grupie nazwę „Młode Orły”. Mój RKM był powodem, że zebrani wybrali mnie na przywódcę organizacji. Przybraliśmy pseudonimy: Kazik B.- „Bohun”, Janusz S.- „Juzwa”, Zygmunt M.- „Kula”, Marian M.- „Kocicha” i ja – „Topór”.

Wypracowaliśmy następujący program działania. Przez cały okres jesieni i zimy będziemy intensywnie ćwiczyć elementarne wyszkolenie wojskowe oraz gromadzić broń i amunicję, a wiosną wyruszymy w lasy świętokrzyskie, aby dołączyć do przebywających tam oddziałów Wojska Polskiego. Jako uzbrojenie mieliśmy 1 RKM, 2 karabiny, w tym 1 systemu „Mauser” i jeden francuski „Lebel’a”, 1 bagnet i jeden... miecz wykopany czy wyorany w



polu przez Pana Barę i doprowadzony do stanu używalności przez jego syna. Ilość granatów przekraczała chyba 50 sztuk, a amunicji karabinowej mieliśmy ponad 5000 sztuk. Prócz tego zaopatrzyliśmy się w polskie mundury wojskowe i także czapki polówki, co nie było trudne, jako że okoliczni mieszkańcy posiadali wiele umundurowania znalezionego w porzuconych przez Wojsko Polskie taborach. Jako program pomocniczy założyliśmy niszczenie urzędów wprowadzanych przez okupanta i kolportowanie wiadomości mających na celu podtrzymywanie na duchu okolicznej ludności. Pierwszym naszym aktem dywersyjnym było pozrywanie niemieckich zarządzeń, jakie były wszędzie rozplakatowane. Zrobiliśmy to w Sulisławicach, Ruszcy, Gieraszwicach i jeszcze kilku wioskach sąsiednich. Następnie rozpoczęliśmy produkowanie i rozrzucanie ulotek z hasłami patriotycznymi i wiadomościami o wydarzeniach niekorzystnych dla nieprzyjaciela lub o zdarzeniach ważnych dla ludności polskiej. A więc o utworzeniu rządu przez gen. Sikorskiego, o polskich okrętach, które uszły do Anglii, o tworzeniu się Wojska Polskiego we Francji itp. Ulotki takie pisaliśmy na maszynie i planowo gubiliśmy na drogach i w miejscach, gdzie przebywali ludzie. Oprócz tego staraliśmy się rozszerzyć naszą organizację przez werbowanie nowych członków. Wprowadziliśmy system trójkowy, tzn. każdy mógł na własną odpowiedzialność zwerbować dwóch członków. W ten sposób każdy znał tylko dwóch ludzi w dół i jednego w górę. W tym układzie weszli do naszej organizacji: Wacław Podsiadły ps. „Kleryk” i Marian Mazgaj ps. „Kozak”, obaj z Jezior; Józef Jaworski ps. „Jawór”, Mieczysław Lipiec ps. „Mieczyk” z Wojcieszyc; Wincenty Ambroziak ps. „Janus”, Edward Jakuła ps. „Kowalczyk” z Gieraszwic; Mieczysław Hara ps. „Długi” (w przyszłości ambasador w Szwecji), Zygmunt Walewski ps. „Filip”, Stanisław Jankowski ps. „Śliwka”, Stanisław Adamus ps. „Gruszka” oraz dwóch braci Jerzy i Feliks Staszewscy z Sulisławic. Innych członków, jeśli byli, nie pamiętam z nazwisk. Jedni odchodzili z czasem, inni przybywali, ale stan był pełny, stale co najmniej 10 członków jednocześnie.

Nasze szkolenie we władaniu bronią prowadziliśmy systematycznie w stodole Pana Bary. Oczywiście było to przeważnie szkolenie w fechtunku i umiejętności zachowania się w walce. Gdzieś pod koniec listopada wybrałem się z dwoma członkami naszej organizacji do lasów góreckich, gdzie w godzinach wieczornych przećwiczyliśmy strzelanie z RKM-u.

W tym czasie zaprzestaliśmy też rozsiewania ulotek na terenie naszych miejsc zamieszkania czy w miejscowościach sąsiednich uważając, że ulotki takie mogą wpaść w ręce Niemców i spowodować represje w stosunku do mieszkańców, co zapowiadali w swoich odezwach do ludności polskiej. W późniejszym okresie ulotki takie wkładaliśmy do butelek, które po szczelnym zakorkowaniu, a często zalakowaniu, „spławialiśmy” rzeką Koprzywianką, spodziewając się, że tą drogą mogą być kolportowane w o wiele szerszym promieniu i bez narażania ludności na konsekwencje. Czy i gdzie te ulotki dostawały się do

rąk ludności polskiej, nigdy nie udało mi się dowiedzieć i nigdy też nie dopytywałem się ze zrozumiałych względów.

W styczniu czy lutym 1940 roku wprowadziliśmy jeszcze jeden sposób działalności, a mianowicie przez ośmieszanie okupanta. Do moich rąk wpadła przywieziona w tajemnicy z Warszawy fotografia karykatury, jaką ktoś dowcipnie wykonał. Fotografia ta przedstawiała niemieckiego żołdaka powracającego na urlop do Vaterlandu z Polski. Obładowany różnymi walizkami i tobołami ze zrabowanymi w Polsce przedmiotami i żywnością, dodatkowo na sznurku prowadził opierającą się gęś. Ze zdjęcia tego zrobiliśmy reprodukcję i rozkolportowaliśmy wśród zaufanych ludzi, którzy z kolei pokazując je znajomym, przyczyniali się do ośmieszania najeźdźców.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że działamy „na dziko”, poza ogólnonarodowym nurtem polskich konspiracyjnych sił zbrojnych. Aby zmienić ten stan, oczywiście należało naszą organizację podziemną podporządkować dowódcy tych sił zbrojnych. Zacząłem też szukać możliwości nawiązania kontaktów. Szło mi to bardzo opornie, nie wiedziałem, do kogo się zwrócić. Byli żołnierze i oficerowie, uczestnicy kampanii wrześniowej, do których w tajemnicy zwracałem się z prośbą o informację, odpowiadali mi, że nie wiedzą, a czasem wprost napominali mnie, bym nie plótł głupstw. Czy rzeczywiście nie wiedzieli, czy też bali się zdradzić przede mną ze względu na mój młody wiek? Chyba raczej to pierwsze. Dopiero w okolicy świąt Bożego Narodzenia do Rybnicy, do niejakiego pana Suski, przyjechał z Warszawy jego krewny niejaki Pan Teofil Wrona, były wyższy urzędnik Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, który jako przyjaciel rodziny odwiedził mojego ojca. Odprowadzając go zwróciłem się do niego w zaufaniu i poinformowałem o moich staraniach w tej sprawie. Pan Wrona wysłuchał mnie z zainteresowaniem i powiedział, że istotnie takie siły wojskowe są na terenie Kielecczyzny i że są to oddziały dowodzone przez mjr „Hubala”. Nie wiedziałem, czy jest to nazwisko, czy pseudonim, nie pytałem też o to, ponieważ nie miało to znaczenia. Wyjawiłem mu natomiast, że założyłem tajną organizację i powiedziałem o naszych zamiarach na przyszłość. Wiadomości te jeszcze bardziej zainteresowały go, zrobił się dla mnie nadzwyczaj serdeczny i przychylnie nastawiony do moich poczynań. Zapytał mnie, czy nie boję się wyjawić mu takiej tajemnicy, przecież mógłby mnie zdradzić, albo wprost "zdać" Niemcom. Odpowiedziałem, że nie wyjawiałem mu członków naszej organizacji, a członkowie ci są przeze mnie powiadomieni o moich rozmowach z nim i gdyby mi się cokolwiek przytrafiło mają rozkaz przeprowadzić odwet na nim samym lub na członkach jego rodziny. Oczywiście nie było takiego rozkazu, ale musiałem się jakoś zabezpieczyć w związku z jego słowami. Po tych moich wywodach Pan Teofil nabrał do mnie zaufania i chwając moje patriotyczne posunięcia, powiedział mi, że takich samorodnych organizacji powstało na terenie Polski na pewno setki, jak nie tysiące.

Organizacje te muszą być ujęte w jeden system zorganizowanej walki z okupantem. W tym też kierunku idą usiłowania powstałej w Warszawie podziemnej organizacji wojskowej, której zadaniem jest objęcie swym zasięgiem wszystkich byłych wojskowych mieszkających na terenie Polski. Ponieważ nasza organizacja nie składa się z wojskowych, zatem nie możemy być włączeni w jej system. Możemy jednak wziąć udział w walkach, jakie wiosną odżyją, a to jako ochotnicy zgłaszając się do jakiejś formacji.

W kilka dni później Pan Teofil spotkał się ze mną i powiadomił mnie, że zgrupowanie mjr „Hubala” działa na terenie Puszczy Świętokrzyskiej, trwa w walkach podjazdowych z Niemcami grupa Wojska Polskiego, która czeka tylko wiosny i ofensywy alianckiej, aby przystąpić do działań na większą skalę i porwać za sobą cały Naród do zbrojnego czynu.

Nie bardzo wiedziałem, jak wygląda Puszcza Świętokrzyska i jak liczne są te oddziały polskie w niej przebywające. Puszcze wyobrażałem sobie jako olbrzymie knieje i ostępy, rozciągające się na terenie Gór Świętokrzyskich i na obszarach pomiędzy Wisłą a Pilicą. Wiara przerastała tu wiadomości z nauki geografii.

Co do sił wojskowych na terenie Puszczy Świętokrzyskiej, to wiadomości moje opierały się na danych, jakie podawane były z ust do ust, wśród zaufanych ludzi. Siły te oceniano na około 5000 ludzi. Wydawało mi się, że jest to dość dużo. Wyobrażenia moje o siłach wojskowych bazowały jeszcze wówczas chyba na czasach Chodkiewicza i Czarnieckiego.

Pan Teofil Wrona podał mi też inną drogę podporządkowania naszej samorodnej organizacji. Proponował mi podporządkowanie się Organizacji Orła Białego, która zajmuje się sabotażem i dywersją. Powiedział, że ułatwi mi kontakt z działaczem Związku Strzeleckiego i byłym posłem na Sejm Panem Janem Adamczykiem w Goźlicach. Istotnie, za kilka dni doszło do rozmowy z Panem Adamczykiem, który przyjął do wiadomości moją deklarację podporządkowania naszej działalności. Mieliśmy dalsze polecenia otrzymywać od niego poprzez Marcina Kozłowskiego w Sulisławicach. Natomiast Wacek Podsiadły, czyli „Kleryk”, podjął się zadania dotarcia do „Hubala”.

Oba kontakty konspiracyjne „z górą” zawdzięczaliśmy uczynności Pana Teofila Wrony. Nie wiedziałem wówczas, że rozmawiałem z przyszłym członkiem Centralnej Redakcji Podwydziału „N” BiP Komendy Głównej AK i redaktorem pisma: „Die Ostwache”, przeznaczonego dla celów rozkładowych w niemieckiej armii. Teofil Wrona, ps. „Skład”, został aresztowany przypadkowo w listopadzie 1942 roku i zginął zastrzelony w Palmirach.

Nigdy jednak nie doszło do naszego wejścia w skład oddziałów bojowych mjr. „Hubala”. Na przeszkodzie stanęły następujące wydarzenia.

O wypadkach pod Anielinem i śmierci mjr. „Hubala” dowiedziałem się drogami zupełnie dla mnie nieprzewidywanymi. W najbliższą niedzielę po śmierci mjr. „Hubala”, tuż po nabożeństwie w kościele w Sulisławicach kilku żandarmów niemieckich zatrzymało wychodzących z kościoła ludzi, po czym jeden z nich odczytał zebrany jakąś odezwę. Była to, zdaje się, odezwa gubernatora Dystryktu Radomskiego. W odezwie tej była mowa o napadzie Hubalczyków na spokojnych żołnierzy niemieckich i o rozbiciu następnie tego oddziału przez wojska niemieckie. Była też mowa o konsekwencjach, jakie ponieśli ci, którzy udzielali Hubalczykom opieki lub schronienia. Ludzie ci mieli być ukarani z całą surowością prawa. Odezwa kończyła się wezwaniem do niedawania posłuchu elementom nieodpowiedzialnym i do spokojnej pracy w swych warsztatach i na roli.

Surowość prawa niemieckiego przerastała wydatnie słowa o praworządności i wspaniałomyślności władz niemieckich, o czym tak dużo rozwodził się żandarm. Wsie Gałki, Hucisko i Szalasy zniknęły z powierzchni ziemi, ich ludność została wyniszczona, a wszyscy mężczyźni rozstrzelani. Do szczytu zdziczenia doszli hitlerowcy we wsi Szalasy, gdzie spędzili ludność, spalili domostwa i ludzi.

Budząca się wiosna 1940 roku była zatem tak dla naszej organizacji, jak i dla wielkich rzeszy ludności polskiej okresem wielkich nadziei i wielkiego przygnębienia. Kwiecień tego roku rozpoczął się walkami w Norwegii i zajęciem przez Niemców neutralnej dotychczas Danii. Rosły nasze nadzieje na szybki koniec wojny, na klęskę Hitlera. Do wiosny 1940 roku. Powszechnie mówiło się wtedy, że „im słończko wyżej, tym Sikorski bliżej”. A wszyscy wówczas żyliśmy tymi złudnymi nadziejami. Mówiło się o walce, o konieczności jej przygotowania. Przygotowywaliśmy więc tę walkę jak umieliśmy i jak podpowiadała nam młodzieńcza, żarliwa miłość do Ojczyzny. Losy wojny w Norwegii pogrzebały te nadzieje, a losy majora „Hubala” przypieczętowały ich smutny koniec. Przygnębienie stało się powszechne. Już nie wierzyliśmy w ofensywę wiosenną aliantów. Zawiedziony w swych nadziejach, tkwiłem w przeświadczeniu, że to Niemcy rozpoczną ofensywę na zachodzie i że zwyciężą Francję. Coraz też częściej spotykałem się z głosami, że Francja to żadna potęga, że Anglia to owszem, ale na morzu, a na lądzie zero. Rozpolitykowani goście mojego rodzinnego domu dowodzili często, że dopiero wojna Niemiec z Sowietami i ze Stanami Zjednoczonymi przesądzi o ich klęsce. Wywody te trafiały mi do przekonania. Dlatego też, gdy Niemcy rozpoczęły ofensywę na froncie zachodnim, wyczekiwałem tylko dnia, w którym zajmą Paryż. Losy ofensywy zdawały się być przesądzone.

Organizacja, której przewodziłem, przeżywała też w tym czasie okres zanikającej aktywności. Wypadki w Norwegii oraz śmierć „Hubala”, spowodowała nie tylko przygnębienie poszczególnych „trójek”, ale też skłonność do wycofywania się z konspiracji.

Moje wywody o konieczności wzmożenia działalności w okresie najtrudniejszym dla nas nie wywierały wielkich skutków. Zajęcie Paryża, Dunkierka i klęska Francji oraz ostateczne przypiecztowanie losu ekspedycji alianckiej do Norwegii była, zdaje się, ostateczną tego przyczyną. Prócz tego brat jednego z moich konspiratorów, Mariana M., podejrzewany był o współpracę z Niemcami, co też zastraszyło tych, którzy byli w tej samej co „Kocicha” trójce. Na drodze mojej działalności konspiracyjnej stały też zdarzenia, które wciągnęły mnie ostatecznie do nowej, sławniejszej i atrakcyjniejszej organizacji.

Gdzieś pod koniec maja 1940 roku w domu naszym zjawił się dziwny człowiek. Był to handlarz - domokrażca, który w podręcznej walizeczce nosił na sprzedaż kosmetyki, brzytwy i żyłki, maszynki do strzyżenia włosów i nożyczki. Do tego nosił z sobą banjo, na której grał, śpiewając rozmaite piosenki. Mężczyzna ten, kulawy i z twarzą pełną blizn, robił wrażenie inteligentnego żebraka, któremu wstyd było zajmować się żebractwem i dlatego usiłował handlować. Chętnie korzystał z bezpłatnej gościny i zdawało mi się, że zachwycał się rozchwytywaniem jego towaru przez kupujących. Korzystając z naszej gościnności, zatrzymał się przez kilka dni, chodząc na dzień z towarem po okolicznych wioskach, na noc wracając do naszego domu. Rodzice moi gościli go jako jakiegoś inteligenta, którego wojna postawiła w trudnej sytuacji życiowej. Uważaliśmy go za wysiedlonego lub uciekiniera z ziem polskich włączonych do Reichu. Tego rodzaju ludzi spotykało się zresztą wielu w tamtym czasie. Nieznajomy handlarz wyjawiał jednak któregoś dnia, że nie jest wysiedlonym i nazywa się Franciszek Turek. Śpiewając wieczorami w naszym domu, często pod melodię jakiegoś niemieckiego szlagieru podkładał słowa, których treść kierowała się swym ostrzem przeciw niemieckim okupantom. Szybko też dogadaliśmy się co do poglądów politycznych. Żegnając się z nami, Franek pozostawił „prospekt”, jak mówił, obrazujący jego działalność handlową. „Prospektem” tym było kilka kart powielanego na powielaczu biuletynu informacyjnego, zawierającego wiadomości polityczne i wojenne, podane za radiowymi komunikatami alianckimi, jakie można było uzyskać za pomocą nasłuchu radiowego. Na pierwszej stronie tego biuletynu wypisana była wielkimi literami jego nazwa: „ODWET”. Było to więc pismo jakiejś tajnej organizacji, która je wydawała. Franek był zaś kolporterem tego pisma. Na razie nie wiedzieliśmy nic na ten temat.

W kilka dni później zjawił się znów Franek w naszym domu, jak gdyby nic nie zaszło, a znajomość nasza trwała od lat. Przywitaliśmy się i "ugościli" jak poprzednio z tym tylko, że Franek się spieszył i nie skorzystał z noclegu. Odchodząc pozostawił nowy „prospekt”. Był to też „Odwet”, który zawierał artykuł wstępny, komunikaty i komentarze. Była to już forma tajnej gazetki. Franek jednak na noc nie zjawił się, pewnie tak z ostrożności.

Był już czerwiec i klęskę Francji zakończyła operetka, jaką Hitler odegrał z

wagonem w Compiègne. Nadzieje na szybki koniec wojny rozwiały słowa Churchilla i wojenne zdarzenia. Wtedy znów zjawił się Franek. Bez słowa podał nowy numer „Odwetu”. Rozpolitykowaliśmy się na dobre i wówczas się dowiedziałem, że Franek jest członkiem tajnej organizacji, która została założona w 1939 roku w Tarnobrzegu po kampanii wrześniowej, a którą wszyscy nazywają „Odwet”. Okoliczności więc wskazywały mi, że poza nami toczy się życie konspiracyjne, a my, „Młode Orły”, znaleźliśmy się na bocznym torze. Pan Jan Adamczyk nie przekazywał nam żadnych dyrektyw czy poleceń, Marcin Kozłowski, ps. „Łysy”, też milczał.

Postanowiłem sprawdzić, co to wszystko ma znaczyć i wybrałem się do „Łysego”. Rozmowa była krótka. Marcin myślał, że wywietrzała nam z głów konspiracja w tak niebezpiecznym okresie, ale ma dla nas coś, co się organizuje właśnie i zastanawiał się, jak nas wykorzystać. Jeszcze tego samego wieczora Marcin polecił mi patrolować dość ruchliwą drogę z Sulisławic do Jezior. Przy tej drodze stały stodoła i warsztat stolarski „Łysego”. Miałem polecenie zastukać w ścianę warsztatu w umowny sposób, jeśliby ktokolwiek z przechodzących drogą zbliżał się do zabudowań Marcina. Wewnątrz warsztatu stolarskiego, przy jasnej lampie karbidowej, Marcin i dwóch nieznanymi mi ludzi wykonywali jakieś tajemnicze prace. Trwało to chyba dłużej niż do północy, z przerwami, jeśli ktoś przechodził w pobliżu. Po zakończeniu prac i wartowania Marcin wręczył mi dwie paczki z poleceniem doręczenia w warsztacie ślusarskim u Kazika Rutkowskiego w Klimontowie. Dał mi też do własnego użytku jakieś druk. Jak się okazało, drukami tymi była tajna gazetka „Odwet”. Zrozumiałem, jak nieprzewidzianie toczą się losy mojej konspiracyjnej drogi.

Zaraz w najbliższą niedzielę spotkał mnie Wacek Podsiadły i odkrył przede mną fakt, że on już też działa konspiracyjnie przy kolportowaniu oraz powielaniu „Odwetu” w naszym regionie. Uważał, że mógłbym obsługiwać kolporterską trasę Klimontów – Goźlice – Lipnik. Wiedział, że nie odmówię.

W tych okolicznościach stałem się czynnym kolporterem tajnej gazetki, powielanej wtedy w rejonie Sulisławic. Dostarczałem ją głównie do Klimontowa do Kazika Rutkowskiego, do Kurowa do Rokwisza (sklep przy szosie do Lipnika) i do Lipnika do domu Siatraka, a czasem do domu Pawlików w Lipniczku. Czasem jeździłem też na inne trasy, jak do Postronnej do domu Zwierzyków i Pyszczków, do Sośniczan do Edwarda Śliwińskiego albo też do Borków, do Koprzywnicy do sklepu Kamili Beksińskiej, albo do domu Tosiów. Woziłem też prasę, ale tylko kilka razy, do Jurkowiec i Bogorii (dom Górskich albo zakład fryzjerski na ulicy Staszowskiej). Jeden raz, chyba w czyimś zastępstwie, powiozłem prasę zimą, konnymi sankami do Suchowoli do Władka Lipca, a następnie do Strzegomia do Stefana Zawady. Przy tej okazji dogadaliśmy się, że jest on spokrewniony z moim dziadkiem Walentym Zawadą, powstańcem z 1863 roku. Środkiem transportu był

głównie rower, ale po deszczu, kiedy glina sandomierska rozmokła, trzeba było wlec się koźmi, a zimą pomykać sankami. Trasy, ze względów bezpieczeństwa, należało dobierać. Najlepiej było poruszać się wiejskimi drogami i ścieżkami. Paczki gazetek pobierałem wprawdzie u Marcina Kozłowskiego, a później też u Jana Staszewskiego w Sulisławicach. Wyjątkowo u Wacka Podsiadłego czy Ludwika Gutowskiego w Ruszcy.

Chyba w maju 1941 roku punkt przebitkowy w rejonie Sulisławic został ewakuowany. Powodem, jak sądzę, była koncentracja wojsk niemieckich do ataku na ZSRR. W każdej wsi i niemal w każdym domu kwatrowali Niemcy. Zostałem znów przez pewien czas na bocznym torze. Chociaż nie całkiem, bo wkrótce rozpoczął się dla mnie nowy rozdział konspiracji: tajne komplety gimnazjalne, szkolenie wojskowe dla młodszych dowódców, nocne akcje i ćwiczenia, a w końcu partyzantka.

### **CZAS DO SZKOŁY, CZAS!**

Skończyły się działania 2 pułku piechoty Legionów Armii Krajowej. Front przetoczył się na zachód. Armia Krajowa została rozwiązana. Wojna w Europie zbliżała się do swojego końca.

Wracałem do rodzinnego domu z przemrożonymi stopami i dłońmi, ale z KW i VM oraz awansem na podporucznika czasu wojny. Ponieważ wojna się kończyła, poczułem się znów i szeregowym, i cywilem, a nawet czymś w rodzaju tropionej zwierzyny. "Zaplutym karłem reakcji" w nazewnictwie nowo powstałej władzy, nieoczekiwanym dzieckiem własnej Ojczyzny. W sercu osiadł powoli gorzki posmak zawodu.. Stan zawodu pogłębiała świadomość, że moi rówieśnicy szkolni i z tajnego nauczania, którzy też ryzykowali, ale bez udziału w walkach, dochodzą do „dużej” matury albo są już na studiach. A ja nie miałem nawet tej „małej” matury. Życie jak woda przeciekało przez palce.

Wybrałem się do Tarnobrzega, by zorientować się wśród dawnych kolegów i znajomych, jakie mam możliwości uczenia się. Odwiedziłem dom wspaniałego człowieka, którego poznałem w konspiracji. Był nim nauczyciel tamtejszego Liceum – Zygmunt Szewera, uratowany przez partyzantów z rąk gestapo w Mielcu. Przyjął on mnie po ojcowsku. Mogłem u niego zamieszkać i zacząć „klasę” w cyklu przyspieszonym, tj. półrocznym. Właśnie kurs taki miał się zacząć za kilka tygodni. Sęk był jednak w tym, którą klasę? Powinna być już czwarta, ale ja w „leśnym życiu” zapomniałem wiele. Głównie z łaciny, geometrii i algebry. Profesor Szewera radził „przysiąść fałdów” i zrobić repetycje z tych przedmiotów. Czas naglił.

Wróciłem do domu, by „przysiąść te fałdy”, gdy zobaczyłem podjeżdżającą „budę” z

nowymi stróżami prawowierności. Las był za płotem... „Stróże” przykazali mojemu ojcu, bym się zgłosił u benedyktynek, czyli w gmachu Seminarium w Sandomierzu. Zażyczyli sobie wódki, kiełbasy i jajek, a przy okazji „zaaresztowali” mój półkożuszek, buty „oficerki” i maszynę do pisania. Także szwajcarski zegarek mojego ojca okazał się „podejrzany” i został zabrany na wieczne „przesłuchanie”.

Nie miałem ochoty odbierać nauki od stróżów prawowierności w gmachu sandomierskiego Seminarium Duchownego ani zamieszkiwać w starożytnym Zamku nad Wisłą. Musiałem opuścić rodzinny dom. Skierowano mnie w opoczyńskie strony. Tam kwitło jeszcze życie „leśnej braci”.

Wróciłem do domu po utworzeniu „rządu jedności narodowej”. Nawet zgłosiłem się u tych benedyktynek, aby się ujawnić. Nie chciałem być wtedy ani oficerem, ani „dekorowanym”. Wystarczyło, że wiedziałem jak się obiera ziemniaki w lesie i gdzie karabin ma wylot. Zaliczyli mnie do służby tyłów i awansowali do stopnia kaprała.

Pojechałem znów do Tarnobrzega i znów do domu profesora Szewery. Koledzy byli już o klasę wyżej. Jeden z nich został nawet oficerem w komendzie lokalnej milicji. Wszystko szło jakoś na przekór moim oczekiwaniom i zniechęcało mnie do wyboru tego miasta.

I wtedy mój ojciec podsunął mi pewną myśl. Przecież w czasach okupacji niemieckiej poznaliśmy i załatwialiśmy różne sprawy z profesorem Zdzisławem Pawłowskim w Sandomierzu. Pojechaliliśmy do niego jak starzy znajomi. Profesor Pawłowski był wtedy dyrektorem „Prywatnych Kursów Gimnazjalnych i Licealnych dla Eksternów”. Pani Jadwiga Pawłowska zapewniała mnie, że tą drogą podgonię zaległości, a i poziom nauki w sandomierskim ośrodku dla eksternów jest wyższy niż w Tarnobrzegu. Trzeba było jednak złożyć egzaminy wstępne. Nie pamiętam z ilu przedmiotów, ale zapamiętałem te, które wywarły szczególne wrażenie na egzaminatorach albo na mnie.

Najlepiej poszły mi egzaminy z języka polskiego u Pani Krynickiej, z geografii u pana Pawłowskiego oraz z historii u pani Steckiej. Ocenili moją wiedzę na poziomie licealnym. Ale z innymi przedmiotami nie było już tak dobrze. Pani Jadwiga Pawłowska ciągnęła moją znajomość łaciny jak nić z kokonu jedwabnika. Gdyby mnie przepytowała z ministrantury, zdałbym pewnie na dobrze, ale z tych rzymskich klasyków nawinęła ledwo na dostateczny.

Nigdy chyba nie zapomnę uśmiechów księdza Stępnia. Uwziął się na mnie z tą geometrią, która była piętą achillesową w moim zasobie zapamiętanej wiedzy matematycznej. Męczyliśmy się więc obaj gorzej niż przy konfesjonale. Ale absolicję dostateczną uzyskałem.

Najzabawniej było z panem Baczyńskim. Mieliśmy pisemny z niemieckiego.



Zapisałem te wymagane stronicie papieru kancelaryjnego i nazajutrz czekałem z innymi kandydatami na egzamin ustny. Wszedł do sali Pan Baczyński, trzymając pod pachą nasze wypracowania. Nie wiedziałem, dlaczego wywołał wpierw moje nazwisko, następnie podszedł do mojego stolika i położył na nim wypracowanie niemieckie. Twarz miał raczej podejrzliwie surową, więc poczułem się, jakbym trafił na łapankę na roboty do Niemiec z czasów przeszłych. Moje wypracowanie, które napisałem „gotykiem” uznał pewnie egzaminator za prowokację z mojej strony – pomyślałem. Czasy były przecież okropnie antyniemieckie.

- *Co uczeń widzi* – zapytał pan Baczyński.
- *Moje wypracowanie niemieckie* – odparłem.
- *Ale jakie?* – zapytał głosem bezbarwnym.
- *Pisane gotykiem* – wyznałem skromnie.
- *A co dalej?* – zadał znów tajemnicze pytanie.
- *Niesprawdzone* – odparłem, nie widząc poprawek czerwonym atramentem, jak to zwykle bywa.
- *Uczeń myśli, że nie umiem czytać gotyku?* – zapytał pan Baczyński jakimś łagodniejszym głosem.
- *Nie wykluczone* – odparłem bezmyślnie i z rezygnacją.
- *Niech uczeń sprawdzi na ostatniej stronie* – polecił mi pan Baczyński.

Odwróciłem papier. Czerwonym atramentem pod moim wypracowaniem wypisane były tylko dwa niemieckie słowa.

- *Co uczeń widzi?* – zapytał pan Baczyński.
- *„Sehr gut” pisane gotykiem* – odparłem z niedowierzaniem.
- *Uczeń jest zwolniony z ustnego i może wyjść* – ciągnął pan Baczyński bardzo przyjaźnie.

Ale słowa te dochodziły do mojej świadomości jak jakiś głos z oddali. Czuję się jak po nieudanej partyzanckiej akcji. Czyżby Niemczyzna brała na mnie łobuzerski odwet za jej zwalczanie w tamtych „leśnych czasach”? Myśl ta kołatała się po mojej głowie, kiedy wychodziłem na korytarz.

Za kilka dni rozpoczęły się zajęcia szkolne. Chodziłem na nie po południu, bo wtedy odbywały się zajęcia dla eksternów. Wyróżniał mnie nie wiek, bo „opóźnionych” było wśród nas wielu. Nawet byli starsi ode mnie i też z wojennymi przygodami. Ale ja nosiłem angielską bluzę wojskową z odciętymi naramiennikami i bryczesy uszyte z przynależnych do bluzy spodni oraz buty z wysokimi cholewami, a do tego polski pas wojskowy. Armia – wyzwolicielka - oczyściła mój dom rodzinny z naszych zasobów odzieżowych, a nie dorobiliśmy się jeszcze nowych. Stąd te leśno-partyzanckie memorabilia. Ale podobnych do mnie dziwnie odzianych uczniów było wtedy sporo. Głównie wśród tych, którzy pochodzili

z wiosek leżących na linii frontu przyczółka sandomierskiego. Nie byłem też jedynym opóźnionym w edukacji, ale moi rówieśnicy przygotowywali się już do tej „dużej” matury. Była wśród nich grupa „ocaleńców” z boju pod Pielaszowem. Wyróżniało się spośród nich kilka dziewcząt, które uratowały się tam z pogromu. Z perspektywy lat trudno mi pamiętać ich nazwiska, ale niektóre płaczą się jeszcze w mej pamięci, jak: Wanda Sołhaj, Halina Domagała i bodaj Lala Kucharska. Cieszyły się one szczególną admiracją sandomierzaków z uwagi na ich konspiracyjną przeszłość.

Mój pseudowojskowy strój musiał zaciekawić pannę Wandę, bo któregoś dnia w czasie przerwy między lekcjami, którą spędzaliśmy na korytarzu, podeszła do mnie, nowo upieczonego gimnazjalisty i przyjaźnie zapytała:

- *Czy kolega był pod Pielaszowem?*

- *Nie byłem* – odparłem zgodnie z prawdą.

Odeszła zawiedziona i już się więcej nie interesowała moim pasem wojskowym i oszpeconą bluzą angielską ze zrzutu. Musiałem jej kogoś przypominać spośród żołnierzy batalionu „Swojaka”.

„Prywatne Kursy...” zostały z czasem upaństwowione i nazywały się Klasami Przyspieszonymi w ramach państwowego Liceum. Czas mijał na wyteżonej pracy nad książką i opędzaniu się przed narastającymi trudnościami życia naszego pokolenia. Egzamin maturalny („duży”) zdałem w 1948 roku. Byłem w trójce uczniów najstarszych wiekiem. Może dlatego czuję się tak długo młodym.

Wiele czasu upłynęło od tych spóźnionych dla mnie lat szkolnych. I może dlatego, że były spóźnione tak żywo utrwaliły się w mojej pamięci. Życie nie pieściło „Pokolenia Kolumbów”, ani przed maturą, ani po maturze. Zapewne dlatego jesteśmy sobie stale tak bliscy.

Lucjan Czajkowski

Matura 1932

## **SZLAK BOJOWY**

„Nie zmobilizowani żołnierze winni opuścić Warszawę” brzmiał wiele razy powtarzany w radio 6 września rozkaz płk. Umiałowskiego. Opuściłem stolicę 7 września 1939 r, a następnego dnia, omijając bombardowany i płonący Garwolin, domniemany punkt mobilizacyjny w kierunku na Siedlce, Włodawę, Krzemieniec, Ołykę, spotkałem Jurka ppor. saperów z Przemyśla.

Na wieść o wkroczeniu bolszewików Ukraińcy i Żydzi popadli w euforię, a Polaków ogarnęło przerażenie i rozpacz. Oddział nasz kierował się na Tarnopol.

17 września na drodze Równo - Dubno Mongoł kierujący ruchem, nie zdoławszy zabrać naszych rowerów, jako „zdobycz wojenną” (Jurka był zielony, mój błyszczął), kieruje w naszą stronę serie z pepeszy. Tylko spadająca w dół droga i okoliczne krzaki ocaliły nas i nasze rowery.

24 września porucznik NKWD, mówiący bezbłędnie po polsku, ostrzega nas o łapanie w rejonie dworca w Tarnopolu. Zapytany, skąd zna polski i czy jest Polakiem, odrzekł: *Moi rodzice są Polakami spod Mińska, w domu matka nie pozwalała wymówić słowa po rosyjsku, stąd znam polski, jak i moja siostra. Czy jestem Polakiem?...- jestem w służbie rosyjskiej* – pada odpowiedź. Celowo przytaczam tę wypowiedź bez komentarza.

Jednak nas łapią. Około 400 osób. Zdołałem uciec. Jurek dołącza do kryjówki. Nie meldujemy się i mimo groźby deportacji, nocą 25 września, koleją na Chyrów – Lwów, opuszczamy Tarnopol. Przypomniało mi się wtedy ostatnie słowo por. NKWD:

*-Wiać!*

Zastanawiałem się, skąd go znał. Widocznie z domu rodziców.

26 we Lwowie spotykam kolegę z podchorążówki wracającego z Rumunii. Zawiedziony, daje się jednak namówić na powtórny próbę przejścia granicy. Jest nas trzech. W pociągu do Stanisławowa nadmierną ciekawość Ukraińców poskramia Jurek mówiąc do nich po ukraińsku. Baranieją, cichną, stają się przyjaźniejsi, częstują zapierającą dech machorką.

Noc 27 września, Stanisławów, miasto zajęte, czołgi, kawaleria rosyjska.

Niestety następnego dnia Jurek decyduje:

*-Nie jadę do Rumunii, wracam do żony do Przemyśla.*

Zawód, znał dobrze pogranicze Worochaty, trochę mniej rejon Kut. Zostawia adres znajomej Barbary w Worochacie. Droga z Kołomyi do Kuty jest mocno kontrolowana, przepuszczają tylko zamieszkałych tam na stałe. Podejrzliwy Ukrainiec i „kacap” cofnął nas. Pozostaje tylko Worochata. Na stacji kolejowej kolejny posterunek ukraińsko-bolszewicki zatrzymuje Karola. Chcą go dołączyć do wypełnionej podobnymi jemu ciężarówką. Mnie, z bandażem na rękę i kijem do podpierania, biorą za rannego i przepuszczają. W końcu, na moją prośbę, zezwalają Karolowi iść ze mną, jako pomoc. Kasjer daje bilety darmowe, mówiąc:

*- Komu chcecie płacić, czerwonym?*

W pociągu Polak konduktor pomaga nam się ukryć przed Ukraińcami szukającymi Polaków. Worochata. Noc. 22.15. Godzina policyjna. Odnajdujemy Barbarę. Przerażona obawą deportacji za udzielenie pomocy, odmawia noclegu. Poleca jednak willę „Oaza”.

Skradamy się, obserwując operujące patrole milicyjne. Przejmujące zimno. Mocno wieje. Howerli, szczyt otulony śniegiem, jaśniej. Karol Górny, w za dużej marynarce i krótkawych spodniach, tuli się do oszklonych drzwi „Oazy” ponad pół godziny, nim wylękły właściciel spoza nieotwartych drzwi, machając rękami, przekazuje:

*-Nie mogę pomóc - i znika.*

Nie stukamy, nie dzwonimy, lecz zawzięcie walimy pięściami, kopujemy drzwi, zdecydowani na przespanie przed wejściem.

Na wołanie:

- *Otwórz!* - pojawia się wreszcie właściciel, uchyla drzwi, wpychamy się do środka, mimo iż właściciel krzyczy, że nie wolno mu. Pod groźbą zgadza się nas przenocować pod warunkiem, że przed wschodem słońca opuścimy „Oazę”. Propozycję przyjmujemy. Wdzięczni lądujemy na poddaszu, gdzie czterech podobnych nam gościło z zamiarem ucieczki na Węgry. Obecność w Worochacie bez pozwolenia milicji to więzienie i opieka NKWD. Opuszczamy „Oazę” jak przystało, rano, meldujemy się milicji. Na dzień dobry uprzejmy sekretarz wita nas słowami:

*-Dla was najlepsze miejsce to kryminal, nieprawdaż towarzyszu wójcie?*

Dalej badanie kto, skąd, dokąd, dlaczego Worochata, a nie Kołomyja. W końcu towarzysz zdecydował:

*-Pisz, pisz przepustkę, przecież mogli pójść na Węgry wczoraj w nocy bez twojego pozwolenia, durny Iwanie.*

Iwan Mocznik wypisał pozwolenie na powrót do Ostrowca, a nie pobyt w Worochacie. Przewrotny, wójt nie sprawdził, my też.

(ksorokopia przepustki Ivana Mocznika)

Niezmieniony bandaż ręki, bolesna stopa upominają się o opatrunek i to szybko. Doktor Czerwińska zmienia niezbyt czysty opatrunek, kawałek byłej koszuli, na rękę i dezynfekuje opuchniętą nogę. Odradza przejście granicy nocą, zaleca konieczny odpoczynek. W końcu przekazuje, jak się przedzierać przez granicę i przestrzega usilnie przed Hucułami, którzy łapią i przekazują do NKWD albo grabią i mordują.

Mimo ostrzeżeń, niestety, przeoczyliśmy godzinę milicyjną. Przekradamy się. Krytycznym punktem jest most. Bardzo widoczny. Osiągamy go, kryjąc się, gdziekolwiek się da. Pełni strachu, czy ktoś nas nie śledzi i by wybrać najlepszy moment na przejście. Karol prześlizguje się cicho i szybko, ja natomiast, walę podkutymi saperkami Jurka (wymienionymi za moje oficerki, jako wygodniejsze) w drewnianą nawierzchnię mostu. Budzi się śpiąca Worochata. Wrzask obudzonych. Nawoływania:

*-Łap! Ścigaj!*

Zaciekle ujadanie psów, pandemonium. Wpadamy w gąszcz lasu, strach czyha zewsząd, wyolbrzymia, przeraża. Las kryje, zwiększa bezpieczeństwo, ale utrudnia ucieczkę. Pościg trwa, ludzkie głosy nadal bliskie. Wpadamy w zaporę zbudowaną z olbrzymich jodeł i świerków oplecionych drutem kolczastym, pajęczyna najeżonych krzewów, zbudowaną przez Austriaków przeciw Rosjanom nacierającym wzdłuż Prutu, Czeremoszu w 1914/1915 roku. Zapadamy się po pas w próchno zbutwiałych kłoców. Pozbywszy się kontaktu z kłocami, drutem i jeżynami, pniemy się do góry i zjeżdżamy z dół, nie zawsze w pozycji pionowej. Cichły, słaby, wreszcie ustały wrzaski Worochty. Pogoń poszła w innym kierunku. Odetchnęliśmy.

(zdjęcie - Most nowy, ale w dole fundamenty starego mostu - Worochata sierpień 2000 rok foto Tadeusz Ulrych)

Bór ciemny, cichy, gotował wiele niespodzianek, nawet niebezpiecznych. O brzasku stanęliśmy na granicy polsko-węgierskiej. Przedzierając się przez ten gąszcz zboczyliśmy o około 2 km od wskazanego kamienia granicznego. Zamieć śnieżna, porywisty, mroźny wiatr po stronie madziarskiej zmuszał do przerwy, ale mróz zmuszał do marszu, poślizgów, zjazdu na plecach. Połoniny i wierzchołki krył śnieg do kolan. Pojaśniało na dobre, a my ciągle błądziliśmy po ścieżkach Howerli, wśród długowiecznych olbrzymów. Puchacze odprawiały pogwarki nocne, budząc przerażenie swymi UH HU UUH. Szliśmy bez przerwy, nie wiedząc dokąd, aż do południa. Zmęczenie, głód zaczęły mocno doskwierać. Wydawało mi się, że ciągle błądzimy, lecz Karol odparł, że jesteśmy na dobrej ścieżce. Jednak mylił się. Wracamy. Zboczyliśmy z oznakowanej ścieżki. Droga urywa się nad bezgłębnym jarem.

*-Jesteśmy zgubieni* - woła Karol. Wlecemy się dalej. Po godz. 17 byliśmy omalże w punkcie wyjścia. Zmęczeni, wyczerpani zapadamy w sen pod skałą. Ulegamy halucynacjom. Pojawiają się dziwaczne postacie, stado owiec, zajadle szczekające psy z Worochaty, gmatwanina optyczna. Wraca trzeźwość, odzywa się głód. Otwieram puszkę sardynek z Kołomyi. Karol nie lubi sardynek, nie je. Od 25 godzin nic nie mieliśmy w ustach. Ponawiamy poszukiwania kogoś lub czegoś, by wydostać się z pustki. Narasta napięcie, Karol traci cierpliwość, nie wierzy, że znajdziemy drogę, że znajdziemy wyjście z ciemni Czarnohory. Postanawia iść na szczyt, skąd drogi będą bardziej widoczne. Nie dostrzegął błędu w rozumowaniu, nie dał się przekonać, że w górach potoki i rzeki są drogowskazem. Rozeszliśmy się. Kryzys. Postanowiłem jednak nie wątpić. Wkrótce znalazłem ludzkie ślady(drwali). Zacząłem wołać Karola, wrócił, powróciła również zgoda.

Dzień miał się ku końcowi, a my nadal w nieznanym. Szliśmy przed siebie zapomniawszy o przestrodze lekarki, żeby unikać Hucułów. Kiedy wyszliśmy z gąszczu, zobaczyliśmy drwali, ale nie mogliśmy się już cofnąć. Doszliśmy do ogniska. Gotowali kolację. Jedli. Początkowo przyjaźni, dowiedziawszy się, że jest nas tylko dwóch stali się agresywni, domagając się zamiany moich saperek na łapcie. Nie widząc ochoty z mej strony przywódca ściągnął mi je, a poproszony przeze mnie o łapcie powiedział: „Nawet łapcie nie będą ci potrzebne”. Po saperkach uznał, że bryczesy są również dobre, jak buty. Zdołał jednak dorwać się tylko do jednej nogawki, bo niespodziewane zjawienie się Węgra – leśnika ze Straży Granicznej, zmieniło sytuację. Otrzymałem z powrotem buty, wciągnąłem spodnie. „Ściągacz” usiłował usprawiedliwić swoje zainteresowanie jako przejaw pomocy dla obolałej nogi i ręki.

- *A czy spodnie przysparzały mu też bólu jak buty?* – zapytał Węgier Hucuła.

Ten zamilkł. Gdyby nie Węgier, zostalibyśmy na zawsze w Czarnohorze, zamiast w Jasinie, dokąd przedarł się Bandera po zabójstwie min. Pierackiego w 1934 roku.

W dwa dni później znaleźliśmy się w obozie w Eger, a w maju 1940 roku odpłynąłem „Warszawą” ze Splitu – Jugosławia do Bejrutu, gdzie lądowałem 30 maja łącznie z 600 Polakami z Węgier i Rumunii.

W Bejrucie w Stacji Zbornej z miejscowej, francuskiej prasy, radia, usłużnego Araba Ahmeda zbieram wiadomości, by wieczorem pod oliwką przekazać je gromadzącym się, pozbawionym informacji. Zapoczątkowany w Bejrucie 1 czerwca 1940 r. „Dziennik Wieczorny” staje się biuletynem codziennym Brygady Karpackiej w Palestynie pod nazwą "Ku Wolnej Polsce". Redagowałem go do lutego 1941 r. "Ku Wolnej Polsce" wydawane jest do dziś przez byłych żołnierzy Brygady. Zakończy istnienie Nr.100 w 2002 roku.

W niedoszłej odsieczy morskiej 26 października 1941 r. brały udział trzy kontrtorpedowce odwołane do Aleksandrii z przedpól wodnych twierdzy i stawiacz min "Latona" - największy zatopiony. Bombardowanie trwało około 4 godzin. Znajdowałem się na niszczycielu "Hero", który doznał uszkodzenia sterów. Brygada i Trzecia Dywizja Strzelców Podkarpackich (3DSK) operowały w rejonie Syrii, Libanu, Jordanii, Iraku i Egiptu.

Początek 1944 roku. Italia, udział w kampanii - rzeka Sangro, Monte Cassino, Adriatyk, Apeniny, Bolonia, jako interpretator (rozpoznawca) zdjęć lotniczych, zarówno w 3 DSK, jak i w 2 Brygadzie Pancerniej. Kończę wojnę jako porucznik na przedmieściach Bolonii.

Brat Marian, jakkolwiek nie związany z Collegium Gostomianum, pracuje jako kierowca, uniknął deportacji, po „oswobodzeniu” zmobilizowany walczy na Pomorzu w kierunku na Berlin, przerzucony na południe. 3 tygodnie bombarduje Wrocław,

przydzielony z ciężką baterią przeciwpancerną do pułku rosyjskiego walczy pod Bauzen, gdzie odnosi rany w głowę i rękę ratując obsługę dział. Przeprowadza działo przez wąski, chybotliwy most. Za niecodzienną odwagę i inicjatywę jest dekorowany polskimi, jak i rosyjskimi odznaczeniami.

Wacław Czosnek

Matura 1935

### **MOJE REFLEKSJE**

Moja myśl wraca do maja 1935 roku, w którym to roku zdawałem maturę. Data naszej matury łączy się z historycznym wydarzeniem, a mianowicie śmiercią marszałka Józefa Piłsudskiego (12 maja 1935 roku). Pamiętam i widzę jak dziś łyzy w oczach prof. Kamockiego, naszego wspaniałego historyka. Fakt ten miał niewątpliwie wpływ na decyzje życiowe kilku naszych Kolegów, którzy postanowili obrać zaszczytny zawód oficera zawodowego Wojska Polskiego. Byli to koledzy: Olek Jedliński, Olek Kapis, Jasiu Kapsa, Staszek Michalski, Heniek Woźniak, Andrzejek Chudy, Jurek Fularski i ja.

W ostatnich latach na zjeździe absolwentów naszej Szkoły Podchorążych z roku 1938 na Jasnej Górze w Częstochowie spotkałem tylko kilku Kolegów, a mianowicie Andrzejka Chudego, Jurka Fularskiego i Olka Kapisa, który przyjechał aż z Londynu, gdzie po zakończeniu działań wojennych stale mieszka, który za czyny wojenne otrzymał Krzyż Walecznych i Krzyż Virtuti Militari. Podobne odznaczenia posiadają też koledzy Jurek Fularski i Andrzej Chudy. O losach pozostałych kolegów nie posiadam żadnych wiadomości.

Mój los potoczył się inaczej. Jako oficer zawodowy służący w 75 pp w Chorzowie wziąłem udział w kampanii wrześniowej, od 1 września dowodząc oddziałem kolarzy przy 23 dywizji piechoty Armii Kraków, od granic Śląska aż po Staszów, gdzie 16 września, lekko ranny, dostałem się do niewoli hitlerowskiej, z której poprzez szpital w Krakowie udało mi się zbiec i wrócić w rodzinne strony, czyli do Gorzyczan pod koniec października 1939 roku.

Tu zaraz zostałem zaangażowany do pracy konspiracyjnej w szeregach SZP, ZWZ i AK, gdzie pełniłem funkcję inspektora podobwodu samborskiego aż do 13 kwietnia 1943 roku, w którym to dniu Niemcy przyszl mi aresztować. Uratował mnie mój brat, który ściągnął na siebie ogień hitlerowców. Po tym zdarzeniu zostałem przeniesiony na podobne stanowisko do podobwodu staszowskiego.

W lecie 1944 roku wziąłem udział w akcji „Burza” jako dowódca 7 komp. 2 pp Leg

AK. W bitwie pod Radkowem 29 września zostałem ranny, a ranę opatrywał Stefan Sznerch, który był sanitariuszem mojej kompanii. W szeregach mojej kompani byli partyzanci gmin Samborzec, Koprzywnica, Łoniów i Klimontów. Byli tacy koledzy, jak Karol Pała, Heniek Nowakowski, no i wspomniany Stefan Sznerch. Z naszych sandomierzaków walczył również jako oficer zawodowy WP Tadek Młodożeniec. Organizacja i przebieg walk akcji „Burza” opisane zostały w monografii Okręgu Radomsko - Kieleckiego AK „Jodła” w książce o tym samym tytule napisanej przez szefa sztabu tego okręgu płk. Wojciecha Borzobohatego, obecnego przewodniczącego Światowego Związku b. Żołnierzy AK.

W styczniu 1945 roku wróciłem z tułaczki partyzanckiej do wsi rodzinnej, gdzie czekali na mnie dla odmiany NKWD-ziści. W związku z tym wyjechałem na Zachód, gdzie dzięki poparciu kolegi Stanisława Stefaniaka, inżyniera górnika, i Ignacego Sochy ze Świątnik, jak ja oficera zawodowego, zaangażowałem się do pracy w górnictwie, w którym przepracowałem 36 lat aż do 1981 roku, czyli do emerytury.

Jako b. oficer „sanacyjny” i „zapłuty karzeł reakcji AK” przeszedłem różne koleje w swojej „karierze” górniczej. Wyrzucany kilkakrotnie z pracy, nie załamałem się. Pracując ukończyłem studia ekonomiczne magisterskie i średnie studia górnicze. Przez wiele ostatnich lat byłem głównym księgowym kopalni.

Każdego roku odwiedzam strony rodzinne, nie omijając oczywiście Sandomierza. Będąc w nim, pierwsze kroki kieruję do kościoła św. Józefa, gdzie umieszczona jest tablica z nazwiskami naszych profesorów i kolegów zamordowanych, bądź poległych w walkach z okupantem hitlerowskim. Nie omijam również cmentarza, gdzie spoczywa mój serdeczny kolega Jurek Stobierski i inni Koledzy oraz gdzie znajduje się wspólna mogiła żołnierzy i partyzantów AK z oddziału „Swojaka” – kpt. Zarobkiewicza, poległych w walkach pod Pielaszowem. Odwiedzam Katedrę, obecnie bazylikę, obok której mieszkałem kilka lat na stacji u Pani Smolińskiej. Mieszkałem też u Juraszów, a ostatnie lata razem z Julkiem Kawalcem u p. Sznerchowej. Obok, u Pani Pfadtowej, mieszkał Staszek Szwarz-Bronikowski, który również brał udział w akcji „Burza”.

Dumny jestem z takiego towarzystwa Kolegów, którzy weszli do Encyklopedii Powszechnej i rozślawili nasze dobre imię sandomierzaków. Wyrażam również pełny szacunek dla naszego seniora Adama Bienia, który tak pięknie opisał swój życiorys w książce „Bóg wysoko – dom daleko”.

No, ale dosyć już tych refleksji.

Tadeusz Gaj  
Matura 1946



## WYCIECZKA DO GDYNI

W latach 1937-1939 uczęszczałem do Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Józefa Piłsudskiego w Sandomierzu. Szkoła miała wysoki poziom nauczania, wielu absolwentów kontynuowało naukę na wyższych uczelniach. Byliśmy dumni, że możemy się w niej uczyć.

Wśród młodzieży panował optymizm związany z planem tworzenia w rejonie Sandomierza Centralnego Okręgu Przemysłowego, co stwarzało szansę zatrudnienia absolwentom szkoły.

Na wiosnę 1938 roku przyjechał do Sandomierza, przyszłej stolicy COP wicepremier i minister skarbu inż. Eugeniusz Kwiatkowski, twórca nowoczesnego portu morskiego w Gdyni oraz Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Szybkim rozwojem uprzemysłowienia Polski, szczególnie w rejonie Sandomierza, interesowali się niemal wszyscy uczniowie, a szczególnie nasz kolega, uczeń i klasy gimnazjum Bogdan Jagniątkowski. Bogdan wykorzystując pobyt ministra w Sandomierzu, pragnął za wszelką cenę zobaczyć polskiego ministra, a nawet z nim porozmawiać. Jemu tylko wiadomym sposobem dostał się do Ratusza, gdzie spodziewał się pobytu ministra i cel osiągnął. Po krótkiej rozmowie min. Kwiatkowski zapytał, co mógłby dla niego zrobić. Bogdan odpowiedział, że chciałby prosić o zorganizowanie wycieczki dla jego klasy nad polskie morze do Gdyni. Minister zgodził się i polecił swojemu sekretarzowi zapisać nazwisko wychowawcy klasy i adres szkoły.

Po kilku dniach przyszły na nazwisko naszego wychowawcy, Stanisława Walczyny, potrzebne dokumenty z dokładnym planem pobytu na Wybrzeżu. Uczestnicy wycieczki mieli jedynie opłacić koszty przejazdu na trasie Sandomierz - Gdynia i z powrotem, natomiast koszty pobytu na Wybrzeżu pokrył min. Kwiatkowski.

W wyznaczonym dniu pod koniec czerwca wyjechaliśmy na wymarzoną wycieczkę. Opiekunami naszymi byli: profesor Stanisław Walczyna, dwie mamy uczestników wycieczki: Pani Kwiecińska - matka Bartka i Pani Zawadzka - matka Tadeusza oraz Pan Grabara ojciec Tadeusza. Po przyjeździe do Gdyni czekał na dworcu przewodnik, który cały czas opiekował się nami. Autokarem PKP pojechaliśmy do hotelu kolejowego, gdzie byliśmy zakwaterowani. Zwiedzaliśmy autokarem miasto Gdynię oraz nabrzeża portowe.

Najbardziej utkwiał nam w pamięci skwer Kościuszki, gdzie zacumowane stały zagłowce szkolne: Dar Pomorza i Zawisza Czarny. Zwiedziliśmy nasz transatlantyk Piłsudski oraz masowiec hinduski, który przywiózł do Gdyni ryż. W godzinach popołudniowych stateczkiem wycieczkowym przepłynęliśmy wszystkie baseny portowe.

Najciekawszy dla nas był port wojenny, gdzie cumowała nasza flota wojenna. Największe wrażenie zrobiły wspaniałe kontrtorpedowce (niszczyciele) Wicher, Burza, Grom i Błyskawica oraz łodzie podwodne: Sęp, Orzeł, Wilk, Ryś i Żbik.

Następnego dnia pojechaliśmy pociągiem na Hel. Gwoździem programu wycieczki był wyjazd do Gdańska. Zwiedziliśmy wszystkie dostępne w tym czasie zabytki, częściowo port oraz Polski Urząd Pocztowy nr 1 w Gdańsku.

W ostatnim dniu pobytu na Wybrzeżu mieliśmy możliwość obserwować uroczystości "Dni Morza". Gdynia przybrała odświętny wygląd. Wszystkie statki w pełnej gali. Wieczorem, z okien wagonów odjeżdżającego pociągu, widzieliśmy kolorowe światła neonów i sztuczne ognie.

Po powrocie do szkoły przesłaliśmy do ministra podziękowanie, komplet zdjęć z wycieczki oraz zdjęcie wszystkich uczestników na tle naszej szkoły.

## **TAJNE NAUCZANIE**

Tadeusz Gaj

przy współpracy

Izabeli Mieleckiej- Aschenbrenner

## SZKOŁA OKUPACYJNA

Temat kształcenia dzieci i młodzieży w czasie okupacji jest dość szeroko spopularyzowany. Jest szereg prac magisterskich i doktorskich, są opracowania regionalne, ukazują się publikacje radiowe i telewizyjne, lecz wszystkie dotychczasowe informacje nie przedstawiły tego, co działo się w tym okresie na ziemiach polskich pod okupacją w latach 1939 - 1944.

Większość dotychczasowych publikacji dotyczących tajnego nauczania pochodzi z miast i większych ośrodków wiejskich, natomiast bardzo mało jest materiałów informacyjnych z małych wsi, gdzie również tajne nauczanie było prowadzone, przeważnie z zakresu szkoły podstawowej. Tam często w małych chatkach, najczęściej przy lampie naftowej lub świecach, uczyły się dzieci pod kierunkiem nauczycieli (i nie tylko) języka polskiego i historii, matematyki i fizyki, chemii, biologii i geografii po to, aby zdobywać wiedzę, ale również po to, aby nie utracić uciekającego czasu, który dla młodych ludzi przeznaczony jest na naukę.

Biorąc pod uwagę powyższe fakty, należałoby w najbliższej przyszłości opracować dużą monograficzną pracę na temat tajnego nauczania na poziomie podstawowym, średnim i wyższym. Sprawa ta jest ważna, gdyż chodzi o przekazanie przyszłym pokoleniom źródłowej wiedzy historycznej o polskiej szkole okupacyjnej, która to szkoła nie miała odpowiednika w innych okupowanych państwach Europy.

### **1 wrzesień 1939 rok**

Wojska Niemiec hitlerowskich przekroczyły granice Polski – rozpoczęła się II wojna światowa. Po zajęciu przez Wehrmacht Sandomierza 8 września 1939 roku, rozpoczęła się okupacja niemiecka, która trwała do 18 sierpnia 1944 roku, tj. 1814 długich nocy i dni.

Pierwsze Zarządzenia władz okupacyjnych dotyczyły nowego „porządku”, bezwzględności posłuszeństwa i podporządkowania się władzy niemieckiej. Nastąpiły rządy przemocy, represje, aresztowania. Nie pozwolono na jakiegokolwiek przejawy polskości. Wszystkie szkoły średnie zostały zamknięte, natomiast w szkołach powszechnych, na otwarcie których władze okupacyjne zezwoliły, drastycznie ograniczono programy nauczania, eliminując literaturę polską, historię, geografii i przedmioty przyrodnicze. Jediną pomocą dydaktyczną do nauczania języka polskiego było wydawane pismo „Ster”.

Pomimo panującego terroru i bezwzględności zabrania jakiegokolwiek form nauczania na poziomie szkoły średniej, nauczyciele sandomierskich szkół średnich już na jesieni 1939 r. rozpoczęli naukę w małych zespołach, realizując program nauczania

przewidziany dla poszczególnych klas szkoły średniej. Z czasem zespoły te powiększały się i powstał zorganizowany system tajnego nauczania oparty na 6-8 osobowych zespołach klasowych. Zespoły te tworzyły ośrodki posiadające własne kierownictwo.

W Sandomierzu powstały 4 ośrodki. Jednym z nich był duży zespół klas gimnazjalnych, a następnie licealnych w prawobrzeżnej dzielnicy Sandomierza – Nadbrzezie. Jego twórcą i kierownikiem był nauczyciel Państwowego Gimnazjum w Sandomierzu mgr Stanisław Walczyna. Rozwinął on szeroko zakrojoną działalność, by tajną szkołą średnią objąć jak największą ilość młodzieży.

Profesor Stanisław Walczyna uczynił swoją konspiracyjną siedzibę w rodzinnym domu w Trześni, a następnie we własnym mieszkaniu w Sandomierzu- Nadbrzezie przy ul. Kolejowej 50.

W zespole prof. Walczyny uczyli:

- |                                 |                        |
|---------------------------------|------------------------|
| - języka polskiego              | - Michał Paż           |
| - religii                       | - ks. Karol Czepek     |
| - języka łacińskiego i historii | - Stanisław Walczyna   |
| - języka niemieckiego           | - Olga Szczurkowska    |
| - matematyki, fizyki i chemii   | - Jan Miszke           |
| - biologii                      | - Irena Walczyna       |
| - rysunków                      | - Kazimierz Świecimski |

Profesor Walczyna przy pomocy uczniów tajnego nauczania zgromadził dość bogaty księgozbiór. Kilka paczek podręczników i beletrystyki zgromadzonych w piwnicach gimnazjum, a przeznaczonych na zniszczenie, potajemnie wydali profesorowi dwaj woźni – Jan i Józef. Cały bagaż (książki, mapy) wywieźli do Trześnia dwaj bracia, Bolesław i Rajmund Aschenbrennerowie, własnym pojazdem konnym. Powstała tajna biblioteka szkolna. Miała ona własną pieczętkę w kształcie elipsy z napisem w obwodzie: „Biblioteka Szkolna w Sandomierzu”. Księgozbiór był skatalogowany. Bibliotekę prowadziła Pani Irena Walczyna.

W prawobrzeżnej dzielnicy Sandomierza – Nadbrzezie na tajne komplety w zakresie szkoły średniej uczęszczało 53 uczniów. Egzamin dojrzałości zdało 2 uczniów, małą maturę 25 uczniów, III klasę gimnazjum ukończyło 8 uczniów, II klasę 12, I klasę 6.

## **Mała matura**

Małą maturę zdawałem w czerwcu 1942 roku. Był to okres największych zwycięstw państw „Osi”. Na froncie wschodnim wojska hitlerowskie sforsowały Don i zbliżały się do

Stalingradu. W Afryce Północnej marszałek Rommel na czele wojsk niemiecko-włoskich zbliżał się do Aleksandrii. Na Morzu Północnym niemiecka marynarka wojenna zatapiała całe konwoje alianckie płynące do Murmańska. Na Dalekim Wschodzie wojska japońskie zadawały bardzo duże straty wojskom sprzymierzonym zdobywając ogromne obszary Azji i wysp Oceanu Spokojnego.

W tym czasie kiedy niemal cała Europa pracowała na rzecz hitlerowskich Niemiec, kiedy trudno było sobie wyobrazić, że wojna może zakończyć się na ich niekorzyść, odbywał się egzamin małej matury, mojego 8-osobowego zespołu. Egzamin odbył się u Państwa Chajów, rodziców naszego kolegi Wiesława. Mieszkali w stosunkowo bezpiecznym miejscu, na przysiółku Kępie, pomiędzy stacją kolejową a Wielowsią.

Skład Komisji Egzaminacyjnej:

Stanisław Walczyna - przewodniczący

Olga Szczurkowska - członek komisji

Michał Paż - „ „

Jan Miszke - „ „

W egzaminie uczestniczyła również wówczas nieznana nam kobieta, którą prof. Walczyna przedstawił jako wizytatora tajnego nauczania z Krakowa – członka Tajnej Organizacji Nauczycielskiej. Obecnie wiadomo, że wizytatorem była Pani dr Zofia Bazgen, reprezentująca konspiracyjne Kuratorium Oświaty w Krakowie. Miała ona wizytować tajne nauczanie w woj. kieleckim.

Pani wizytator przedstawiła nam formy organizacyjne i zakres działania tajnego nauczania. Stwierdziła, że nauczanie to obejmuje duży obszar Polski i uczestniczą w nim tysiące dzieci i młodzieży, a świadectwa wydane przez zarejestrowany komplet, będą po wojnie zweryfikowane. Zostaliśmy przekonani, że ten nasz mały zespół zdający egzamin jest częścią uczącej się młodzieży polskiej, a zdobyta wiedza pozwoli nam na kontynuowanie nauki

Egzamin odbył się zgodnie z przedwojennym regulaminem „małej matury” i składał się z części pisemnej z języka polskiego i matematyki oraz części ustnej z języka obcego (niemieckiego) i historii. Po zakończonym egzaminie, przed zmrokiem i godziną policyjną, małymi grupkami i różnymi drogami rozeszliśmy się do domów.

Okupacyjna tajna szkoła stwarzała poważne zagrożenie dla uczącej się młodzieży i rodziców. Nikt nie mógł brać odpowiedzialności za bezpieczeństwo uczniów. Młodzież wychodząca z domów na lekcje nie miała pewności, czy wróci do domu.

Tak było pewnego jesienno-go dnia 1943 roku, kiedy to żandarmeria niemiecka niespodziewanie weszła do mieszkalnego budynku na stacji kolejowej, gdzie u Państwa Rulskich odbywały się lekcje. Aresztowani zostali profesorowie Olga Szczurkowska i

Kazimierz Świecimski, a także pięciu uczniów. Wszyscy zatrzymani musieli iść pieszo do więzienia. Po kilku dniach przesłuchań zwolniono 4 młodocianych, natomiast najstarszego – 17 lat oraz nauczycieli wywieziono do więzienia w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Profesor Walczyna po aresztowaniu wstrzymał prowadzenie lekcji we wszystkich zespołach, bojąc się dalszych represji. Nauka została wznowiona po zwolnieniu z więzienia uczniów i nauczycieli. Dalszych aresztowań nie było, ponieważ Niemcy nie dowiedzieli się od przesłuchiwanym o istnieniu zorganizowanej na tak wielką skalę sieci tajnego nauczania.

## **Metodyka nauczania**

Metodyka nauczania na tajnych kompletach była stosunkowo prosta. Nauczyciel miał do dyspozycji tylko małe pomieszczenie, najczęściej izbę mieszkalną, stół, krzesła, lub ławy i w tych warunkach mógł prowadzić lekcje metodami werbalnymi jak: wykład, dyskusja, rozwiązywanie zadań z matematyki i fizyki, konwersacje w języku obcym.

Nauczyciele nie dysponowali w zasadzie żadnymi pomocami naukowymi, brak było przede wszystkim tablic szkolnych, podręczników, zeszytów, podstawowych lektur i innych materiałów do nauczania. Aczkolwiek niektórzy nauczyciele starali się chociaż w minimalnym stopniu upogłodzić swoje lekcje, np. w nauczaniu biologii występowały naturalne okazy roślinne i zwierzęce, dość często była lupa, a nawet mikroskop. W nauczaniu geografii i historii dużą pomocą były przedwojenne atlasy szkolne oraz globusy. Przy braku podręczników nauczyciele dyktowali poszczególne partie materiału. Nauka języka niemieckiego opierała się często na dostępnych w czasie okupacji czasopiśmie i gazetach wydawanych przez Niemców, a metodyka nauczania realizowana była tak, aby uczniowie zdobywali umiejętność posługiwania się językiem niemieckim w słowie i piśmie.

Z przebiegu nauczania na tajnych kompletach brak jest pełnej dokumentacji pedagogicznej. Uczniowie nie otrzymywali żadnych dokumentów ukończenia klasy. Nie jestem dotychczas pewny, czy nauczyciele prowadzili dokumentację pedagogiczną. Jeżeli tak, to było to bardzo niebezpieczne, gdyż w razie aresztowania nauczyciela, co związane było z reguły z rewizją i znalezieniem dokumentacji, spowodowałoby aresztowanie całych zespołów uczniowskich. Sądzę, że nauczyciele mając niewielkie grupy młodzieży pamiętali swych uczniów, ich wyniki nauczania i po wojnie mogli odtworzyć pełną dokumentację, na podstawie której Komisje Weryfikacyjne dla Legalizacji Tajnego Nauczania wydały wszystkim uczniom tajnego nauczania świadectwa, które były podstawą do dalszej nauki.

## **Okres powojenny**

We wrześniu 1944 roku po dłuższej przerwie szkoła nasza rozpoczęła działalność dydaktyczną. Zaczęliśmy kontynuować naukę na poziomie liceum przyrodniczego i humanistycznego.

W czerwcu 1946 roku zdaliśmy egzamin dojrzałości przed Komisją Egzaminacyjną w składzie: Wł. Doroszewski - Przewodniczący Komisji, Leontyna Domagalina, dr Stanisław Sobolewski, Maria Głębowna, Ks. Franciszek Malarczyk – członkowie.

Zdecydowana większość absolwentów – rocznik 1946 ukończyła studia wyższe, w tym piszący te wspomnienia, na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

Na zakończenie naszych wspomnień chcielibyśmy złożyć hołd i podziękować naszym Rodzicom za ich wielki patriotyzm i zapewnienie nam przyszłości poprzez naukę. Rodzice zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie grozi im, ich dzieciom i nauczycielom, a mimo to wyrażali zgodę na naszą naukę. Szczególnie narażeni byli rodzice, którzy udostępniali nam swoich domów – mieszkań na prowadzenie lekcji. W czasie nauki niemal wszyscy domownicy byli zaangażowani w obserwację przedpola i sygnalizowali każde zbliżanie się nieznanych ludzi. Wówczas bardzo szybko doprowadzaliśmy pomieszczenie, w którym odbywały się lekcje do normalnego stanu, a sami chowaliśmy się do wcześniej przygotowanych bezpiecznych miejsc.

## TO JUŻ BYŁO

Józef Stajniak

Matura 1950

### SUMMA VITAE

(Tekst wygłoszony na Zjeździe Koleżeńskim 4.10.1990 roku)

Kiedy w latach sześćdziesiątych po raz pierwszy w historii człowiek pokonał nieprzezwycięzalną zdawałoby się siłę przyciągania ziemskiego, a i z dalekiej przestrzeni kosmicznej zobaczył swoją macierzystą planetę mieniącą się całą gamą kolorów tęczy, z zaskoczeniem i zdumieniem stwierdził jej urzekające piękno, z tym większą radością wracał do niej jak do matki. Do Matki-Ziemi, która człowieka nie tylko karmi, ale jeszcze obdarza swymi wspaniałymi skarbami.

Dzisiaj my, z podobną radością wróciliśmy do naszej, jakże nam bliskiej Sandomierskiej Ziemi. Oto staję przed Wami Państwo wzruszony, by tę radość publicznie oświadczyć, by tą radością podzielić się z Państwem.

W chwilach tak uroczystych jak obecna staję przed szanownym zgromadzeniem

wzruszony po raz drugi w życiu. Pierwszy raz było to 40 lat temu, w czerwcu 1951 roku, kiedy na uroczystym zakończeniu roku w auli gmachu przy ul. Żeromskiego 4, w imieniu ówczesnych absolwentów, razem z koleżanką Czajkowską, żegnałem szkołę, grono nauczycielskie oraz młodszych kolegów. Dziękując wówczas gronu nauczycielskiemu za trud włożony w nasz rozwój intelektualny i w nasze wychowanie stwierdziłem, że szkoła była naszym drugim domem, dobrym domem. Dzisiaj chciałbym to po raz wtóry z całą mocą podkreślić. Tak, szkoła nas nie tylko uczyła, ale i wychowywała w tym tak trudnym naszym polskim okresie. Grono nauczycielskie było dla nas nie tylko profesorami, ale i wychowawcami, których rady, nie zawsze rozumiane i akceptowane, kształtowały jednak nasze postawy i naszą osobowość.

Nie mogę więc w tej chwili i w tym miejscu nie przypomnieć z imienia chociaż niektórych osób z ówczesnego grona profesorskiego:

- jak człowieka wielkiej dobroci i wiedzy, zakochanego w kulturze antyczno – łacińskiej, profesora Świerzowicza,
- jak uosobienie powagi i skrupulatności, profesor Froté
- jak obserwującą i dyskretnie ingerującą w wychowanie młodego człowieka, profesor Głębowny
- jak pogodnego i uśmiechniętego nawet w trudnych chwilach, profesora Baczyńskiego
- czy też słynnego ze swoich gawęd profesora Hadama.

Przypominając niektórych ówczesnych profesorów ze szczególnym akcentem i głębokim uszanowaniem chcę wymienić wielkiego mistrza słowa, włodarza umysłów i serc, księdza Stanisława Drypę, który na osobowości wielu osób wywarł ogromny wpływ.

Kiedy to na ostatniej lekcji religii, w sali na tzw. „folwarku” w drugim małym budynku przy ul. Żeromskiego 4, razem z kolegą Myśliwskim w imieniu klasy żegnaliśmy księdza Drypę nie przypuszczałem, że będzie to moja ostatnia bezpośrednia styczność i rozmowa z naszym profesorem. Nasze drogi życia rozeszły się i do następnych spotkań, i rozmów już nie doszło, czego żałuję. Przypominając postać księdza Drypy, postać wielkiego kapłana, chcę szczególnie podkreślić jego wielki wpływ na nasze wychowanie, kształtowanie naszej osobowości, postaw i umysłów. Naświetlając kwestie fundamentalne, jego płomienne słowa kształtowały naszą moralność, dawały moc zachowania polskiej tożsamości, były potężną zaporą przeciwko naporowi obcej, totalitarnej ideologii, broniły umysły przed zniewoleniem. Jego duchowa spuścizna żyje i owocuje. Wkład księdza Drypy w wychowanie całych pokoleń młodzieży Ziemi Sandomierskiej, jak i duchowy rozwój mieszkańców Sandomierza, jest tak wielki, że postać ta zasługuje na szczególne utrwalenie w pamięci następnych pokoleń, chociażby przez ufundowanie i wmurowanie specjalnie jemu poświęconej tablicy czy też nazwanie jednej z ulic Sandomierza Jego imieniem. Byłoby to jakąś formą podziękowania za jego trud, za szykany, których doznawał



od ówczesnych władz. Jeżeli do chwili obecnej żadna z ulic Sandomierza nie nosi jego imienia, to w tej uroczystej chwili propozycję taką oficjalnie zgłaszam i do władz miasta kieruję jako postulat.

Żegnając przed 40 laty naszą szkołę wyraziłem przyrzeczenie, że jej i naszego miasta nie zapomnimy. Sądzę, że dotrzymujemy przyrzeczenia, a dzisiejszy zjazd jest tego szczególnym potwierdzeniem. Czyż bowiem można zapomnieć miejsce swego urodzenia, dzieciństwa, młodości? Czyż można zapomnieć to miasto „na górze”, jak śpiewamy w znanej nam pieśni, miasto, z którym tak silnie wiążą nas wspomnienia, przyjaźnie, miasto, w którym przeżyło się swoją pierwszą miłość? Nie, tego nie można zapomnieć.

Znów jesteśmy w naszym, jakże nam bliskim mieście, w starym a zarazem nowym Sandomierzu, któremu, jak od wieków, patronują królewskie budowle i zabytkowe świątynie z dostojną Katedrą – od stuleci symbolem jego trwania.

Oto krótkie moje wspomnienia i refleksje po 40 latach rozstania ze szkołą. Jakież to długi okres, ile nagromadzonych w nim przeżyć, wspomnień, porażek, może sukcesów. Ile rozczarowań, szykan, cierpienia, ale i również chwil miłych i radosnych? Summa vitae.

40 lat to bardzo długi okres w życiu człowieka, a znaczący również w życiu narodu. My, wychowankowie I Liceum Ogólnokształcącego rozproszeni wśród narodu, razem z nim przeżywalismy przyspieszony, przeładowany wydarzeniami rytm historii, a w nim oprócz chwil dobrych i podniosłych również trudne, bolesne, a nawet tragiczne. Za sprzeciw wobec narzuconego nam systemu iluż wychowanków naszego, i nie tylko naszego, liceum zapłaciło szykanami czy więzzeniami. Przypominam te fakty nie po to jednak, by przywołać upiory przeszłości, by przypomnieć dramaty, których byliśmy świadkami czy też uczestnikami, ale po to, by podkreślić kontrast z chwilą obecną, którą obdarzamy zaufaniem i przekonaniem, że oto nadeszła już wolność, może jeszcze trudna, ale budząca nadzieję.

Pamiętając bowiem minione zło, docenić możemy dokonany postęp, przyszłość zaś, coraz bardziej od nas samych zależna, wyda się nam jeszcze bardziej obiecująca, gdy porównamy ją z tym, co bezpowrotnie – miejmy nadzieję – minęło.

Przed nami nieznana przyszłość. Przed nami nieodległa czasowa perspektywa XXI wieku. Wchodzimy w nią z obawami i niepokojem, ale zarazem pełni nadziei na nadejście lepszego jutra, na zwycięstwo ponadczasowych, niezniszczalnych wartości, takich jak dobro i piękno, przyjaźń i życzliwość, solidarność i miłość.

Do zobaczenia na następnym zjeździe!

Adam Wiesław Fijałkowski

Matura 1950

## UKŁON MOIM KOCHANYM BELFROM

Jako absolwent z 1950 roku I LO w Sandomierzu pragnę złożyć hołd swoim Wychowawcom tak świeckim, jak i duchownym. Miałem szczęście do wspaniałych ludzi, pełnych zapału, tęskniących za wolnością, traktujących swą pracę jako wyróżnienie.

Składając niski ukłon kochanym "belfrom", chciałbym przybliżyć grupkę osób, która przez długie lata była zapomniana - grupa księży.

Prefekt ks. Franciszek Malarczyk - człowiek potężnej postury, pierwsza postać po dyr. Gimnazjum i I Liceum. Wszystkich uczniów miał spisanych na małej karteczce, a stopnie stawiał małym ołówkiem. Jak On to robił?

Drugim prefektem w III i IV klasie Gimnazjum był ks. Stefan Siedlecki zwany „Pingwinem” Prorok Seminarium Duchownego. Był wybitnym filozofem. Lekcja religii rozpoczynała się od śmiechu. Śmialiśmy się z niczego. Po paru minutach zmęczenia i rozluźnieniu oddawaliśmy się uduchowieniu

Na jednej z lekcji kolega T. chodzący do małego seminarium wstał z ławki mówiąc: "Andrzej Smuła je na lekcji religii"

Na to Andrzej zaprzeczając powiedział, że T. zepsuł powietrze i dlatego kręci nosem. Obaj wylecieli za drzwi. Decyzję ks. Siedleckiego przyjęliśmy brawami.

Najpopularniejszą mszą św. w Katedrze była 9-ówka. Kościół był zawsze pełny młodzieży. Kazania głosił ks. Drypa. Krótkie, pełne treści, mówione językiem prostym, barwnym. Ks. Drypa był szczupłym, wysokim mężczyzną chodzącym w pelerynie i lekko przechylonym kapeluszu.

Pierwsza lekcja religii w Liceum. W drzwiach staje nasz uwielbiany kaznodzieja. Zapanowała cisza. Popatrzył po naszych uśmiechniętych, a zarazem przerażonych twarzach i powiedział:

"Jak ja mam was uczyć religii stare konie. Będzie mi wstyd przy złej odpowiedzi, gdyby się taka przytrafiła. Więc umawiamy się tak. Ja prowadzę wykłady o tematyce światopoglądowej przy waszym czynnym zainteresowaniu".

To były najpiękniejsze wykłady. Wpajał w nas, jak kochać bliźnich, najbliższych i wrogów. To był nasz "ojciec", "profesor", "kolega" i takim pozostał do ostatnich swoich dni.

Większość z nas odwiedzała ks. Drypę w czasie wakacji w okresie ferii, dzieląc się swoimi radościami i smutkami.

Kiedy brałem ślub kościelny, zwróciłem się do swojego "Duszpasterza", który mimo złego stanu zdrowia powiedział: "Wiesiu, nie mogę ci odmówić, bo chcę dzielić z tobą radość i pobłogosławić Twoją wybranek Elżunię, życząc Wam dożgonnej miłości".

Wśród wykładowców był ks. prof. Józef Stępień - filar matematyczno-fizyczny

liceum. Był to najbiedniejszy wykładowca. Chodził w starej, pocerowanej sutannie, lecz był bogaty duchem. Większość pieniędzy wydawał na książki, kupował, podpisywał, pożyczał uczniom, tworząc obiegową bibliotekę. Pod koniec roku część książek wracała do właściciela.

Byliśmy szkołą rozśpiewaną dzięki harcerstwu i ks. Wendelinowi Świerczkowi. Mieliśmy duży, ponad 100-osobowy, chór. Pierwszy raz wystąpiliśmy publicznie na uroczystościach związanych z Manifestem Połanieckim. Na wzgórzu był zbudowany polowy ołtarz. Mszę celebrował Biskup sandomierski ks. Kanty Lorek, a my śpiewaliśmy rozpoczynając "Bogurodzicą". Do Połańca prowadziły drogi piaszczyste, nieprzejezdne. Dowiozły nas samochody wojskowe Sztudebekery i Dodge. Wrażenie było wspaniałe. Tłumy ludzi, część na koniach w mundurach wojskowych lub w strojach krakowskich. Miałem wrażenie, że jestem przed bitwą na Polach Grunwaldzkich.

Za te wszystkie przeżycia i kształtowanie mojej młodości z całego serca dziękuję Wam Panie i Panowie Wychowawcy. Niech pamięć o Was będzie wieczna.

Wiesław Kamys  
Janusz Pawłowski  
Matura 1953 rok

## **HISTORYCZNE UJĘCIE PRZEBIEGU NAUKI ABSOLWENTÓW ROCZNIKA 1953**

Większość absolwentów zdających maturę w 1953 roku rozpoczęła naukę w tutejszym Liceum w 1949 roku. Liceum w latach naszej nauki było szkołą, w której uczyła się wyłącznie młodzież męska.

Naukę w 1949 roku rozpoczęliśmy w budynku szkolnym dawnego Gimnazjum i Liceum im. Józefa Piłsudskiego przy ul. Żeromskiego i w budynku tym uczyliśmy się do czerwca 1951 roku. Od września 1951 roku do zdania matury w 1953 roku uczyliśmy się w budynku szkolnym przy ul. Długosza - dawne Collegium Gostomianum, stanowiącym ośrodek edukacji na poziomie średnim od 1602 roku dla młodzieży Sandomierza i Ziemi Sandomierskiej.

W latach naszej nauki do liceum uczęszczała młodzież z Sandomierza oraz 18

gmin dawnego powiatu sandomierskiego oraz powiatów ościennych województwa kieleckiego.

W 1949 roku naukę rozpoczynało w klasach ósmych około 90 uczniów, z czego do matury w 1953 roku przystąpiło 53, w tym 7, którzy rozpoczęli naukę w latach wcześniejszych i "repetowali". "Repetenci" oraz opóźnienia w nauce niektórych roczników spowodowane wojną stworzyły dużą rozpiętość wiekową naszego rocznika maturalnego. Najstarsi maturzyści byli z lat 1931-32, najmłodszy zaś z 1937 roku. Fakt, że ze stanu początkowego w 1949 roku do matury w naszej szkole doszło zaledwie 51%, spowodowany był z jednej strony wysokim poziomem nauki w szkole, z drugiej silnym rozwojem w tym czasie średniego szkolnictwa zawodowego i odejściem po 9 klasie bardzo wielu kolegów do średnich szkół technicznych, pedagogicznych i wojskowych.

W pierwszym roku naszej nauki na terenie szkoły działało ZHP, które ze względu na istniejące wówczas tendencje polityczne w kraju zostało wyeliminowane, a na jego miejsce weszło ZMP, do którego należało ok. 3/4 uczniów. Z innych organizacji społeczno-młodzieżowych na terenie szkoły istniały Liga Morska i Liga Lotnicza, przekształcone w Ligę Przyjaciół Żołnierza oraz PCK i SKS. Bardzo słabo działały kółka zainteresowań naukowych oraz kółka artystyczne.

Wszyscy uczniowie roczników 1935 i starszych w wakacje 1951 i 1952 roku odbyli "obowiązkowo - na ochotnika" 6 tygodniowe turnusy robocze w brygadach Służby Polsce (SP) w Nowej Hucie i PGR-ach województw nadmorskich.

W roku szkolnym 1951/52 na terenie naszej szkoły i II LO żeńskiego zawiązał się konspiracyjny ruch antyustrojowy. Wśród uczestników tego ruchu byli również koledzy z klas naszego rocznika maturalnego. Organizacja ta przyjęła nazwę "Białe Orły". W związku ze zdekonspirowaniem tej organizacji latem 1952 roku wielu kolegów należących do niej przyspłacało to więzieniem, ucieczką i ukrywaniem się. Skutkiem tego były opóźnienia w kończeniu szkoły oraz utrudnienia w możliwości dostania się na studia wyższe i zdobycia wyższego wykształcenia.

Z rozpoczynających naukę w 1949 roku:

37% uczniów pochodziło z miast

63 % uczniów pochodziło ze wsi

zaś zdających maturę w 1953 roku

50 % uczniów pochodziło z miast

50 % uczniów pochodziło ze wsi

Z maturzystów zdających maturę w 1953 roku 68% ukończyło studia wyższe, w tym 5 podjęło pracę naukową na uczelniach, a 2 jest profesorami zwyczajnymi.

O dużej więzi jaka powstała między naszymi kolegami pomimo różnic wynikających

z pochodzenie, statusu społecznego i zajmowanych stanowisk (bo różnice wieku już całkiem się zatarły) najlepiej niech świadczy fakt, że poczynając od początku lat 90. organizujemy co 2 lata spotkania naszego rocznika maturalnego z licznym uczestnictwem, co najlepiej widać na tym zdjęciu ze spotkania w roku 1996.

(zdjęcie)

Stoją od lewej: Zarzycki Jan, Wróblewski Władysław, Bęc Aleksander, Kamys Wiesław, Socha Marian, Bażant Henryk, Ziolo Zdzisław, Ziolo Zbigniew, Drop Janusz, Staroń Jerzy, Kwiatkowski Karol, Swacha Roman, Aleksandrowicz Jerzy, Schinzel Andrzej, Prokop Jan, Smalera Zbigniew

Klęczą od lewej:

Tylatyński Roman, Zając Eugeniusz, Turbakiewicz Stanisław, Zając Marian, Kwiatkowski Edward, Abramczyk Józef, Koseła Jan, Pawłowski Janusz

Antoni Bilski

Matura 1954

## CI WSPANIALI NAUCZYCIELE

Wspomnienia o wspaniałych nauczycielach, tych, których sylwetki najbardziej utkwily mi w pamięci:

Prof. Baczyński - historyk, człowiek nadzwyczaj sympatyczny, pogodny, nieco rubaszny, dużej postury, ale nie mniej dużego serca, jego sławny odruch i okrzyk „Mam cię szelmo!” przy idealnej ciszy pisanej klasówki, doprowadzały nas nieomal do zawałów; w tych przypadkach chodziło nie o złapanie ściągającego, a złapanie muchy, która przeszkadzała Profesorowi w drzemce.

Prof. T. Hadam - geograf, starszy pan, łysawy, kochający turystykę i opowiadania o ciekawych krajach, a szczególnie o Szwajcarii.

Prof. Kwecińska - chemik, osoba dystygowana o bardzo dużym autorytecie i wiedzy, bardzo wymagająca, postrach wielu uczniów.

Prof. Kwiecinski – nauczyciel w.f, wyprostowany jak struna, wojskowa figura, sprężysty krok, wychowawca wielu znanych sportowców.

Prof. A. Wolski - polonista, śniada cera, bujna, krucza czupryna pielęgnowana w

czasie zajęć dużym grzebieniem trzymanym między dwoma środkowymi palcami, pan uwielbiający opowiadanie dowcipów; szczególnie jeden, którego w skrócie treść była następująca:...zaczynało się na ogół od zwrotu do któregoś z nas - Chłopcze, podnieś tę belkę (chodziło w tym wypadku o zapalną leżącą na podłodze), a następnie tekst: Jak ja chodziłem do gimnazjum, to był idealny porządek, Pan Woźny tak długo polerował podłogę w sali gimnastycznej aż Pani Dyrektorce widać było w odbiciu majteczki jak przechodziła przez tę salę.

Prof. Zwolski - matematyk, fizyk, odkrywca niesamowitego geniusza matematycznego, jakim był nasz nieco starszy (o rok) kolega Andrzej Schinzel, który na swojej pierwszej, bodajże w 1955 roku olimpiadzie matematycznej w Krakowie, na 100 możliwych do zdobycia punktów zdobył 108, późniejszy uczeń prof. Sierpińskiego na Uniwersytecie w Warszawie, a następnie wykładowca na wielu sławnych uczelniach światowych i sympozjach naukowych.

Przepraszam, że nie używam wszystkich imion, ale pamięć jest zawodna, pominąłem w w/w wspomnieniach wiele barwnych postaci z czasów szkolnych, tak wykładowców, jak i znanych ogółowi kolegów, ale tak można by bez końca....

Krystyna Maciurzyńska

Matura 1963

## **ONI KSZTAŁTOWALI MÓJ CHARAKTER**

Nauczyciele w Liceum pomogli mi ukształtować swój charakter. Do dziś wspominam z wielkim szacunkiem profesorów:

- Stanisławę Krawczykową, wspaniałą polonistkę, której wykłady przybliżały nam nie tylko literaturę omawianego okresu, ale również uwarunkowania historyczne, muzykę, historię sztuki. Pani Profesor była wzorem dla polonistów.
- Annę Sochową, dzięki jej wykładom najtrudniejsze tematy z chemii stawały się proste. Wspaniała wykładowca, wymagający nauczyciel. Dzięki Niej mogłam podczas studiów udzielać licealistom korepetycji z chemii.
- Zuzannę Zwolską, nauczycielkę języka łacińskiego, która sprawiła, że kultura antyczna stała się nam bardzo bliska. Miała niewielkie możliwości techniczne, żeby nam uświadomić, jak wyglądał świat antyczny, jednak jej się to udało. Gdy wiele lat później wjeżdżałam do Rzymu, nabyta w szkole wiedza służyła mi za przewodnik.
- Przez cztery lata matematyki uczył nas niezapomniany profesor Głuch. Nie należę do

osób kochających matematykę, ale dzięki profesorowi nigdy nie była ona dla mnie wielkim problemem.

Jestem przekonana, że wymienione tutaj osoby powołane były do wykonywania swojego zawodu. Doskonale potrafiły wpajać wiedzę i zachęcać młodzież do jej pochłaniania.

Zbyt mało jest miejsca, aby pisać o wszystkich nauczycielach, piszę więc o tych, którzy głęboko tkwią w moim sercu, którzy byli dla mnie wzorem w wyborze zawodu, w pracy i w każdym dniu.

Jak zwykle w życiu bywa, charaktery ludzkie są różne, tak też było z naszymi nauczycielami.

Dyrektorem Szkoły był pan Stanisław Smolnicki, Była to postać ciekawa. W moich wspomnieniach Dyrektor pozostał osobą walczącą z młodzieżą chodzącą na lekcje religii do Katedry. Dyrektor wspólnie z nauczycielem przysposobienia wojskowego Panem Janem Roleckim skrzętnie pilnowali drzwi Katedry, którymi wchodziła młodzież na lekcje religii. Naszym katechetą był ksiądz Antoni Ziółkowski, który widząc co się dzieje, nie chcąc młodzieży narażać na konsekwencje, wyprowadzał nas przez zakrystię. W ten sposób wyprzedzaliśmy kontrolujących nas i przed nimi byliśmy na obiedzie w stołówce szkolnej udając, że jesteśmy tu od dawna.

W 10 klasie zostałyśmy wyrzucone z internatu za zorganizowanie wbrew zakazowi Dyrektora wyjścia na mszę św. rekolekcyjną. Mieszkancki internatu zawsze w niedzielę miały wolny czas w godzinach przedpołudniowych. Przed Świątami Wielkanocnymi w 1962 roku rekolekcje kończyła wspólna msza św. w Katedrze. Pan Dyrektor przez Pana Roleckiego zarządził, że w tę niedzielę czas wolny mamy w godzinach popołudniowych. Klasa 11 przygotowywała się do matury, więc zarządzeniu się podporządkowała, natomiast klasa 10 i uczennice mniej lękliwe z pozostałych klas zdecydowały, że na własną odpowiedzialność pójdą do Katedry. Wychowawczynie mieszkające w internacie "nie zważały" naszego wyjścia. Dwójkami poszłyśmy do Katedry. Nasz przemarsz z okien szpitala Św. Ducha obserwował sam Pan Dyrektor Stanisław Smolnicki. Po opuszczeniu szpitala wezwał "prowodyrki" do siebie i oznajmił, że dla takich osób jak my nie ma miejsca w internacie. Wszystko skończyło się szczęśliwie. Znalazłyśmy sobie dobre stancje, a co najważniejsze, wszystkie osoby zostały dopuszczone do matury i zdały egzamin dojrzałości.

Elżbieta Żak z d. Kwasek

Matura 1966

**„ZAWIESZONA NA SKRAJU WYSOKIEJ SKARPY...”**

Szkoła „na Długosza”, „Długosz”, „Collegium Gostomianum”..... Wzrastałam z jej widokiem na co dzień, od najmłodszych lat, kiedy to jeszcze nie rozumiałam znaczenia tego słowa.

Urodziłam się i wychowałam na Skarpie, w domu przy ulicy Podole, na tej części ulicy, której już dziś nie ma, którą ścięto przy wygładzaniu i wyrównywaniu zbocza wzgórza. Tym sposobem, niestety, nie mogę już zobaczyć szkoły w ujęciu zapamiętanym z okien mojego domu.

A widok z okien mojego domu był niezwykły: patrząc na wschód widziało się w oddali Góry Pieprzowe z mostem kolejowym na Wiśle, na południe na wprost- Rybitwy i most drogowy, a po prawej wysoko -Szkołę.

Pamiętam, że gdy patrzyło się na nią, zdawała się zawieszona na skraju wysokiej skarpy i często wyobrażałam sobie kolejkę linową poprowadzoną między szkołą a moim domem, której lina zapewne nie byłaby dłuższa niż 200-300 m. Budynek był naprawdę blisko, doskonale słychać było dzwonki nawołujące na lekcje czy zwiastujące przerwę. Gmach robił zawsze duże wrażenie, pełen dostojęstwa i pewnej tajemniczości, wzbudzał respekt, ale i pociągał. Mimo że do podstawówki (Szkoły Podst. nr 2) chodziłam „za park”, a tam, w tym samym budynku była przecież „jedenastolatka”, nie miałam wątpliwości co do wyboru szkoły, ta była już wówczas, z racji bliskości, trochę moja.

Wspominam to teraz, gdy prawie codziennie, wracając z pracy zza Wisły napawam się wspaniałym widokiem miasta z pięknym gmachem mojej szkoły. Jest to dla mnie widok nie do znudzenia, różny w zależności od pory roku, pory dnia, pogody...A szkoła dodaje panoramie urody, prawdziwie błyszczą, widać, że żyje!

Moich gości, którzy są po raz pierwszy lub dawno nie byli w naszym mieście, zabieram na przejażdżkę i z dumą pokazuję ten widok. Cieszy tym bardziej, że szczególnie przez kilka ostatnich, przed ukończeniem remontu, lat szkoła wyglądała strasznie, częściowo zrujnowana, odrapana z tynku, z zięjącymi oczodołami zamiast okien, chyliła się ku upadkowi. Była uosobieniem wielkiej biedy i trudnych czasów w naszym kraju.

Z prawdziwą przykrością i niepokojem obserwowałam jej stan i mimo że działając w Stowarzyszeniu Wychowanków byłam na bieżąco zorientowana i wiedziałam, że remont trwa, że nie dojdzie do najgorszego, to jednocześnie miałam świadomość, jak bardzo dużo potrzeba środków, aby go ukończyć.

Jest już jednak na szczęście ta moja szkoła, „jak nowa” i mam nadzieję, że będzie nadal wzbudzać wśród swoich uczniów i wychowanków uczucie dumy nie tylko z racji swojej urody.



\*

Sądzę, że w okresie kiedy do niej chodziłam, szkoła była zatłoczona. Znalazłam się w klasie „d”, chodzącej na drugą zmianę. Byli w niej „miejscowi”, uczniowie mieszkający na stacjach oraz dojeżdżający, w większości z Dwikozów i Zawichostu. W trzech klasach popołudniowych uczyli się Sandomierzanie oraz wszyscy mieszkający w Internacie. Normalnie rozpoczynaliśmy naukę o godzinie czternastej, kończyliśmy lekcje nawet o dwudziestej. Myślę, że stwarzało to sytuacje nieznaną naszym kolegom ze zmiany przedpołudniowej.

We wnękach okiennych na parterze stały lampy naftowe, a i my uczniowie mieliśmy przykazane nosić świece. Normalną sprawą były przerwy w dostawie prądu, podczas których lekcje trwały nadal, ewentualnie przebiegały trochę inaczej niż było zaplanowane. Nie dało się wprawdzie pisać, gorzej było ze ściąganiem. Czasami ciemność, która zapanowała nagle podczas przerwy, była przyczynkiem do prawdziwego szaleństwa, które ogarniało niektórych z nas, pamiętam, jak fruująca gąbka wylądowała na dyrektorze, który nieoczekiwanie stanął w drzwiach.

Najtrudniej było znieść zmianę popołudniową wiosną i wczesnym latem. Pamiętam uczucie tęsknoty, które nas nawiedzało w piękne dni, gdy na zewnątrz było już bardzo ciepło, a nam doskwierał jeszcze chłód, ciągnący z grubych murów. Szczególnie zazdrośnie spoglądało się na ludzi idących nad Wisłę, aby powylegiwać się na ciepłym, nadwiślańskim piasku.

*„Panie Profesorze, chodźmy na wycieczkę ” (historyczną oczywiście)*

- błagaliśmy Prof. Baczyńskiego.

Czasem nam się udało go przebłagać, a te przemiłe chwile są utrwalone na zdjęciach, które nam Profesor robił.

Ostatnia siódma lekcja kończyła się około ósmej wieczorem i trudno było się na niej skupić czy nawet wysiedzieć. Czasem udawało się ją skrócić, przyspieszając zegar lub upraszając woźnego. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek ktoś z Profesorów zakwestionował krótki czas tej lekcji- taka późna pora na naukę, szczególnie w zimie, była niewątpliwie trudna dla obu stron. A przecież część naszych kolegów jeszcze musiała dojechać do domu.

Chodzenie na popołudnie ważyło też znacznie na sposobie życia.

Po powrocie do domu, wieczorem, ciężko było brać się za odrabianie lekcji. Najbardziej łakoma była książka „do poduszki”. Najgorzej, jeżeli trudno było się od niej oderwać. Przeciągnięte długo w noc jej czytanie mściło się na przedpołudniu, które musiało wystarczyć i na odrobienie lekcji, i na pomoc w domu, a przecież często wypadała jeszcze przed lekcjami religia czy też zbiórka harcerska.

Czasem też zdarzało się, że niektórzy nasi koledzy zjawiali się na lekcjach po piwku, wypitym gdzieś razem. Nie był to oczywiście stan ewidentnie oczywisty, ale my wiedzieliśmy, a Profesorowie zapewne domyślali się, nie poruszając jednak „tematu”. Pamiętam pewną lekcję chemii, kiedy to Prof. Sochowa „wyczuła” natychmiast jednego z naszych kolegów i poprosiła go do tablicy. Przepytowała go z całego materiału, wyraźnie chcąc go na czymś „złapać”. Ku naszemu ogromnemu zdziwieniu nasz kolega odpowiadał śpiewająco. Był, jak to się mówiło, bardzo zdolny, ale nie pracował wystarczająco. Pani Profesor postawiła mu, chcąc nie chcąc, piątkę i bardzo wiele tym sprawiedliwym gestem zyskała w naszych oczach.

\*

Szczególnie utkwiły mi w pamięci lekcje historii z Profesorem Baczyńskim. Spędzałam większość czasu pod tablicą z książką w ręku, czytając głośno wskazany fragment, który następnie Profesor szeroko omawiał. Niewiele, niestety, docierało do mnie, gdyż trudno mi było się skupić obserwując klasę.

Po odpytaniu zaplanowanej ilości uczniów Profesor wzywał mnie do tablicy:

„P r z y j d z i e t u d o m n i e . . . . K w a s i s t a ” l u b „ P r z y j d z i e t u d o m n i e . . . . h a r c m i s t r z y n i ” (słyszę do dzisiaj, jak to było wymawiane, Profesor świetnie budował napięcie, natomiast przezwiska pochodziły: pierwsze od mojego nazwiska, drugie związane było z moją działalnością w harcerstwie).

Gdy okazywało się, że to koniec odpytywania, w klasie następowało wyraźne rozprężenie. Profesor często udawał, że nie widzi co się dzieje, ale pewnego dnia pokazał, że jest inaczej.

Właśnie w związku z balem maturalnym jakiejś klasy, stały pod ścianą szklane syfony wypełnione wodą. Profesor jakby nigdy nic, coś omawiając, pomału podszedł do skrzynki z syfonami. Nagle złapał jeden i tych najbardziej rozrabiających potraktował silnym strumieniem wody gazowanej, wzbudzając prawdziwe zdumienie, ale i uznanie za niezwykle poczucie humoru.

Pamiętam też, jak pracowicie, co poniektórzy, głównie ci, co spodziewali się pytania, spędzali czas na przerwie przed lekcją historii. Na całej tablicy pisali ściągawki, najczęściej z datami. Tablica, podzielona na „wydzierżawione” obszary, gęściutko zapisana, zawierała całą masę historycznej wiedzy. Profesor po wejściu do klasy stawał często przed tablicą i uważnie studiował jej treść. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czym się kierował, czasem pozostawiając z obojętnością zapiski na niej, a czasem karząc je zetrzeć. Robienie ściąg

z założenia obarczone było elementem ryzyka, czy ściągą przetrwają. Niemniej robione były ciągle, a przy okazji... wiedza była utrwalana. Sądzę, że Profesor brał to pod uwagę i postępował w taki właśnie sposób absolutnie rozmyślnie.

\*

Ze szczególnym ciepłem wspominam lekcje języka polskiego, prowadzone przez Panią Prof. Abram. Na to, że je lubiłam, składały się zapewne przynajmniej dwie rzeczy. Po pierwsze lubiłam ten przedmiot, po drugie i chyba najważniejsze, bardzo odpowiadał mi sposób, w jaki były lekcje prowadzone, ich atmosfera. Pani Profesor była osobą spokojną, opanowaną, pełną delikatności, a jednocześnie wymagającą, świetną polonistką. Z perspektywy lat jestem w stanie ocenić zestawienie takich cech jako bardzo cenne, niestety coraz rzadziej spotykane.

Zdaję sobie sprawę, że byłam uczennicą traktowaną chyba z pewnym wyróżnieniem czy też sympatią (Profesor zwracała się do mnie „Elżuniu”). Staralam się jak mogłam nie zawieść zaufania, którym byłam obdarzona. Z zamiłowaniem czytałam, czy też „połykałam” książki, również te obowiązkowe, co pozwalało mi być na lekcjach dosyć aktywną. A lekcje prowadzone z wielką wiedzą i umiejętnością, pozwalały je w pełni poznać i rozumieć.

Kto wie, czy gdyby nie te „rosnące” za Wisłą kominy Huty Szkła z perspektywą pracy w przyszłości, moje humanistyczne zamiłowania nie zwyciężyłyby i ukierunkowały inaczej moje życie zawodowe. Tak czy inaczej fakt, że po upływie ponad trzydziestu pięciu lat po maturze, technicznym wykształceniu i pracy w technicznym zawodzie, piszę te wspomnienia, jest również niewątpliwym wpływem tamtych lekcji języka polskiego.

Wracam do lekcji. Utkwiła mi w pamięci bardzo wyraziście lekcja, na której przerabialiśmy „Chłopów”. Jeden z naszych kolegów, wywołany do odpowiedzi wstał, a że był rosty i czerstwy na twarzy niczym Boryna i zaczął opowiadać, używając gwary, nastąpiła świetna inscenizacja, jakby żywcem przeniesiona z tamtej epoki. Pani Profesor, ku naszej uciechu, nie przerwała tych z dużym talentem, wypowiedzianych gwarą kwestii z użyciem np. słów „jamory”.

Pamiętna jest też dla mnie inna lekcja języka polskiego. Wypadła trzynastego i to w piątek. Próbowaliśmy to wykorzystać, aby odłożyć zapowiedzianą klasówkę. Nasze marudzenia w rodzaju, że ta klasówka w taki dzień nie może się udać Pani Profesor zbywała, aż do momentu gdy wszedł woźny i wezwał do dyrektora kilku naszych kolegów. Padł na nas przysłowiowy błąd strach. Czuliśmy co to oznacza, ponieważ dyrektor podczas przerwy „nakrył” grupkę chłopców grających w klasie za piecem w karty. Rzeczywiście, wrócili do klasy po chwili tylko po to, by zabrać swoje rzeczy, zostali, bodaj na dwa czy trzy tygodnie zawieszeni w prawach ucznia.

Klasówka została przerwana, nasze miny mówiły za siebie. Nie mogła się w tej sytuacji udać, tak jak zresztą wcześniej „wykrakaliśmy”.

\*

Warto zatrzymać się chwilę nad naszymi uczniowskimi ubiorami.

My, dziewczęta, na co dzień chodziłyśmy w fartuchach granatowych lub czarnych, najczęściej z białym kołnierzykiem, odświętnie była to biała bluzka i granatowa lub czarna spódnica. Nakrycie głowy stanowił beret, oczywiście granatowy lub czarny. No i obowiązkowa była tarcza, dosyć duża, noszona na lewym rękawie oraz mniejsza, okrągła na biercu. Berety były teoretycznie wymagane do noszenia przez cały rok.

Na szczęście teoretycznie.

W dyskusjach, gdy kwestionowaliśmy ich noszenie zimą, otrzymywaliśmy przepis, jak zabezpieczyć się przed chłodem czy też mrozem. Otóż należało założyć chustkę np. wełnianą, wiążąc ją pod szyją, a na to beret. Twarzowe to raczej być nie mogło, ale za to miało być ciepło i regulaminowo.

Z tarczami był ciągły problem, popularne było mocowanie ich na agrafki, w konsekwencji ciągle ginęły w szatni, a z kolei bardzo często przeprowadzano kontrole ich posiadania. Jak wyglądaliśmy w tych strojach? Zapewne fartuchy, uszyte najczęściej z kiepskiego materiału, nie prezentowały się najlepiej, ale kto wówczas zwracał tak bardzo na to uwagę, tak chodziliśmy wszyscy, wyróżniał się czasem fartuch usyty z lepszego materiału czy też o ciekawym fasonie.

Bardzo wyraziście pamiętam scenkę związaną z naszymi ubiorami, która rozegrała się na korytarzu podczas przerwy. Otóż nasza koleżanka przyszła do szkoły w rajtuzach i to szafirowych! (Wówczas najczęściej chodziło się w pończochach, o ile pamiętam tzw. fildekosach). Pech chciał, że te rajstopy, niewątpliwie z racji swojego koloru, rzuciły się w oczy dyrektorowi Smolnickiemu, który właśnie przechodził obok nas. Nawiasem mówiąc, zapewne umożliwiliśmy sami, że je zauważył, bo zwykle gdy nadchodził, wszyscy zastygali w bezruchu pod ścianami, wstrzymując prawie oddech. Dotąd pamiętam, jak prawie w osłupieniu spoglądał na nieszczęsne rajtuzy, a potem prawdziwie ryknął: „*A co to jest? Panna w tym.... to do cyrku!!*”

Wojciech Szaraniec

Matura rocznik 1967

## HYMN O ZACHODZIE SŁOŃCA

Do spisania tych wspomnień przystępuję z wielką obawą. Od matury minęło 25 lat; to więcej niż połowa mojego życia. Bardzo przeze mnie intensywnie przeżywany okres szkolny tak jakoś dziwnie przyblakł, jakby poszarzał. To, czym wtedy się w pełni żyło, stało się mało ważne, inne sprawy wyszły na pierwsze miejsce. Wspomnienie z lat szkolnych mam nadal; boję się je ująć w spisana formę ze względu na zawodność pamięci.

Egzamin wstępny do I Liceum Ogólnokształcącego w Sandomierzu zdawałem w 1963 roku jako absolwent Szkoły Podstawowej nr 2. Okres szkoły podstawowej upłynął po dominującym wpływem dwóch nauczycielek, Pani Marii Szelest – od klasy drugiej do czwartej i Pani Janiny Ciapciak – od klasy piątej do siódmej, a ściśle do połowy klasy siódmej. Potem od półrocza, j. polskiego uczyła mnie Pani Fedosiukowa. Pamiętam, że na egzaminie wstępnym do Liceum zostałem zaproszony przez panią egzaminującą mnie z języka polskiego do powiedzenia jakiegoś wiersza. Powiedziałem wtedy „Hymn o zachodzie słońca” Juliusza Słowackiego. Nie pamiętam nazwiska egzaminatorki. Od tego czasu miałem opinię kogoś, kto dobrze deklamuje wiersze, co potem wielokrotnie „wykorzystywano”.

Dyrektorem szkoły był wtedy Pan Smolnicki (o ile dobrze pamiętam nazwisko). Po roku dyrektor się zmienił, został nim Pan Pieklik. Był dyrektorem co najmniej do mojej matury. Rozpocząłem naukę w klasie ósmej „a”, w której językiem obcym była (oprócz obowiązkowego języka rosyjskiego) łacina. Uczyliśmy się jej tylko przez jeden tzw. okres. Potem nauczycielka (ta sama, która mnie egzaminowała) zachorowała. Przez jeden okres nie mieliśmy lekcji, a od półrocza rozpoczęliśmy lekcje języka niemieckiego, które prowadził Pan Skura. Pamiętam, że miałem na początku kłopoty, bo poza szkołą uczyłem się języka angielskiego. Słyszac słowa niemieckie brzmiące fonetycznie tak jak angielskie, zapisywałem je w zeszycie „po angielsku”, co było oczywistym błędem i w trakcie okresowej kontroli zeszytu zostało odpowiednio potraktowane.

Oprócz problemów z językiem obcym najbardziej uciążliwy był fakt, że ze względu na ciasnotę w szkole chodziłem na tzw. drugą zmianę. Lekcje rozpoczynały się codziennie o godz. 14.00, a kończyły przeważnie o 19.25 lub 19.30. Do szkoły dojeżdżałem autobusem z odległych o 2,5 km Stochcic. Ostatni autobus powrotny odjeżdżał spod spichlerza o godz. 19.50. Pamiętam, jak kiedyś na skutek defektu zegarka spóźniłem się na ten ostatni autobus. Nie to było problemem, że poszedłem na piechotę, tylko że w domu zapanował popłoch, kiedy tym autobusem nie przyjechałem.

Dopiero w klasie przedmaturalnej (dziesiątej) pod koniec roku szkolnego, kiedy to maturzyści przestali regularnie uczęszczać na lekcje (tj. od początku maja) zostaliśmy

przeniesieni na ranną zmianę. Różnica była ogromna.

W czasie czterech lat nauki mieliśmy trzy nauczycielki od języka polskiego. W klasie ósmej uczyła nas pani Baranowska, w klasie dziewiątej Pani Lyro. Ostatnie dwa lata – Pani Abram. Pamiętam, jak w dziewiątej klasie Pani Lyro zrobiła nam dyktando. Muszę tu jeszcze dodać, że ta nauczycielka wymagała od nas pisania piórem, nie zezwalała na długopisy. Po dyktandzie zebrała zeszyty, a kilka dni później przyniosła sprawdzone prace. Rozdawanie rozpoczęła od tych, którzy dostali dwóje. Wyczytywała kolejne nazwiska i w pewnym momencie wyczytała moje. Wrażenie było tak porażające, że trzymane w ręku pióro wypadło mi z ręki na zeszyt robiąc ogromnego kleksa. Podszedłem do stołu po zeszyt, a kiedy odbierałem dowiedziałem się, że dwóje się już skończyły, a ja dostałem czwórkę.

Naszą wychowawczynią była Pani Sochacka. Uczyła nas również matematyki. Choć prawie wszystkie przedmioty „szły” mi stosunkowo dobrze, to jednak w Liceum zacząłem wyraźnie skłaniać się ku – teraz to by się tak nazywało – profilowi matematyczno-fizycznemu. Fizyki uczył mnie Pan Edward Mucha. Jemu zawdzięczam wybór drogi zawodowej. Jak do tego doszło, postaram się tu w skrócie opisać.

W gruncie rzeczy elektroniką interesowałem się od bardzo dawna, ale – można by tak powiedzieć – platonicznie. Trudno było inaczej, bo nie było wtedy w ogóle książek popularyzujących tę dziedzinę wiedzy. Elektronika miała opinię bardzo trudnej dziedziny, a studia na Wydziale Łączności (dopiero w 1967 roku przemianowanym na Wydział Elektroniki) uchodziły za coś wyjątkowo trudnego. Jakoś nie miałem kłopotu ze zrozumieniem działania lampy elektronowej i tego, dlaczego ona wzmacnia, nie miałem kłopotu ze zrozumieniem, jak działa radio, natomiast zupełnie nie mogłem „wykombinować”, jak ze zmodulowanej fali elektromagnetycznej w telewizorze powstaje obraz. I ten problem był dla mnie symbolem tego, jak strasznie trudna musi być elektronika.

Ponieważ problemu tego nie mogłem rozwikłać, zainteresowałem się fizyką mikroświata – czy jak kto woli – fizyką cząstek elementarnych. Na kółku fizycznym wygłosiłem nawet raz referat na ten temat. Referat przygotowałem w oparciu o książkę „Fizyka Atomu” jakiegoś radzieckiego autora; książka ta miała jednak walor popularyzatorski. Jeśli wtedy myślałem o studiach wyższych, to o fizyce i to fizyce atomu.

W połowie klasy maturalnej na lekcji fizyki Pan Mucha objaśnił zasadę działania kineskopu. Uczynił to w sposób tak przystępny, że przeżyłem autentyczny szok. Pomyślałem sobie, że jeśli to, co było dla mnie tak trudnym problemem jest tak bardzo proste, to może i cała reszta tej supertrudnej elektroniki jest do przebrnięcia. I zdecydowałem się studiować elektronikę, choć trzeba przyznać, że studia rzeczywiście były ciężkie.

Pamiętam też, jak na prośbę Pani Sochackiej zastąpiłem ją na lekcji matematyki w

niższej klasie. Czulem się tym bardzo zaszczycony, ale nie mogłem sam sobie wyobrazić siebie w roli nauczyciela. Co ja będę z nimi robić? Pamiętam, że wyjaśniłem im wtedy metodę rozwiązywania układu równań liniowych przy pomocy wykresów. I wyglądało na to, że pojęli.

Lekcje religii odbywały się w małym budynku przy ul. Katedralnej, kilkadziesiąt metrów od szkoły. Naszym prefektem był ks. Marian Ziółkowski, wykładowca eschatologii w Seminarium Duchownym w Sandomierzu. Jego lekcje były dla mnie bardzo ciekawe, a temat fizycznej interpretacji tzw. Zaświatów nurtował mnie przez długie lata. I trzeba przyznać, że coś w tej mierze także zdołałem.

Lata Liceum to przecież końcowy okres Soboru Watykańskiego II. Pamiętam, że ksiądz Ziółkowski próbował nam uświadomić, jak wielkie dzieło się dokonuje, ale to do nas jakoś nie trafiało. Ale to przecież także rok Milenium Państwa Polskiego przypadał właśnie wtedy. Był to rok tzw. niedziel milenijnych. Polegały one na tym, że w niedzielę należało przychodzić do szkoły. Nie, nie po to, aby się uczyć. Organizowane były bezpłatne wycieczki, a to statkiem po Wiśle, a to autokarami do lasu. A cel był jeden – uniemożliwienie młodzieży uczestnictwa w kościelnych uroczystościach milenijnych. Te nasze niedziele organizował sekretarz propagandy komitetu powiatowego PZPR Franciszek K. Dosyć pechowo dla ówczesnej władzy, centralne uroczystości w Sandomierzu przypadały na 3 lipca, a więc już po zakończeniu roku szkolnego. Mimo to ogłoszono, że 3 lipca należy przyjść do szkoły. Nie wiem, nigdy nie próbowałem się dowiedzieć, czy ktokolwiek rzeczywiście przyszedł do szkoły tego dnia. Pamiętam, że byłem w Katedrze i że homilię wygłaszał z ambony ks. Kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski.

W szkole obchody Milenium to była specjalna, uroczysta akademie, na której recytowaliśmy wiersze różnych autorów, m.in. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Juliana Tuwima, a także wiersz napisany przez naszego nauczyciela, Pana Skurę. Deklamowałem fragment „Kwiatów polskich” Tuwima. Chciałem ten wiersz po swojemu zinterpretować, nie wiem, czy mi się to udało. Jest faktem, że strofy te przypominały mi się wielokrotnie w życiu w różnych okolicznościach, a szczególnie podczas długiego pobytu za granicą... Zwykle wtedy wydawało mi się, że dopiero teraz potrafiłbym ten wiersz dobrze powiedzieć.

Jeszcze jedno wydarzenie „polonistyczne”. To było chyba w dziesiątej, przedmaturalnej klasie. Nie pamiętam dokładnie z jakiej okazji wystawialiśmy jednoaktówkę Szaniawskiego „Matka”. Tytułową rolę grała Joasia Moskał. Rolę Pani – Ela Bednarz. Mnie przypadła raczej epizodyczna rola Leśniczego. Grała jeszcze Marysia Maszewska. Reżyserem całości była Pani Abram. Zachowałem do dziś gdzieś w swoim prywatnym archiwum zdjęcie naszej czwórki wykonane po spektaklu.

Z nauczycieli pamiętam jeszcze naszego geografa, Pana Szczepanowskiego, który z

racji niskiego wzrostu zwany był przez uczniów „Pingwinem”. Chemii uczyła nas Pani Sochowa. Zajęcia z przysposobienia obronnego prowadził pan Rolecki. Zajęcia z wychowania fizycznego- Pan Beraś. Biologii uczyła Pani Muchowa. Języka rosyjskiego – Pani Kwiecińska. Historii – dwóch nauczycieli, Pan Baczyński i Pan Grzesiak.

Z koleżanek i kolegów pamiętam – poza wymienionymi – wiele nazwisk i nie chciałbym tu wymieniać zbyt wiele, bo ci, których nie wymienię mogliby się poczuć urażeni. Pamiętam, w ósmej klasie siedziałem w ławce ze Staszkiem Chodosko. Staszek grał na akordeonie, co miałem okazję poznać na obozach harcerskich. W następnych klasach siedziałem w ławce z Maćkiem Nieduziakiem. Pamiętam Staszka Łętowskiego. Józka Ramusa, Andrzeja Brodę, Basię Glendę, Hanię Maruszak, Marysię Pazder, Jolę Trześniowską, Danke Suwalską i wiele, wiele innych osób. Są też takie, które pamiętam dobrze jako postaci, ale nie mogę sobie przypomnieć nazwisk.

Ale szkoła to nie tylko koleżanki i koledzy, to nie tylko nauczyciele. To również niepowtarzalna atmosfera budynku Collegium Gostomianum i tego miasta. To był widok z okna w klasie na dolinę Wisły i most na rzece. To był niepowtarzalny urok uliczek wokół Rynku. To także zaduma Domu Długosza i strzelisty gotyk Katedry. Katedra jest jedyną znaną mi budowlą gotycką, której barokowe wnętrze nie kłóci się ze stylem budynku. Teraz dopiero, kiedy los rzucił daleko od tych miejsc, czuję silną potrzebę powrotu i przebywania właśnie tam. Kiedy mam okazję pospacerować po Sandomierzu, to czasami chciałbym stanąć na środku ulicy i krzyknąć: „Ludzie! Cieszcie się, że macie okazję przebywać tu codziennie. Sami nie wiecie, co posiadacie”.

## SZKOLNE WIERSZOWANIE

Arkadiusz Misiaczyński

Matura 1975

### LIRYKI

#### Do M...

Ja Cię kochałem lata cztery – bez wzajemności  
niczym pustelnik lub asceta.

Dopingiem były nie ordery  
lecz duszy Twojej czcza podnieta.

Chwile euforii i ekstazy – moje



mknęły jak boski rydwan złoty,  
który przewoził serca skazy  
płonące w piekle mej Golgoty.

Sam nie wiem czemu wszystkie czyny – patetyczne  
zrodzone w sercu empirycznie,  
tłumiłaś niby saper miny  
lub omijałaś apatycznie.

Ja przecież każdą z próśb rozlicznych – Twych  
wprost fanatycznie wypełniałem,  
choć ani razu z ust lirycznych  
nawet „Bóg zapłać” nie słyszałem

Już zakreśliłem wielkie plany – chyba zbyt mocno  
naszego szczęścia dozgonnego.

Z miłości byłem wręcz pijany  
lecz nie wzruszyłem serca Twego.

Nikt z was mi chyba nie da wiary, - nawet optymiści,  
że me marzenia się spełniły.

A to nie były wcale czary  
lecz sny, co się po nocach śniły.

Sandomierz 2 czerwca 1975

### **Hiob**

W życiu moim, krótkim i skromnym  
( okrutniejszym niż krzyżowa droga),  
długom marzył o czymś wiekopomnym  
o pięknie stworzonym przez Boga!

Dni mijały, choć z dala od rajów.

Droga życia dobiegała końca.

A wtem sen o podróży do kraju

- we śnie ujrzał czarowny wschód słońca.

Moje oczy w euforii płakały  
- nad urwiskiem stała właśnie Ona.  
Treść ukłonów niosły dźwięczne skały:  
„Witaj Mario spod znaku Skorpiona”

Sandomierz 30 kwietnia 1975

### Wenus

Czemu – Mario – jesteś tak okrutna;

Czemu sroga i nieubłagana?

Wiecznie młoda, piękna, rezolutna,

Czasem oschła jak branka tyrana!?

Tobie – Mario kupiłbym sto koni.

I dla Ciebie przeszedłbym Golgotę.

Twoich wrogów do piekła bym wgonił.

Tor Twych ścieżek posypałbym złotem.

Powiedz – Mario – czemu w mojej duszy

wypaliłaś wszystko co szlachetne?

Moje serce poraziłaś z kuszy,

z moich pragnień uczyniłaś Etnę.

Sandomierz 30 kwietnia 1975

### Harenda

Nad Pienin rajskim kanionem

Harendy skrzy się dach złoty.

Tej, która stała się tronem

Mych marzeń, snów i tęsknoty.

Czasami wiatr zaszeleści

w konarach świerków wysokich.

Albo też słońce popieści

girlandy Twych limb pawiookich.

Harendo! Boski ołtarzu!

Tyś jest jak Venus urocza.

To się unosisz w mirażu,

to znów się tulisz do zbocza.

Obiecywałem lat cztery

- mocą Harendy zwiedziony –

sojusz dozgonny i szczery

mojej kochance z Werony.

Na nic się zdały marzenia  
o Twoim – miła zameńciu.  
Harenda stała w płomieniach,  
w niej płonął nasz mit o szczęściu.  
Zew cię ogarnął szalony,  
niczym na widok Golgoty.  
Skoczyłaś w potok spieniony,  
a ja – w Twoich łez wodogrzmoty.

Sandomierz 26 kwietnia 1975

### **Ekstaza**

Miałem wiele (wśród marzeń beztroskich)  
chwil szczęśliwszych niż sny Pigmaliona  
Wtedy wdychał urok oczu boskich  
Marysi spod znaku Skorpiona.  
Określałem Cię tak empirycznie.  
Byłem skromny, szlachetny i hojny.  
Traktowałaś mnie wręcz apatycznie  
- jak okrutny, krwiożerczy bóg wojny.  
Moje serce skore do jasyru  
poraziłaś kurarą swej strzały.  
W zamian dałaś mi łyk eliksiru  
lecz w mym sercu gorzkie łzy zastały.

Sandomierz 30 kwietnia 1975